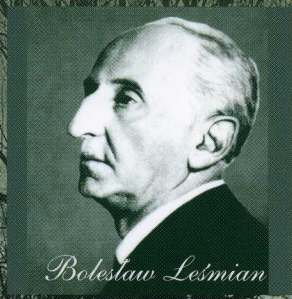
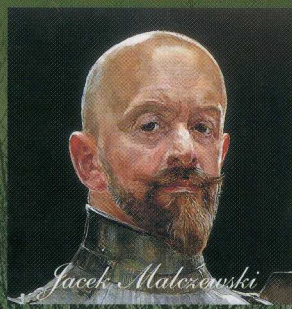
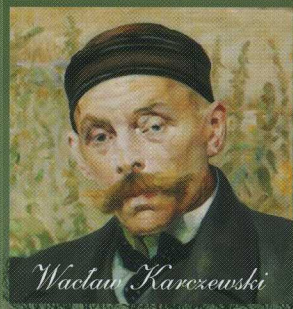
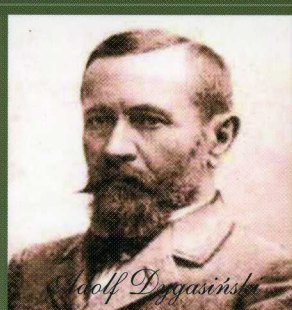
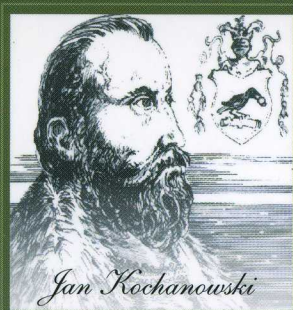
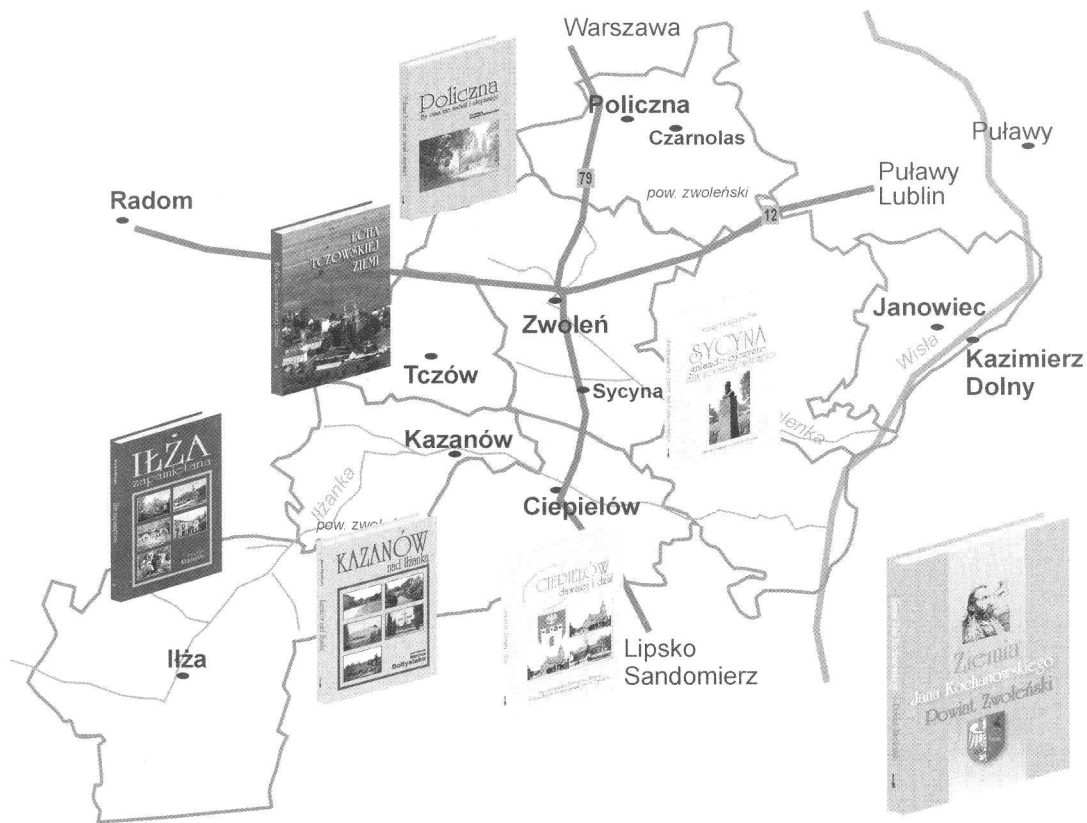


# WIELCY w małych ojczyznach



## WYBÓR DZIEŁ





**Henryk Bednarczyk  
Marcin Olifirowicz**

# WIELCY w małych ojczyznach

WYBÓR DZIEŁ





**Tom XXIX**

**Biblioteka Sycyńska**

Monograficzna seria wydawnicza, ukazuje się od 2000 r. (łącznie 42 tytuły, 46 105 egz.)

Redaktor naukowy: **prof. dr hab. Henryk Bednarczyk**

## **Wielcy w małych ojczyznach – wybór dzieł**

pomysł, komentarze i wybór dzieł: **Henryk Bednarczyk, Marcin Olifirowicz**

przy współpracy: **Zofii K. Posiadały, Eugenii Januszewicz, Jerzego Madejskiego**

Recenzenci: **dr Monika Mazur**

**dr Dariusz Kupisz**

Sfinansowano ze środków projektu *Dziedzictwo i rozwój ziemi Jana Kochanowskiego*  
**Programu Pilotażowego Leader+**

Copyright by: Stowarzyszenie Dziedzictwo i Rozwój, Zwolen 2008

ISBN 978-83-60132-13-5

Opracowanie graficzne: Janusz Popławski

Na zlecenie Stowarzyszenia Dziedzictwo i Rozwój w Zwoleniu  
publikację przygotowało Stowarzyszenie Oświatowe SYCYNA



1769

Wydawnictwo Instytutu Technologii Eksploatacji – PIB

26-600 Radom, ul. K. Pułaskiego 6/10, tel. centr. (048) 364-42-41, (048) fax 364-47-65

e-mail: [instytut@itee.radom.pl](mailto:instytut@itee.radom.pl) <http://www.itee.radom.pl>

## Spis treści

1. **W małych ojczyznach Jana Kochanowskiego i Bolesława Leśmiana – wprowadzenie** – *H. Bednarczyk, M. Olifirowicz* **5**
2. **Na skale pięknej Kalijopy – o kolebce, domu i grobie Jana Kochanowskiego** – *M. Olifirowicz* **9**
  - Wybrane utwory **16**
    - Fraszki **16**
    - „Odprawa posłów greckich” **25**
    - Pieśni **43**
    - Psalmy **61**
    - Treny **82**
3. **Adolf Dygasiński – władca języka nizin i dalekości słowiańskiej** – *M. Olifirowicz* **98**
  - „Gody życia”, rozdz. I, fragmenty **100**
4. **W zatrutych studniach Jacka Malczewskiego** – *Z.K. Posiadła* **117**
5. **O Wacławie Karczewskim – pisarzu zapomnianym a wielkim** – *M. Olifirowicz* **120**
  - „W Wielgiem” (fragmenty) **122**
6. **Wokół malarstwa Jana Stępnia** – *E. Januszewicz* **137**
7. **Ojczysta liryka Bolesława Leśmiana – między Hżą a wielkim światem** – *J. Madejski* **140**
  - Wybrane liryki **142**
- Literatura** **160**



# 1. W małych ojczyznach Jana Kochanowskiego i Bolesława Leśmiana – wprowadzenie

Przesłanie dziedzictwa kulturowego próbujemy w naszym projekcie Leader+ odczytać jako inspirację i szansę wzrostu aktywności obywateli i rozwoju małych, wiejskich społeczności lokalnych.

Nawet jeśli nie pozostało wiele pamiątek, to miejscowości związane z Wielkimi, sławnymi ludźmi wiekami żyją w cieniu ich legendy, kultywując i często upowszechniając, przypominając ich dokonania, twórczość.

I tak jest na Ziemi Jana Kochanowskiego w Sycynie, Czarnolesie, Zwoleniu i dalej w całym dorzeczu Zwolenki i Iłżanki

Poruszając się w kręgu poezji i sztuki, chcemy przypomnieć również wybitne postacie: Jacka Malczewskiego, Adolfa Dygasińskiego, Wacława Karczewskiego związanych z małą wsią Wielgie w gminie Ciepiałów, Jana Stępnia z Policznej i wreszcie romantycznego Bolesława Leśmiana odwiedzającego Iłżę.

W książce zamieściliśmy wybór fragmentów dzieł tych wybitnych twórców, podkreślając ich znaczenie dla polskiej kultury, ale i związki z małymi ojczyznami.

Książka jest wreszcie podsumowaniem naszego dokumentowania małych ojczyzn, ich historii, ale i dnia dzisiejszego, instytucji, organizacji, ludzi, wydarzeń w monografiach gmin, miejscowości wydawanych przez Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna od 2000 r. w monograficznej serii wydawniczej *Biblioteka Sycyńska*. W serii dotychczas wydano 42 tomy w nakładzie 46 105 egz. Nasz sposób opracowywania monografii niejako wyprzedził założenia Inicjatywy Wspólnotowej Leader+ głównie w zakresie organizacji lokalnych grup działania w pierwszej fazie projektów.

W każdej z gmin, miejscowości organizowaliśmy 15–35-osobowe zespoły, które konsultując się między sobą i współpracując opracowały poszczególne rozdziały. Stowarzyszenie zapewniało wsparcie historyków, pomoc redakcyjną.

Oczekiwaliśmy, że współpracując ze sobą zespoły nie tylko napiszą monografię, ale że będą jako aktywne grupy przekształcać się w stowarzyszenia. I tak często się działo. Zespoły autorskie w istotny sposób wzmacniały lokalne grupy działania i potencjał projektu.

Przypomnijmy zawartość tych cennych i wartościowych opracowań będących swoistym zapisem o stanie i potencjale społecznym, a także marzeniach i nadziejach społeczności lokalnych.

**Ciepielów dawniej i dziś** (s. 236) pod redakcją: Henryka Bednarczyka i Heleny Kowalskiej-Kutery, Sycyna 2001  
Wprowadzenie, Zarys dziejów Ciepielowa, Gmina Ciepielów, Biblioteka, Przedszkole, Publiczna Szkoła Podstawowa – Gimnazjum, Parafia Podwyższenia Krzyża Świętego, Ochotnicza Straż Pożarna, Posterunek Policji, Powiat lipski, Biografie, Inne dokumenty, Stowarzyszenie Oświatowe „Sycyna”, Biblioteka Sycyńska.

**Sycyna – gniazdo ojczyste Jana Kochanowskiego** (s. 160) pod redakcją Henryka Bednarczyka, Sycyna 2002  
Wprowadzenie, Z historii Sycyny, Sycyna w epoce Jana Kochanowskiego, Ochrona i prezentacja zabytków Sycyny – miejsca urodzenia Jana Kochanowskiego, Posłanie do mieszkańców ziemi radomskiej, Idee humanistyczne renesansu w integracji europejskiej, Renesans – integracja 2002–2004, Stowarzyszenie Oświatowe „Sycyna”, Biblioteka Sycyńska.

**Iłża zapamiętana** (s. 224), Jerzy Karol Madejski, Sycyna 2004  
Spojrzenie w przeszłość, Ślady historii, Żydzi iłżeccy, Bolesława Leśmiana związki z Iłżą, Tradycja i współczesność, Kultura, Oświata, W mieście i gminie nad Iłżanką, Warto wiedzieć, że ..., Kalendarium, Aneks – spis absolwentów szkół średnich, Od wydawcy, Bibliografia.

**Policzna – by czas nie zaćmił i niepamięć**, (s. 208), pod red. Eugenii Januszewicz, Sycyna 2004  
„Policzna – prześliczna”, Środowisko przyrodnicze, Zarys dziejów, Wiek XX – między II a III Rzeczpospolitą, W gminie samorządowej, Miejscowości gminy Policzna, Oświata, kultura, wyznania, Opieka zdrowotna, Poczta, Policja, Jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej, Bank Spółdzielczy w Policznie, Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” w Policznie, Z Policznicy i dla Policznicy – noty biograficzne, Europejskie wyzwania i pamięć – z doświadczeń „Sycyny”, Literatura, Kalendarium.

**Kazanów nad Iłżanką** (s. 232), pod red. Marcina Sołtysiaka, Sycyna 2004  
Wprowadzenie, Słowo wstępne, Dzieje Kazanowa, Partyzanckie Zgrupowanie BCh „Ośka”, Gmina Kazanów, Parafia kazanowska, Oświata, Ochotnicza Straż Pożarna, Spółdzielczość w Kazanowie, Lokalna przedsiębiorczość, Sport, Kazanowanie, Z Sycyny do Kazanowa, Powiat zwoleński., Literatura, Biblioteka Sycyńska.

**Echa Tczowskiej Ziemi** (s. 274) pod redakcją: Krystyny Kołodziejczyk, Jana Madeja, Macieja Stawarza, Sycyna, WSP ZNP, Warszawa 2005  
Wprowadzenie, Zarys dziejów Tczowa i okolic, Gmina Tczów, Szkoły i przedszkola, Biblioteki, Parafia pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela w Tczowie, Spółdzielczość w gminie Tczów, Tczowskie Kółko Rolnicze „Gwiazda” w latach 1914–1939, Bank spółdzielczy, Służba zdrowia, Ochotnicze straże pożarne, Urząd Poczty w Tczowie, Sport w gminie, Nasi Ziomkowie, Powiat zwoleński, Społeczne eksperymenty edukacyjne S.O. „Sycyna”.

**Ziemia Jana Kochanowskiego. Powiat Zwoleński** (s. 392) pod redakcją: Henryka Bednarczyka, Bogusławy Jaworskiej, Jerzego Kozińskiego, Sycyna 2006  
Nasz powiat – wprowadzenie, Kalendarium powiatu zwoleńskiego, Ślady Jana Kochanowskiego, Powiat zwoleński, Uroki niziny, Serce rośnie patrząc na te czasy, Nauka skarbem drogim, Czego chcesz od nas Panie?, Szlachetne zdrowie, Sport, Prawo i bezpieczeństwo, Gospodarka, Rolnictwo, rzemiosło, banki, ubezpieczenia, A jeśli komu droga otwarta... – Pamięć. Wspomnienia, Nasze gniazda ojczyste – gminy powiatu zwoleńskiego, Nota bibliograficzna – czyli co napisano o ziemi zwoleńskiej, Bibliografia.

Popularyzując twórczość naszych sławnych przodków opracowaliśmy monografię i wydaliśmy wiele publikacji z wyborem dzieł:

- Jan Kochanowski – *Wybór poezji*, S.O. „Sycyna”,
- Adolf Dygasiński – *Co się dzieje w gniazdach*, S.O. „Sycyna”,
- Wacław Karczewski *W Wielgim*, S.O. „Sycyna”,



- Piotr Tusiński – *Z Gardzienic na Wiejską*, S.O. „Sycyna”,
- *Wybrane płótna Jana Stepnia*, Sycyna, Kalendarz ITeE Radom; S.O. „Sycyna”.

I to było nasze przygotowanie do opracowania wniosku, projektu do Inicjatywy Wspólnotowej Leader+. Inicjatywa Wspólnotowa Leader+ wspomaga:

- zastosowanie nowych technologii i podnoszenie konkurencyjności produktów obszarów wiejskich,
- poprawę jakości życia,
- podnoszenie wartości i dostępu do rynków lokalnych produktów,
- wykorzystanie zasobów naturalnych i kulturowych.

W schemacie I zrealizowano projekt „*Partnerstwo mieszkańców wsi z samorządem dla rozwoju gminy Zwoleń. Lokalne Grupy Działania*”, powstało Stowarzyszenie Dziedzictwo i Rozwój, opracowano Zintegrowaną Strategię Rozwoju Obszarów Wiejskich Gmin nad Iłżanką i Zwolenką: Policzna, Zwoleń, Tczów, Kazanów, Ciepiałów, Iłża z powiatów zwoleńskiego, radomskiego i lipskiego. Jako jedyny z regionu radomskiego jest realizowany w schemacie II projekt *Dziedzictwo kulturowe i Rozwój Ziemi Jana Kochanowskiego*. Myślą przewodnią projektu jest aktywizacja społeczności lokalnych poprzez ochronę, kultywowanie dziedzictwa kulturowego Jana Kochanowskiego, Adolfa Dygasińskiego, Jacka Malczewskiego, Wacława Karczewskiego i Bolesława Leśmiana.

Założenia strategii:

### **Wizja**

- Społeczeństwo wykształcone, aktywne, świadome poczucia własnej wartości, zasobne materialnie, zdrowe, zintegrowane ze swoją małą ojczyzną.
- Społeczność lokalna szanująca dziedzictwo kulturowe oraz naturalne i unikalne walory przyrodnicze.
- Konkurencyjne rolnictwo oparte o naturalne warunki gospodarowania.
- Wysoko rozwinięta gospodarka lokalna, zintegrowana z gospodarką kraju i Unii Europejskiej.

### **Misja**

„*Służmy poczciwej sławie...*” Jan Kochanowski. „*Piękno przyrody i bogate dziedzictwo kulturowe podstawą rozwoju doliny rzeki Zwolenki i Iłżanki*.”

### **Tematy wiodące:**

- Poprawa jakości życia na obszarach wiejskich.
- Wykorzystanie zasobów naturalnych i kulturowych, w tym potencjału obszarów należących do sieci Natura 2000.

### **Cele strategiczne:**

- Rozwój turystyki, agroturystyki i rekreacji w oparciu o uwarunkowania przyrodnicze i dziedzictwo kulturowe,
- Zrównoważony i wielofunkcyjny rozwój obszarów wiejskich,
- Wzrost konkurencyjności obszarów wiejskich,
- Rozwój społeczeństwa informacyjnego,

- Rozwój drobnej przedsiębiorczości,
- Podniesienie poziomu produkcji rolnej.

Opracowywane są projekty zagospodarowania parków: w Sycynie, Muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie, w Bąkowej i Łaziskach, modernizacji budynków po szkołach w Bartodziejach, Kroczowie, Osuchowie i Ostrownicy, Łaziskach, modernizacja stadionu w Zwoleniu. Przygotowywane są nowe wydawnictwa, wspomagamy imprezy kulturalne: Dni Sycyny, Sobótki Czarnoleskie, Imieniny Pana Jana, Wielgie inspiracją dla Dygasińskiego, Malczewskiego i Karczewskiego.

Wydano foldery i katalogi *Dziedzictwo i rozwój, Z naszych rąk, serc i umysłów*, lokalne gazety i czasopisma *Głos Zwoleński, Wieści Sycyny, „Głos Ziemi Zwoleńskiej”*.

Nasze opracowania sumuje dotychczasowy dorobek i wskazuje nowe możliwości i inspiracje twórczości Jana Kochanowskiego, Jacka Malczewskiego, Adolfa Dygasińskiego, Wacława Karczewskiego i Piotra Stępnia. Nasz wybór utworów, fragmentów jest poprzedzony komentarzem przybliżającym postacie twórców i miejscowości.

Dziękujemy współpracującym z nami nad wydaniem książki Zofii K. Posiadała, Eugenii Januszewicz i Jerzemu Madejskiemu oraz recenzentom za wsparcie. Jesteśmy przekonani, że książka przyczyni się do większej znajomości i popularności utworów Wielkich Ludzi w małych ojczyznach, a potencjał społeczny przedstawiony w monografiach naszych gmin będzie istotnym wsparciem dla nowych pomysłów i projektów aktywizacji kulturowej i gospodarczej społeczności lokalnych.

*Henryk Bednarczyk, Marcin Olifirowicz*

## 2. Na skale pięknej Kalijopy – o kolebce, domu i grobie Jana Kochanowskiego

Jan Kochanowski był, co zgodnie potwierdzają uczeni, największą indywidualnością w dziejach literatury staropolskiej. Czerpał ze źródeł najważniejszych – Biblii i dziedzictwa grecko-rzymskiego. Swoje utwory zawsze jednak wyposażał w pomysły własne, oryginalne, w warstwie myśli, uczuć i słowa.

Wprowadził do poezji polskiej nieznaną jej struktury gatunkowe, stylistyczne i wersyfikacyjne. Interesował się światem zewnętrznym, porządkiem społecznym i politycznym, codziennością człowieka, jego problemami egzystencjalnymi, przeżyciami wewnętrznymi, osobistymi. Przemawiał językiem refleksji i przestrogi, powagi i żartu, zwracał się ze słowami modlitwy, nierzadko zdobywał się na intymne wyznania.

Jak mało kto z jemu współczesnych i potomnych, niemal od początku cieszył się uznaniem i popularnością – w Polsce i poza jej granicami.

Ale by lepiej uzasadniać źródła geniuszu twórczego poety, warto przytoczyć znane słowa Goethego *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen* (kto chce zrozumieć poetę, musi udać się do jego kraju). Rzeczywiście, Kochanowskiego nie da się zrozumieć bez jego własnej ojczyzny, bez jego jak chciał *gniazda ojczystego*.

Kiedy śledzi się biografię poety, to wyznaczają ją wielkie i wzniosłe osiągnięcia, najwyższe miejsce w literaturze, dalekie jak na owe czasy podróże, zaszczyty, stanowiska, zamożność, ale nade wszystko jego związek z ziemią urodzenia, z której wyszedł w daleki świat i do której pokornie wrócił.

Nie był pierwszym z Kochanowskich, którzy przynieśli sławę swemu nazwisku. Za nim szła wielkość całego rodu, który w województwie sandomierskim mieszkał od dawna.

O znaczeniu rodziny Kochanowskich w życiu województwa i kraju świadczą zajęcia i godności, jakie piastowali. Gdyby ograniczyć się tylko do potomków dziada poety – sędziego grodzkiego radomskiego Jana – to w trzech kolejnych pokoleniach aż sześciu jego potomków było sędziami, dwu komornikami, jedenastu starostami i podstarościami, czterech wybrało kariery wojskowe, a z nich Mikołaj – rotmistrz i bratanek poety odznaczył się w bitwie pod Chocimiem w 1621 r., co przedstawił Wacław Potocki w *Wojnie Chocimskiej*. Oczywiście wszyscy byli właścicielami ziemskimi i pełnili również tradycyjne szlacheckie urzędy: stolnika, łowczego, burgrabiego sandomierskiego i radomskiego, a poeta Jan Kochanowski był jak wiadomo wojskim sandomierskim. Jan nie był jedynym poetą wśród Kochanowskich, gdyż pisarzy i tłumaczy w tej rodzinie było łącznie siedmiu, sekreta-

rzy i dworzan królewskich czterech, sześciu studentów Uniwersytetu Krakowskiego i Królewieckiego i dwu duchownych.

**Sycyna.** Jan Kochanowski przyszedł na świat w Sycynie, zapewne w roku 1530. Brak metryki chrztu nie pozwala na podanie ścisłej daty urodzin.

Posiadłości ojca poety, Piotra Kochanowskiego, Czarnolas, Sycyna, Wola Sycyńska, Barycz i Konary znajdowały się na ziemi radomskiej, stanowiącej część województwa sandomierskiego.

W samej Sycynie nie zachowały się trwałe pamiątki z czasów Kochanowskich, jedynie wykopaliska archeologiczne potwierdziły istnienie dworu Piotra – ojca Jana, a osobliwą pozostałością z czasów bliskich poecie jest pamiątkowy obelisk z 1621 roku, wystawiony prawdopodobnie przez Mikołaja Kochanowskiego lub jego syna Adama.

Sycyna była także znakomitym gniazdem, z którego wyrosło poza Janem Kochanowskim także paru innych twórców – jego braci i bratanków.

Prawdopodobnie poeta do 1544 roku przebywał w rodzinnej wsi wraz z rodzicami i licznym rodzeństwem, chociaż przypuszcza się, że mógł podjąć naukę w szkole parafialnej w Policznie lub Sieciechowie u benedyktynów.

**Studia i daleki świat.** W półroczu letnim 1544 roku 14-letni Jan Kochanowski złożył ślubowanie i został wpisany do metryki Akademii Krakowskiej. Nie uzyskał jednak w Krakowie żadnego stopnia naukowego, nie zdobył go zresztą i później w czasie swoich zagranicznych studiów. Można nawet postawić tezę, że nie było to w ogóle jego celem, studiował bardziej, by pogłębić wiedzę, a na pewno nie zamierzał robić kariery akademickiej.

Z pewnością późniejszy autor fraszek znacznie poszerzył w Krakowie swoje horyzonty i rozbudził ambicje, dalekie od środowiska, w którym się wychował.

Kolejnym etapem stał się Królewiec, dokąd Kochanowski udał się w roku 1551. Tu nawiązał kontakt z dworem książęcym, a być może próbował studiować, ale brak jest wpisów w metryce uniwersyteckiej. W Królewcu był poeta jeszcze kilkakrotnie. Tam też zapewne pozyskał środki do wyprawy włoskiej.

Kochanowski podróżował do Italii trzykrotnie między rokiem 1552 a 1558. Głównym celem wypraw były studia uniwersyteckie w Padwie, ale była też odnotowana wizyta w Wenecji i nawiedzenie grobu Petrarke w Arqua.

Trzecia podróż włoska zakończyła się krótkim wyjazdem do Francji. Kochanowski podążał od Marsylii przez Lyon do Paryża. Tutaj poznał Pierre'a de Ronsarda, a spotkanie to pozostawiło trwałe wrażenia i ślady w jego późniejszej twórczości, gdy poeta sam napisze w łacińskiej elegii *Ronsardum vidi (ujrzałem Ronsarda)*.

Wracał do kraju przez Niemcy. Nie bez znaczenia dla twórczości, ale i dokonywanych życiowych wyborów był czas historyczny, w którym żył Kochanowski. To przecież była epoka reformacji.

Wiele wskazuje, że sam poeta przejawiał wyraźne reformacyjne sympatie, choć nigdy nie porzucił swojego wyznania, co uczyniło kilku jego braci i członków rodziny.

**Urzędy i godności.** Jednym z najważniejszych zdarzeń w życiu poety było wejście na dwór Zygmunta Augusta około roku 1564. Oprócz urzędu sekretarza

królewskiego, otrzymał także probostwo poznańskie, co zapewniło mu stałe dochody.

Obecność na dworze Jagiellonów miała jednak wymiar znacznie większy. Miał okazję przez kilka lat uczestniczyć w życiu jednego z największych władców ówczesnej Europy, poznać wielu wybitnych polityków, uczonych, pisarzy i artystów. Wszak to najlepsze lata wieku złotego.

**Powrót – Czarnolas.** Trudno wytłumaczyć bezpośrednio przyczyny wyjazdu poety z Krakowa i powrotu do rodzinnego Czarnolasu. Być może morowe powietrze, choroba i w konsekwencji śmierć Zygmunta Augusta wpłynęły na podjęcie decyzji ostatecznego powrotu do Czarnolasu, w którym osiadł około roku 1570, zachowując tytuł sekretarza królewskiego. Jako prepozyt poznański i zwoleński poeta przyjął niższe święcenia kapłańskie, korzystając z dochodów parafii, pozostawiając bezpośrednio obowiązki wikaremu.

Decydując się na (dość późne) zawarcie małżeństwa, musiał się jednak zrzec kościelnych beneficjów. Było to 3 lata po śmierci Zygmunta Augusta, w roku 1575. Poeta poślubił Dorotę Podlodowską, córkę stolnika sandomierskiego.

Zaczął się w ten sposób z jednej strony najbardziej spokojny, ale i tragiczny okres życia. Choć poeta uczestniczył jeszcze w życiu politycznym, brał udział w sejmach elekcyjnych, późniejsze kłopoty zdrowotne i zmartwienia znacznie ograniczyły jego aktywność.

Piastowany urząd wojskiego sandomierskiego chronił poetę przed udziałem w pospolitym ruszeniu, bo w czasie jego trwania wojski sprawował opiekę nie tylko nad swoją rodziną, ale i nad tymi, których pozostawiła w domu miejscowa szlachta.

Bywał w tym czasie we wsiach dziedzicznych swego ojca Piotra pod Zwoleniem: Policznej i Baryczy oraz w Konarach na zachód od Radomia. Potem sam zbudował sobie mały klucz dóbr na północny wschód od Zwolenia, zyskując części w Czarnolesie (od 1559), Chechłach (od 1574) oraz Strykowicach Błotnych (Mniejszych) i Paciorkowej Woli (od 1583). Oczywiście, musiał tam często przebywać, a zwłaszcza w Czarnolesie, skąd datował swoje listy w latach 1569–1580.

Monotonia zajęć codziennych z pewnością zużyła poetę, a urozmaicały ją odwiedziny krewnych i przyjaciół, czasem sprawy sądowe lub majątkowe. Dawał temu wyraz w coraz liczniejszych utworach.

Ta ziemia stała się miejscem jego najściślej ojczyzny, ziemią, na której nie tylko żył i gospodarował, ale gdzie przede wszystkim dużo pisał. W Czarnolesie powstały nieśmiertelne *Treny*, tutaj spod pióra poety wyszły strofy *Pieśni*, *Fraszki*, czy wreszcie wyjątkowo ważne literacko *Lyricorum libellus*.

Z pewnością najsmutniejszym wydarzeniem w życiu poety, po którym pozostał liryczny pomnik w literaturze, była śmierć blisko 3-letniej córeczki Urszulki. *Treny* odzwierciedlały wrażliwość poety, prawie namacalną rozpacz, którą spotęgowała jeszcze śmierć drugiej córki Hanny.

Z pewnością te dwie straty i emocje, które osłabiły nie najlepsze zdrowie poety, stały się przyczyną przedwczesnej śmierci w Lublinie w 1584 roku, do-

kąd poeta udał się z interwencją do króla Stefana Batorego po zamordowaniu szwagra Jakuba Podlodowskiego.

Jak pisał kronikarz Joachim Bielski *odszedł poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze ani był, ani się takiego drugiego spodziewać można*.

Po śmierci poety wydawca jego dzieł Jan Januszowski przystąpił do zbiorowego wydania tekstów i zatytułował obszerny tom tylko imieniem i nazwiskiem autora: Jan Kochanowski. Autor był powszechnie znany i ceniony, toteż taki symboliczny, ale wymowny tytuł wystarczał. Januszowski w ciągu 15 lat od 1585 do 1600 roku wydał ten tom sześć razy, co uzasadnia opinię, że istniało dość powszechne zapotrzebowanie na teksty poety z Czarnolasu.

**Ślady i pamięć.** Od śmierci czarnoleskiego poety minęło ponad 420 lat, a polska historia, liczne wojny, powstania i mała dbałość o pamiętki historii nie oszczędziły zbyt wielu dowodów tamtych czasów. Zainteresowanie losem miejsc związanych z życiem poety odżywało szczególnie przy okazji kolejnych rocznic.

W ramach prac archeologicznych i porządkowych przed jubileuszem 450 rocznicy urodzin poety i 400 rocznicy zgonu w Sycynie odnowiono obelisk z 1621 roku, rozpoznano pierwotną lokalizację dworu, w którym urodził się poeta i jego liczne rodzeństwo, ustalono przypuszczalny wygląd dworu na skarpie nad Przerwańcem.

Największą wartość historyczną jako element historii materialnej z epoki Kochanowskiego ma sycyński obelisk. Wykonany został z niebieskoczerwonego piaskowca, ma wysokość blisko czterech metrów, składa się z cokołu, kolumny, kapliczki i kopułki. We wnękach kapliczki znajdują się cztery płaskorzeźby przedstawiające przemiennie Madonnę z Dzieciątkiem i Krucyfiks. Nad Madonną umieszczono fragment tekstu modlitwy *Sancta Maria ora pro nobis*, a w niszy z krucyfiksem *Qui passus es pro nobis* i pod krzyżem *Miserere nobis* (Ty, coś cierpiał za nas, ulituj się nad nami). W górnej zachodniej części kolumny wyryto datę 1621, stąd przypuszczenie, że to pamiętka zwycięskiej bitwy pod Chocimiem.

W ramach tych samych obchodów uporządkowano tereny pamiętkowe i wzniesiono w 1980 roku z inicjatywy społeczeństwa i władz gminy Zwoleń pomnik Kochanowskiego.

Od roku 1999 pamięć o poecie w miejscu jego urodzenia utrwała w działalności oświatowej, dydaktycznej i wydawniczej Stowarzyszenie Oświatowe SYCYNA. To dzieło aktywności mieszkańców i społeczników to coroczne Dni Sycyny i program ochrony dziedzictwa kulturowego. Efekty działań Stowarzyszenia są dziś imponujące i przedstawiono je szerzej także w tej monografii.

Głównym miejscem związanym z Kochanowskim jest Czarnolas, a poetę często określa się jako Jana z Czarnolasu. Losy dóbr Kochanowskich były jednak równie burzliwe jak polska historia.

Sama nazwa Czarnolas związana jest na trwałe z poetą, toteż kolejni właściciele chlubili się tradycją domu Kochanowskiego i podtrzymywali pamięć

o nim. Niestety w 1720 roku spłonął dwór zbudowany przez Jana, odbudowano go na początku XIX wieku.

Wcześniej po nabyciu Czarnolasu przez księcia Józefa Aleksandra Jabłonowskiego w 1761 roku w przededniu oświecenia nastąpiło na moment odrodzenie tradycji Kochanowskiego. Nowy właściciel odbudował dwór i kultywował pamięć poety. Niestety w 1777 roku zmarł, a jego następca nie kontynuował starań czarnoleskich ojca i odsprzedał w 1789 roku majątek generałowi Raczyńskiemu z Wielkopolski.

Wojenne zawieruchy XVIII- i XIX-wieczne nie oszczędziły dóbr dworskich, ale córki gen. Raczyńskiego zajęły się rekonstrukcją dworu i idąc za wzorem Izabeli Czartoryskiej w Puławach zaczęły kultywować pamięć Kochanowskiego, zbierać pamiątki związane z poetą, gromadzić jego dzieła, przygotowywać biograficzną ekspozycję.

U schyłku XIX wieku po kolejnych pożarach ponownie odbudowano dwór czarnoleski. Przyczyniło się to do ożywienia zainteresowania twórczością Kochanowskiego, a miejsce jego życia odwiedzali coraz chętniej znani poeci i pisarze.

Czarnolas stał się nie tylko ważnym i odwiedzanym miejscem, ale był jedyną w kraju skarbnicą pamiątek, która stała się swoistym muzeum Kochanowskiego.

Projekt organizacji muzeum zgłosił w 1884 roku Kazimierz Promyk-Prószyński, który wnosił o skromną odbudowę domu poety.

W 1930 roku Stanisław Windakiewicz, jeden z najwybitniejszych znawców życia i twórczości Kochanowskiego, podniósł na nowo apel o utworzenie muzeum poety.

Zwieńczeniem wieloletnich starań było otwarcie muzeum 17 września 1961 roku. Ekspozycja obejmowała hall i cztery pokoje. Zgromadzono wydania dzieł poety, opracowania na temat jego życia i twórczości oraz niektóre bezpośrednio z nim związane pamiątki. Uzupełnieniem tego były wyeksponowane informacje o życiu i twórczości poety.

Muzeum czarnoleskie ma wymiar szczególny, gdyż jest miejscem upamiętnionym życiem, pracą i tradycją wybitnego poety, twórcy literatury staropolskiej, z której tylko on doczekał się tak bogatej i starannie przygotowanej ekspozycji.

Dwór poety położony jest w starym parku, który sąsiaduje z ogrodem, dawniej był tu blisko las. W pobliżu znajdują się stawy i strumień jeszcze z czasów Kochanowskiego. Zapewne zawsze tu był park z bogatym drzewostanem głównie sosnowo-świerkowym i słynną lipą poety, która rosła za domem.

Ekspozycja rozpoczynała się w hallu, zgromadzono tu pozostałe pamiątki i dzieła Kochanowskiego oraz literaturę na temat jego życia i twórczości. Pośrodku hallu eksponowano rzeźbę przedstawiającą głowę Jana Kochanowskiego, wykonaną przez Ksawerego Dunikowskiego. W hallu rozmieszczono także gabloty z książkami i pamiątki rzeczowe. Zwracał uwagę dębowy fotel z herbem, obity skórą z wytłaczanym wzorem – uznaje się go za własność poety. Drugą

rzeczą, związaną z dawnym domem Kochanowskiego, są żelazne drzwi z inicjałami i herbem Korwin. Poza tym są: renesansowa skrzynia, misa włoska oraz mieszek skórzany z XVI wieku, pochodzący z pałacu w Białymstoku.

Bogata była też zgromadzona w muzeum literatura o Kochanowskim i jego twórczości. Warto wymienić najważniejsze i najciekawsze pozycje. Liczne tomy dzieł zebranych Jana Kochanowskiego otwiera warszawska edycja Tadeusza Masłowskiego z 1803 roku. Ciekawe jest wrocławskie wydanie z 1825 roku, a także wydanie pomnikowe *Dzieł wszystkich* z 1884 roku, którym uczczono trzechsetną rocznicę zgonu. Z wydań powojennych wyeksponowano trzecie wydanie *Dzieł polskich* w opracowaniu Juliana Krzyżanowskiego.

W pierwszej sali wystawy pokazano rodzinę poety, jego młodość, studia, podróże i pierwszy okres samodzielności po powrocie do kraju. W następnej przedstawiono życie i twórczość Kochanowskiego w okresie dworskim.

Kolejna sala, zwana czarnoleską, przypomina dużą rotundę. Pośrodku umieszczono rzeźbę wykonaną w 1878 roku przez Zygmunta Trembeckiego: Jan Kochanowski z Urszulką grającą na lutni. U stóp poety otwarta księga. W tej sali zgromadzono pamiątki z okresu czarnoleskiego.

Na jubileusz 450-lecia urodzin poety przygotowano nową ekspozycję, a po czterech latach na 400 rocznicę zgonu autora *Trenów* została wzbogacona o nowe eksponaty, zwłaszcza wspaniałe gobeliny, specjalnie zamówione do Muzeum oraz obrazy o tematyce czarnoleskiej i niektóre sprzęty oraz rekwizyty z epoki.

W roku 2005 z okazji jubileuszu 475. rocznicy urodzin odnowiono kaplicę Kochanowskich i zaprezentowano dwie nowe wystawy: „Rzeczpospolita Babińska” i „Mały Wawel”.

Przed dworem jeszcze w czerwcu 1980 roku odsłonięto pomnik Kochanowskiego, autorstwa Mieczysława Weltera, odlany w brązie na granitowym cokole. Według wyobrażenia artysty poeta w sutym stroju renesansowym oczekuje gości przybywających do czarnoleskiego muzeum. W rękach założonych do tyłu trzyma różę jako symbol poezji. Artysta ozdobił poetę łańcuchem jako symbolem godności wojskiego.

Oprócz Sycyny i Czarnolasu trzecią miejscowością, która związała się trwale z postacią czarnoleskiego poety jest Zwoleń, gdzie znajduje się w kościele parafialnym krypta rodzinna i kaplica Kochanowskich.

W Zwoleniu, lokowanym przez Władysława Jagiełłę w 1425 roku, znajdowała się parafia dla mieszkańców Sycyny, była tu także szkoła, do której prawdopodobnie uczęszczał przyszły poeta i jego bracia.

W latach od 1566 do 1575 Kochanowski posiadał prebendę probostwa zwoleńskiego, co wiązało go z miastem i kościołem parafialnym, zwłaszcza gdy po pożarze kościoła za jego władania był odbudowywany. To tutaj pochowani zostali rodzice poety, których upamiętnił tablicą epitafijną. Sam też został tam pochowany, a rodzina ufundowała mu pomnik nagrobny z tablicą pamiątkową.

W kościele zwoleńskim przez lata organizowano rodzinną nekropolię Kochanowskich. Łącznie pochowano 16 osób i aktualnie w krypcie znajduje się



zbiorowa mogiła członków rodu z Janem Kochanowskim jako najwybitniejszym przedstawicielem tej rodziny. Uroczyste przeniesienie do nowego grobu szczątków poety i jego bliskich odbyło się 21 czerwca 1984 roku w 400-lecie zgonu twórcy *Trenów*. Odnowiona została kaplica wraz z tablicami epitafijnymi oraz pomnikiem grobowym poety. Na uroczystości pogrzebowe skierował specjalne przesłanie papież Jan Paweł II.

W Zwoleniu na dawnym rynku a obecnie placu Kochanowskiego odsłonięto w 1961 roku jeden z pierwszych pomników poety. Z czasem przed szkołą jego imienia także stanął pomnik poety z Urszulką, oba monumenty to dzieła Władysława Jani. Zwoleń stał się ważnym ośrodkiem pamięci Kochanowskiego. Trafnie to określił już w 1880 roku Jan Rymarkiewicz pisząc, że Sycyna, Czarnolas i Zwoleń to „kolebka, dom i grób Jana Kochanowskiego”.

Gdyby podążać śladami poety, trzeba odwiedzić jeszcze Radom, który poeta wielokrotnie odwiedzał, a gdzie oprócz ulicy, słynnego liceum imienia poety, od roku 2006 chlubić się może nowym pomnikiem Kochanowskiego autorstwa Jana Kucza. Te ślady ma także Sandomierz, Kraków, Piotrków Trybunalski, Pułtusk, Płock, Lublin, Kowno, Wilno, Bielsk Podlaski, Knyszyn, Grodno i tyle innych miejsc.

Zatrzymaliśmy się tylko najbliżej jego „ściślejszej ojczyzny”. Choć ślady i pamiątki po poecie ostały się także i w miejscach dalekich podróży poety, jak np. w bazylice św. Antoniego w Padwie w epitafrum na grobie Erazma Kretkowskiego – jako pierwszy tekst poety drukowany i wykuty w marmurze.

Ale śladem i spuścizną największą po Kochanowskim jest jego twórczość. Jej potęgę, nowatorstwo i trwałość rozumiał sam poeta. Nie krył tego w „Psalterzu Dawidów”:

*I wdartem się na skałę pięknej Kalijopy,  
gdzie dotychczas nie było znaku polskiej stopy*

Twórczość Jana Kochanowskiego, poety od „gniazda ojczystego”, ale i lirycznych *Trenów* i świadectwa obywatelskiej odpowiedzialności, czyli *Odprawy posłów greckich* mimo dzielących od jej powstania wieków, języka, ciągle jest aktualna, przywraca niezmiennie cechy, wartości, relacje filozoficzne człowieka nad samym sobą i pragmatyczne aspekty codzienności.

W okresie poszukiwania nowych wartości, symboli i wzorców postać Kochanowskiego, która jak w lustrze odbija się w jego twórczości, budzi zdumienie, szacunek i ciągle odradzającą się recepcję życia i dokonań.

W poniższym wyborze dzieł Jana Kochanowskiego prezentujemy kilkadziesiąt najbardziej znanych, ale i mniej publikowanych utworów poety zebranych w działach: fraszki, pieśni, psalmy, treny, z klasycznym dramatem „Odprawa posłów greckich”.

# Wybrane utwory

## Fraszki

### Człowiek Boże igrzysko

Nie rzekł jako żyw żaden więtszej prawdy z wieka,  
Jako kto nazwał bożym igrzyskiem człowieka.  
Bo co kiedy tak mądrze człowiek począł sobie,  
Żeby się Bóg nie musiał jego śmiać osobie?  
On, Boga nie widziawszy, taką dumę w głowie  
Uprządł sobie, że Bogu podobnym się zowie.  
On miłością samego siebie zaślepiony,  
Rozumie, że dla niego świat jest postawiony;  
On pierwaj był, niżli był; on, chocia nie będzie,  
Przed się będzie; próżno to, błaznów pełno wszędzie.

### Do Anny

Wczora, czekając na twe obietnice  
I zabywając niejako tesknice,  
Napisałem ci krom rozmysłu wszego  
Ten rym niegładki, skąd byś serca mego  
Frasunk poznała i myśl utrapioną.  
Anno, twoimi słowy zawiedzioną,  
Bom ustawicznie rachował godziny  
A szukał twego mieszkania przyczyny.  
Chciałem li czytać, tom nic nie rozumiał;  
Chciałem li zagrać, tom począć nie umiał.  
Na koniec wziąwszy we mdłą rękę piórko  
Pisałem: „Ojca prawdziwego córko  
Nieprawie słowna!” – a w tym mię sen zmorzył,  
Gniew upokoił, nadzieję umorzył.

### Do Anny

Królowi rówien, a jeśli się godzi  
Mówić co więcej, i króla przechodzi,  
Anno, kto siedząc prawie przeciw tobie,  
Przypatruje się coraz twjej osobie  
I słucha twego śmiechu przyjemnego,  
Co wszystkich zmysłów zbawia mię, smutnego,  
Bo skoro namniej wzrok skłonię ku tobie,

Słowa nie mogę domagać się w sobie;  
Język mi zmiłknie, płomień się w mię kradnie,  
W uszu mi piszczy, noc przed oczy padnie,  
Pot przez mię bije, drzę wszytek i bladnę,  
Tylko że martwy przed tobą nie padnę.

### **Do fraszek**

Fraszki nieprzepełnione, wdzięczne fraszki moje,  
W które ja wszytki kładę tajemnice swoje,  
Bądź łaskawie Fortuna ze mną postępuje,  
Bądź inaczej, czego snąć więcej się najduje.  
Obrałliby się kiedy kto tak pracowity  
Żeby z was chciał wyczerpać umysł mój zakryty:  
Powiedzcie mu, niech próżno nie frasuje głowy,  
Bo się w dziwny Labirynt i błąd wda takowy,  
Skąd żadna Aryjadna, żadne kłębki tylne  
Wywieść go móc nie będą, tak tam ścieżki mylne.  
Na koniec i sam cieśla, który to mistrował,  
Aby tu rogatego chłopobyka chował,  
Nie zawsze do wrót trafi, aż pióra szychtuje  
Do ramienia, toż ledwe wierzchem wylatuje.

### **Do gór i lasów**

Wysokie góry i odziane lasy!  
Jako rad na was patrzę, a swe czasy  
Młodsze wspominam, które tu zostały,  
Kiedy na statek człowiek mało dbały.  
Gdziem potym nie był? Czegom nie skosztował?  
Jażem przez morze głębokie żeglował,  
Jażem Francuzy, ja Niemce, ja Włochy,  
Jażem nawiedził Sybilline lochy.  
Dziś żak spokojny, jutro przypasany  
Do miecza rycerz; dziś między dworzany  
W pańskim pałacu, jutro zasię cichy  
Książd w kapitule, tylko że nie z mnichy  
W szarej kapicy a z dwojakim płatem;  
I to czemu nic, jeśliże opatem?  
Taki był Proteus, mieniać się to w smoka,  
To w deszcz, to w ogień, to w barwę obłoka.  
Dalej co będzie? Śrebrne w głowie nici,  
A ja z tym trzymam, kto co w czas uchwyci.

## Do Miłości

Matko skrzydlatych Miłości,  
Szafarko trosk i radości,  
Wsiądź na swój wóz ułożony,  
Białym łabędziom zwierzony!  
Puść się z nieba w snadnym biegu,  
A staw' się na wiślnym brzegu,  
Gdzie ku twej ęci ołtarz nowy  
Stawię swą ręką darnowy.  
Nie dam ci krwawej ofiary,  
Bo co mają srogie dary  
U boginie dobrotliwej  
Czynić i światu życzliwej?  
Ale dam kadzidło wonne,  
Które nam kraje postronne  
Posyłają; dam i śliczne  
Zioła w swych barwach rozliczne.  
Masz fijołki, masz leliję.  
Masz majeran i szałwiją,  
Masz wdzięczny swój kwiat różany,  
To biały, a to rumiany.  
Tym cię błagam, o królowa  
Bogatego Cypru, owa  
Abo różne serca zgodzisz,  
Abo i mnie wyswobodzisz.  
Ale raczej nas oboje  
Wzów' pod złote jarzmo swoje;  
W którym niechaj ci służywa,  
Póki ja i ona żywa.  
Przyzwól, o matko Miłości,  
Szafarko trosk i radości!  
Tak po świecie niechaj wszędzie  
Twoja władza wieczna będzie!

## Do pana

Bóg tylko ludzkie myśli wiedzieć może  
I ku dobremu samże dopomoże;  
Ale cokolwiek przeciwnego Jemu,  
Dobrze nie padnie, by więc najmędrszemu.  
Wszystko wiesz, Panie: zgub, co przeciw Tobie,  
A zdarz, jako Pan, coś ulubił sobie.

## **Do poetów**

Jako Chiron, ze dwojej natury złożony,  
Wzgórze człowiek, a na dół koń nieobjeżdżony,  
Rad był, kiedy przyjmował do swej leśnej szopy  
Nauczonego syna pięknej Kalijopy,  
Naonczas gdy do Kolchów rycerze wybrani  
Pławili się przez morze po kozuch barani:  
Równiem wam i ja tak rad, zacni poetowie!  
A jeśli u Chirona cni bohaterowie  
Przyjmowali za wdzięczne wieczerzą ubogą,  
Bo tam wszytką cześć była mleko z swiną nogą:  
Nie gardźcie i wy tym, co dom ubogi niesie,  
Bo jako Chiron także i ja mieszkam w lesie.  
Będzie ser, będzie szołdra, będą wonne śliwy;  
Każecie li też zagrać, i na tom ja chciwy.  
Owa prosto będziecie ze mnie mieć Chirona,  
Tylko że ja nie włożę za sobą ogona.

## **Do przyjaciela**

Nie frasuj sobie, przyjacielu, głowy,  
Chociaś zawiedzion omylnymi słowy;  
Poczekaj jeszcze, a przypatrz się pilnie,  
Jeśli prawdziwie czy mówię omylnie,  
Że białogłowy na to się ćwiczyły,  
Aby nas za nos, prostaki, wodziły.  
Ja nic nie twirdzę, ale mi ty powiesz,  
Kiedy się też sam pewnej rzeczy dowiesz.  
A ja przestanę na twoim wyroku,  
Jako mam trzymać o tej kości z boku.

## **Na dom w Czarnolesie**

Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje;  
Raczyż błogosławieństwo dać do końca swoje!  
Inszy niechaj pałace marmórowe mają  
I szczerym złotogłowem ściany objijają,  
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gniaździe ojczystym,  
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumnieniem czystym,  
Pożywieniem ućciwym, ludzką życzliwością,  
Obyczajmi znośnymi, nieprzykrą starością.

## Na fraszki

A cóż czynić? Pijaństwo zbytnie zdrowiu szkodzi;  
Gra też częściej z utratą niż z zyskiem przychodzi;  
A nadzieje zaś nie masz wzajemnej miłości,  
A owa na swą szkodę suszy barzo kości.  
Wy tedy, co kto lubi, moi towarzysze,  
Pijcie, grajcie, miłujcie – Jan fraszki niech pisze!

## Na lipę

Gościu, siadź pod mym liściem, a odpoczni sobie!  
Nie dójdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,  
Choć się nawyszej wzbije, a proste promienie  
Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie.  
Tu zawsze chłodne wiatry z pola zawiewają,  
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.  
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły  
Biorą miód, który potym szlachci pańskie stoły.  
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,  
Że człowiekowi łącno słodki sen przypadnie.  
Jabłęk wprowadzie nie rodzę, lecz mię pan tak kładzie  
Jako szczep najpłodniejszy w hesperyskim sadzie.

## Na nabożną

Jeśli nie grzeszysz, jako mi powiadasz,  
Czego się, miła, tak często spowiadasz?

## Na swoje księgi

Nie dbają moje papiery  
O przeważne bohaterzy;  
Nic u nich Mars, chocia srogi,  
I Achilles prędkonogi;  
Ale śmiechy, ale żarty  
Zwykły zbierać moje karty.  
Pieśni, tańce i biesiady  
Schadzają się do nich rady.  
Statek tych czasów nie płaci,  
Pracą człowiek próżno traci.  
Przy fraszkach mi wždy naleją,  
A to wniwecz, co się śmieją.

## Na zdrowie

Ślachetne zdrowie,  
Nikt się nie dowie,  
Jako smakujesz,  
Aż się zepsujesz.  
Tam człowiek prawie  
Widzi na jawie  
I sam to powie,  
Że nic nad zdrowie  
Ani lepszego,  
Ani droższego;  
Bo dobre mienie,  
Perły, kamienie,  
Także wiek młody  
I dar urody,  
Mieśca wysokie,  
Władze szerokie  
Dobre są, ale –  
Gdy zdrowie w całe.  
Gdzie nie masz siły,  
I świat niemiły.  
Klinocie drogi,  
Mój dom ubogi  
Oddany tobie  
Ulubuj sobie!

## O doktorze Hiszpanie

„Nasz dobry doktor spać się od nas bierze,  
Ani chce z nami doczekać wieczerze.”  
„Dajcie mu pokój! najdziem go w pościeli,  
A sami przedsię bywajmy weseli!”  
„Już po wieczerzy, pódźmy do Hiszpana!”  
„Ba, wierę, pódźmy, ale nie bez dzbana.”  
„Puszczaj, doktorze, towarzyszu miły!”  
Doktor nie puścił, ale drzwi puściły.  
„Jedna nie wadzi, daj ci Boże zdrowie!”  
„By jeno jedna” – doktor na to powie.  
Od jednej przyszło aż więc do dziewięci,  
A doktorowi mózg się we łbie maści.  
„Trudny – powiada – mój rząd z tymi pany:  
Szedłem spać trzeźwio, a wstanę pijany.”

## O Flisie

Ze Gdańska Flis wędrując, gdy sobie nadchodził,  
Stąpił we wsi do karczmy, aby się ochłodził.  
Ale miasto ochłody jeszcze się zapalił,  
Bo mu Kupido młodą gospodynią schwalił.  
Więc każe piwa nosić, a gospodarz baczy,  
Że mu do żony z wiosłem flis przymierzać raczy.  
Da pokój: za gościów grosz miło mu się napić,  
Nie każe się do łoża gospodyniej kwapić.  
Flis ma swą rzecz na pieczy, a gospodarz nie mniej.  
Słuchajcież, kto tu sztukę wyprawi foremnej.  
Kiedy gospodarz nie mógł już przesiedzieć flisa:  
„Nie tu – pry – łgać”; wzniożwszy głą nakrył dłonią cisa.  
Usnął ściany się wsparwszy. Flis ku paniej godzi.  
Onej też nie od tego, ręka tylko szkodzi.  
„Namniejsza to” – rzecze flis; także między spary  
W grosz ugodził dobywszy krzoski z szarawary.

## O Łazarzowych księgach

Coć wymyślili ci heretykowie?  
(Bo tak filozof luterana zowie.)  
Łazarz on święty, kiedy znowu ożył,  
Napiisał księgi, w które wszystko włożył,  
Cokolwiek widział albo co i słyszał  
Na onym świecie, gdy pod ziemią dyszał.  
Ale ich nie chciał pokazać nikomu,  
Ani obcemu, ani swoim w domu.  
Aż gdy miał umrzeć, natenczas tam wskazał  
Po filozofa i temuż ukazał  
One swe księgi, ale zawiązane  
I nadto jeszcze zapieczętowane.  
I rzecze k'niemu: „Ja śmierć bliską czuję,  
A tak cię tymi księgami daruję,  
Gdziem wszystko włożył, com widział i słyszał  
Na onym świecie, gdym pod ziemią dyszał.  
Ale cię proszę, byś ich nie otwierał,  
Aż kiedy także sam będziesz umierał.  
Bo tam nic nie masz, czego żywym trzeba:  
Wszystko się plecie coś około nieba.  
Przeto tymczasem inszych rzeczy pytaj,  
A moje księgi przy skonaniu czytaj!



A przeczytawszy oddasz je drugiemu  
Filozofowi także uczonemu.  
I tak do końca niech się podarzają,  
A przed skonaniem tylko je czytają!”  
Tamże przywiedzion mój filozof k'temu.  
Że przysiągł dosyć uczynić wszytkiemu.  
Łazarz w tym skołał; wziął filozof księgi,  
Dawno by w nich był, by nie dla przysięgi;  
Owa tak długo leżał w tym rosole,  
Że one księgi rozłożył po stole,  
Pocznie wartować, ali papier goły:  
„Ba to – pry – pismo nie z głębokiej szkoły.”  
Więc, jako czytał, tak też trzymał o tym  
I podał drugim filozofom potym.

## O Miłości

Kto naprzód począł Miłość dziecięciami malować,  
Może mu się zaprawdę każdy podziwować;  
Ten widział, że to ludzie bez rozumu prawie,  
A wielkie dobra tracą przy tej głupiej sprawie.  
Tenże nie darmo przydał do ramienia pierze,  
Bo tam częsta odmiana; to gniew, to przymierze.  
Strzały znaczą, że nagle człowieka ugodzi,  
A z onej rany żaden zdrowo nie odchodzi.  
We mnie strzały mieszkają i ten bożek mały,  
Ale mu pewnie wszytki pióra wypadają,  
Bo się nie da wypłoszyć nigdziej z serca mego  
Ani mi odpoczynku pozwoli żadnego.  
Co za rozkosz masz mieszkać w suchych kościach moich  
Zaby już nie czas przenieść gdzie indziej strzał swoich?  
Lepiej swej mocy na tych nieukach skosztujesz,  
Bo już nie mnie, ale mój tylko cień frasujesz,  
Który jeśli zatracisz, kto tak śpiewać będzie?  
Z moich tych prostych rymów jesteś sławnym wszędzie,  
Które rumianej twarzy i oka czarnego  
Nie zamilczą u paniej, i chodu snadnego.

## **O Rzymie**

Jako wszystkie narody Rzymowi służyły,  
Póki mu dostawało i szczęścia, i siły,  
Także też, skoro mu się powinęła noga,  
Ze wszystkiego nań świata uderzyła trwoga.  
Fortunniejszy był język, bo ten i dziś miły:  
Tak zawsze trwalszy owoc dowcipu niż siły.

## **O ślachcicu polskim**

Jeden pan wielomózny niedawno powiedział:  
„W Polsce ślachcic jakoby też na karczmie siedział;  
Bo kto jedno przyjedzie, to z każdym pić musi;  
A żona, pościel zwłócząc, nieboga się krtusi.”

## **O żywocie ludzkim**

Fraszki to wszystko, cokolwiek myślemy,  
Fraszki to wszystko, cokolwiek czyniemy;  
Nie masz na świecie żadnej pewnej rzeczy,  
Próżno tu człowiek ma co mieć na pieczy.  
Zacność, uroda, moc, pieniądze, sława,  
Wszystko to minie jako polna trawa;  
Naśmiawszy się nam i naszym porządkom,  
Wemkną nas w mieszek, jako czynią łątkom.

## Odprawa posłów greckich

PODANA NA TEATRUM PRZED KRÓLEM JEGO MŚCIĄ  
I KRÓLOW JEJ MŚCIĄ W JAZDOWIE POD WARSZAWĄ  
DNIA 12 STYCZNIA ROKU PAŃSKIEGO 1578,  
NA FEŚCIE U JEGO MŚCI PANA  
PODKANCLERZEGO KORONNEGO

### Dedykacja:

MEMU MIŁOŚCIWEMU PANU, JEGO MŚCI PANU, PANU JANOWI  
ZAMOYSKIEMU Z ZAMOŚCIA, PODKANCLERZEMU KORONNEMU  
ETC., ETC. SŁUŻBY SWE W ŁASKĘ W.M. MEGO MIŁOŚCIWEGO  
PANA ZALECAM

Wczora dopiero oddano mi obadwa listy za raz, któreś W. M. do mnie około tej tragedyej pisał. A iżem przedtym nie wiedział o tych liściech, spodziewałem się, że za tymi czasów odwłokami i mej tragedyej się odwlec miało albo raczej, że tak ze mną zostać miała – molom na pokarm albo na trąbki do apteki. Jakom listy W. M. przeczytał, nie było czasu poprawować, bom wszytek musiał insumere na przepisanie. Quicquid id est, a baczę, że błazeństwo, i W. M. sam podobno rzeczesz, posyłam W. M. tym śmieiej, chocia nie masz co, zem to jeszcze z przodku W. M. opowiadał, że to nie miało być ad amussim, bo mistrz nie po temu. Rzeczy też drugie nie wedła uszu naszych. Inter caetera trzy są chory, a trzeci jakoby greckim chorom przygania, bo oni już osobny characterem do tego mają; nie wiem, jako to w polskim, języku brzmieć będzie. Ale w tym niech będzie arbitrium W. M. albo raczej we wszytkim. Barzo bych to był rad czynił. żebych był sam praesens W. M. teraz służby swe ofiarował, ale mi złe zdrowie nie da. Nierad bych przedsię omieszkał przenosin W. M., jeśli salus tak będzie chciała. Zatym się łasce W. M. mego miłościwego Pana zalecam. Dat. w Czarnolesie dwudziestego wtórego dnia grudnia. Roku Bożego MDLXXVII.

### Persony:

ANTENOR

ALEKSANDER, którego i Parysem zowią

HELENA

PANI STARA

POSEŁ PARYSÓW

UILISSES, MENELAUS posłowie greccy

PRIAMUS, król trojański

KASANDRA

ROTMISTRZ

WIĘZIEN

CHORUS z panien trojańskich

## ANTENOR

Com dawno tuszył i w głos opowiadał,  
Że obelżenia i krzywdy tak znacznej  
Cierpieć nie mieli waleczni Grekowie:  
Teraz już posły ich u siebie mamy,  
Którzy się tego u nas domagają,  
Aby Helena była im wydana.  
Którą w tych czasach przeszłych Aleksander  
Będąc w Grecyjej, gość nieprawie wiorny,  
Uniósł od męża i przez bystre morze  
Do trojańskiego miasta przeprowadził.  
Tę jeśli wrócim i mężowi w ręce  
Oddamy, mozem siedzieć za pokojem,  
Lecz jeśli z niczym posłowie odjadą,  
Tegoż dnia nowin słuchajmy, że Greczyn  
Z morza wysiada i ziemię wojuje.  
Czuje o sobie, widzę, Aleksander  
Praktyki czyni, towarzystwa zbiera,  
Śle upominki, aż i mnie nie miną;  
A mnie i dom mój, i co mam z swych przodków,  
Nie jest przedajno. A miałbych swą wiarę  
Na targ wynosić, uchowa mię tego  
Bóg mój. Nie ufa swej sprawiedliwości,  
Kto złotemu mówić od siebie rzecz każe.  
Lecz i to człowiek małego baczenia,  
Który na zgubę rzeczypospolitej  
Podarki bierze, jakoby sam tylko  
W cale miał zostać, kiedy wszystko zginie.  
Ale mnie czas do rady, bo dziś król chce posły  
Odprawować. Snadź widzę Aleksandra? Ten jest.

## ALEKSANDER, ANTENOR

### ALEKSANDER

Jako mi niemal wszyscy obiecali,  
Cny Antenorze, proszę, i ty sprawie  
Mej bądź przychylnym przeciw posłom greckim.

### ANTENOR

A ja z chęcią rad, zacny królewicze,  
Cokolwiek będzie sprawiedliwość niosła  
I dobre rzeczypospolitej naszej.

ALEKSANDER

Wymówki nie masz, gdy przyjaciel prosi.

ANTENOR

Przyzwalam, kiedy o słuszną rzecz prosi.

ALEKSANDER

Obcemu więcej życzyć niżli swemu  
Coś niedaleko zda się od zazdrości.

ANTENOR

Przyjacielowi więcej niżli prawdzie  
Chcieć służyć zda się przeciw przystojności.

ALEKSANDER

Ręka umywa rękę, noga nogi  
Wspiera, przyjaciel port przyjacielowi.

ANTENOR

Wielki przyjaciel przystojność: tą sobie  
Rozkazać służyć nie jest przyjacielska.

ALEKSANDER

W potrzebie, mówią, doznać przyjaciela.

ANTENOR

I toć potrzeba. gdzie sumnienie płaci

ALEKSANDER

Piękne sumnienie: stać przy przyjacielu.

ANTENOR

Jeszcze piękniejsze: zostawać przy prawdzie.

ALEKSANDER

Grekom pomagać to u ciebie prawda.

ANTENOR

Grek u mnie każdy, kto ma sprawiedliwą.

ALEKSANDER

Widzę, żebyś mnie ty prędko osądził.

ANTENOR

Swoje sumnienie każdego ma sądzić.

ALEKSANDER

Znać, że u ciebie gospodą postowie.

ANTENOR

Wszystkim ućciwym dom mój otworzony.

ALEKSANDER

A zwłaszcza, kto nie z próżnymi rękoma.

ANTENOR

Trzeba mi bowiem sędziom na podarki,  
Bom cudzą żonę wziął, o którą czynią.

ALEKSANDER

Nie wiem o żonę, ale dobry bierzesz,  
Od Greków zwłaszcza; moje na cię małe.

ANTENOR

I żon, i cudzych darów nierad biorę.  
Ty, jako żywiesz, tak, widzę, i mówisz  
Niepowściągliwie; nie mam z tobą sprawy.

ALEKSANDER

I mnie żal, żem cię o co kiedy prosił,  
Ufam swym, bogom, że i krom twej łaski  
Najdę, kto rzeczy mych podpierać będzie.

ANTENOR

Taki, jakiś sam.

ALEKSANDER

Da Bóg, człek poćciwy.

CHORUS

By rozum był przy młodości,  
Nigdy takiej obfitości  
Pereł morze i ziemia złota nie urodzi,  
Żeby tego nie mieli tym dostawać młodzi.  
Mniej by na świecie trosk było,  
By się to dwoje łączyło;  
I oni by rozkoszy trwalszych używali,  
Siebie ani powinnych w żal by nie wdawali  
Teraz, na rozum nie dbając,  
A żądzom tylko zgadzając,  
Zdrowie i sławę tracą, tracą majątności  
I ojczyznę w ostatnie zawodzą trudności.  
O Boże na wielkim niebie!  
Drogo to, widzę, u Ciebie  
Dać młodość i baczenie za raz; jedno płacić

Drugim trzeba: to dobre, a tego żal stracić.  
Ale oto Helenę widzę: co też teraz  
Nieboga myśli wiedząc, że dziś o niej w radzie  
Ostateczne namowy, ma-li w Troi zostać  
Czyli Grecyją znowu i Spartę nawiedzić?

HELENA

Wszystkom ja to widziała jako we zwierciadle,  
Że z korzyści swej nie miał długo się weselić  
Bezecny Aleksander, ale mu wczas mieli  
I dobrą myśl przekazać przeważni Grekowie.  
Więc on, jako drapieżny wilk rozbiwszy stado,  
Co nadalej uciekał, a oni zaś, jako  
Pasterze ze psy, za nim. I ledwie do tego  
Nie przyjdzie, że wilk owcę na ostatek musi  
Porzucić, a sam gdzie w las sromotnie uciecze.  
Niestety, jakież moje będą przenosiny?  
Podobno w tył okrętu łańcuchem za szyję  
Uwiązana, pośrodkiem greckich naw popłynę.  
Z jakąż ja twarzą bracią swą miłą przywitam?  
Jakoż ja, niewstydliva, przed oczy twe naprzód,  
Mężu mój miły, przyjdę i sprawę o sobie  
Dawać będę? A będęż w twarz ci wejrzeć śmiała?  
Bodajżeś ty był nigdy Sparty nie nawiedził,  
Nieszczęsny Prijamida! Bo czego mnie więcej  
Niedostawało? Zacnych książąt córką będąc  
Szłam w książęcy dom zacny; dał był Bóg urodę,  
Dał potomstwo, dał dobrą nade wszystko sławę.  
Tom wszystko prze człowieka złego utraciła.  
Ojczyzna gdzieś daleko, przyjaciół nie widzę,  
Dziatki, nie wiem, żywe-li; jam sama coś mało  
Od niewolnice rozna, przymówkom dotkliwym  
I złej sławie podległa. a co jeszcze ze mną  
Szczęście myśli poczynać, ty sam wiesz, mój Panie.

**HELENA, PANI STARA**

PANI STARA

Nie frasuj mi się, moje dziecię miłe,  
Takci na świecie być musi: raz radość,  
Drugi raz smutek; z tego dwojga żywot  
Nasz upleciony. I rozkoszy-ć nasze  
Niepewne, ale i troski ustąpić  
Muszą, gdy Bóg chcej a czasy przyniosą.

HELENA

O matko moja, nierównoż to tego  
Wieńca pleciono; więcejże daleko  
Człowiek frasunków czuje niż radości

PANI STARA

Barziej do serca to, co boli, człowiek  
Przypuszcza, niżli co g'myśli się dzieje,  
I stądże się zda, że tego jest więcej,  
Co trapi, niżli co człowiecza cieszy.

HELENA

Prze Bóg, więcejci złego na tym świecie  
Niżeli dobrego. Patrzaj naprzód, jako  
Jedenże tylko sposób człowiekowi  
Jest urodzić się, a zginąć tak wiele  
Dróg jest, że tego niepodobno zgadnąć.  
Także i zdrowie nie ma, jeno jedno.  
Człowiek śmiertelny. a przeciwko temu  
Niezliczna liczba chorób rozmaitych.  
Ale i ona, którą wszystkim włada,  
Która ma wszystko w ręku, wszystkimi rządzi,  
Fortuna za mną świadczy, że daleko  
Mniej dóbr na świecie niżli tego, co złym  
Ludzie mianują, bo ubogaciwszy  
Pewną część ludzi, patrzaj, co ich ciężkim  
Ubóstwem trapi. A iż tego żadnej  
Zazdrości gwoli ani skąpstwu swemu  
Nie czyni, ale niedostatkiem tylko  
Ściśniona, znak jest, że i dziś, gdy komu  
Chce co uczynić dobrze, pospolicie  
Jednemu pierwaj weźmie, toż dopiero  
Drugiemu daje; skąd się da rozumieć,  
Co już powtarzam nieraz, że na świecie  
Mniej dóbr daleko niżli złych przypadków.

PANI STARA

Mniej abo więcej, równa-li też liczba  
Obojga – korzyść niewielka to wiedzieć.  
O to by Boga prosić, żeby człowiek  
Co najmniej szczęścia przeciwnego doznał.  
Bo żeby zgoła nic, to nie człowiecza.  
Ale że z rady tak długo nikogo  
Nie słyhać! Wiem, że da bez omieszkania



Znać Aleksander, skoro się tam rzeczy  
Przetoczą, a naim białymgłowom jakoś  
Przystojniej w domu zawždy niż przed sienią.

#### CHORUS

Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie,  
A ludzką sprawiedliwość w ręku trzymacie,  
Wy, mówię, którym ludzi paść poruczono  
I zwirchności nad stadem bożym zwierżono:  
Miejcie to przed oczyma zawždy swojemi,  
Zeście miejsce zasiedli boże na ziemi,  
Z którego macie nie tak swe własne rzeczy,  
Tako wszytek ludzki mieć rodzaj na pieczy.  
A wam więc nad mniejszymi zwierzchność jest dana.  
Ale i sami macie nad sobą pana,  
Któremu kiedyżkolwiek spraw swych uczynić  
Poczet macie: trudnoż tam krzywemu wynić.  
Nie bierze ten pan darów ani się pyta,  
Jeśli kto chłop czyli się grofem poczyta,  
W siermiędzieli go widzi, w złotychli głowach;  
Jeśli namniej przewinił, być mu w okowach.  
Więc ja podobno z mniejszym niebezpieczeństwem  
Grzeszę, bo sam się tracę swym wszeteczeństwem.  
Przełożonych występy miasta zgubiły  
I szerokie do gruntu carstwa zniszczyły.

#### POSEŁ, HELENA

##### POSEŁ

Dobrą nowinę paniej swojej niosę.  
Rozumiem temu, że już dawno tego  
Poselstwa czeka, serce swe troskami  
I płaczem trapiąc. Ale oto prawie  
Na czas wychodzi z domu.  
O królowa,  
Wdzięcznej nowiny posła masz przed sobą.

##### HELENA

Daj Boże, byś co przyniósł pocieszego.

##### POSEŁ

Posłowie twoi, jako przyjechali,  
Tak odjeżdżają, a ty przedsię z nami.

HELENA

Byłeś sam w radzie czyś słyszał od kogo?

POSEŁ

Byłem przy wszystkim i prosto mi stamtąd  
Iść Aleksander do ciebie rozkazał.

HELENA

Jeszcze nie widzę, z czego bych się prawie  
Ucieszyć miała. Wszakże powiedz przedsię,  
Jako co było.

POSEŁ

Powiem, jeno słuchaj!

Skoro w radzie zasiedli panowie, król naprzód  
Tę rzecz do nich uczynił: „Nie zwykłem nic nigdy  
Bez rady waszej czynić; a bych też zwykł kiedy  
(Czego w pamięci nie mam), w tej sprawie koniecznie  
Syna swego bych nie chciał, aby mię ojcowska  
Miłość przeciw synowi jako nie uwiodła.

Bo aczci to podobno nie darmo rzeczono:

>>Krew nie woda<<, lecz u mnie pospolitej rzeczy  
Powinowactwo większe. A tak, co się kolwiek  
Wam wszystkim będzie zdało, toż i ja pochwałę.  
Syn mój w Grecyjej żony dostał, nie wiem jako,  
Tej się upominają od Greków posłowie.

Wydać abo nie wydać; w tym rozmysłu trzeba”.

Zatym wstał Aleksander i tak mówić począł:

„Przy pierwszej posłów skardze dałem dostateczną  
Sprawę o sobie; teraz nie chcę uszu waszych  
Słowy próznymi bawić, ale, maluczko co  
Powiedziawszy, ostatek na Boga przypuszczę  
I na łaskę ojcowską, i was wszystkich zdanie.

Wszystkim wam jest świadomo, jakim ja był żywot  
Wziął przed się, żeciem nigdy tych burkowych biesiad  
Patrzeć nie chciał; wolałem po gęstych dąbrowach  
Prędkie jelenie gonić abo dzikie świnię.

Anim ja tego sobie za niewczas poczytał

W budzie leśnej się przespać i nad stady chodzić.

Nie myśliłem ja wtenczas namniej o Helenie

Ani to imię przedtym w uszu mych powstało.

Wenus kiedy mie naprzód trzy boginie sobie

Za sędziego obrały, Wenus mi ją sama

Najpierw zaleciła i za żonę dała.

Ludzie, widzę, u Boga szczęścia sobie proszą,

A ja, kiedy mie z chęci swej tym potykali,  
Miałem gardzić? Przyjąłem, i przyjąłem wdzięcznie,  
I mam pewną nadzieję, że tenże bóg, który  
Uciął mię naprzód, będzie i do końca szczęścił.  
I co mi dał, nie da mi leda jako wydrzeć.  
A bych też był żony swej ludzkim obyczajem  
Dostawał, nie wiem, czemu onym się żyć miało  
Medeą z domu wykraść od przyjaciół naszych,  
A mnie zaś ich fortelu takimże fortem  
Oddać się nie godziło.  
Jeslim co tedy winien, toż i oni winni.  
Chcáli nagrody, niech ją sami pierwej czynią,  
Jako ci, którzy krzywdę naprzód uczynili,  
A tam, ojcze, nie tylko żonę moję, ale  
I mnie samego wydaj, niechaj pokutuję!  
Gdzieby też to o sobie tak rozumieć chcieli,  
Że im każdy, a oni nie winni nikomu  
Sprawiedliwości czynić: tego, da Bóg, nigdy  
Nad nami nie przewiodą ani ich z to będzie.  
Nie tuszęć ja, żebyś ty, ojcze mój łaskawy,  
Nie pomniał jeszcze krzywdy i szkód staradawnych,  
Któreś wziął od tych panów, i to państwo sławne.  
Jeszcze mury na ziemi leżą powalone  
I pola do tej doby pustyniami stoją,  
Znaki miecza greckiego i okrutnej ręki.  
A byś też tego dobrze nie chciał sam pamiętać,  
Hezyjona pamiętać musi, siostra twoja.  
Ojcze, a moja ciotka, która do tej doby  
U nich w niewoli żywie, jeśli jeszcze żywie.  
Tej nam krzywdy, o krolu, jedna nie nagrodzi  
Helena ani jeden Parys powetuje”.  
Tu przestał Aleksander, a szept między ludźmi  
Rozlegał się po sali. Jako więc ku latu  
Robotne pszczoły w ulu szemrzą, kiedy wodza  
Nowego oglądały, a chęć nastąpiła  
Od macior się wynosić i nowe zaczynać  
Gospodarstwo, szmer w ulu i rozruch kryjomy  
Taki dźwięk tam natenczas wstał by między ludźmi,  
Który skoro ucichnął Antenor jał mówić:  
„Prawdzie długich wywodów, krolu, nie potrzeba:  
Aleksander, w Grecyjej gościem w domu będąc  
Człowieka przedniejszego na gościnne prawa  
Nie pomniąc, żonę mu wziął i przywłaszezył sobie.  
By mu był niewolnicę naliższą przemówił,

Winien by mu być został. Cóż, kiedy wziął żonę,  
Której ani zaniedbać, ani też dochodzić  
Dobry, ućwiwy człowiek bez wstydu nie może?  
Winien mu niepomału. On, chocia ze wstydem,  
Żony się upomina, a ja wrócić radzę,  
Abychmy ku zelżeniu niesprawiedliwości  
Nie przydali: oboje to przez się nieznośne,  
Cóż pospołu złożone! To też niewątpliwa,  
Że Grekowie Heleny nie tylko przez posły,  
Ale nawet i przez miecz domagać się będą.  
Niechże się Aleksander tak drogn nie żeni,  
Żeby małżeństwo swoje upadkiem ojczyzny  
I krwią naszą miał płacić! Jeśli w łaskę dufa  
Boginiej swej, niech na to miejsce dwu się boi,  
Które dla niej rozgniewał i sądem swym zganił.  
Medeą nie za naszych czasów uniesiono,  
I nie wie, jeśli nam co do tego. To widzę,  
Że tej krzywdy u Greków nikt się do tej doby  
Nie domagał; milczeli tego, którym było  
Przystojniej o to mówić. Nie wiem, jako słusznie  
Swoją własną występ cudzą krzywdą barwić chcemy?  
To się nas bardziej tycze, że za przodków naszych  
Grekowie w tym królestwie mieczem wojowali;  
Lecz i natenczas, królu (prawda się znać musi),  
Nasza niesprawiedliwość do tego upadku  
Nas przywiodła, że się też i dziś lękać muszę,  
Aby to sąd tajemny jakiś boży nie był,  
Nam prze niesprawiedliwość zawsze pomstę odnieść  
Od Greków. Czego tobie przestrzegać się godzi,  
O królu, a tym bardziej żeś i w pierwszej klęsce  
Mało małym nie zginął pokutując za grzech  
Ojcowski i postępek mało sprawiedliwy”.  
To powiedziawszy milczał. Toż Eneasza mówił,  
Toż Pantus i Tymetes, zgadzał się i Lampon,  
I Ukalegon z nimi, ale Iketaon  
Coś inszego rozumiał i w te słowa mówił:  
„Owa, jako nam kolwiek Grekowie zagrają,  
Tak my już skakać musim? Bać się ich nam każą,  
A ja, owszem. się lękam. Teraz nam Helenę  
Wydać każą, po chwili naszych się żon będą  
I dzieci upominać. Nigdy w swojej mierze  
Chciwość władze nie stoi; zawsze, jako powódź,  
Pomyka swoich granic nieznacznie, aż potym  
Wszystki pola zaleje. Za czasu, panowie,

Umykać rogów trzeba, bo wonczas już próżno  
Miotać się, kiedy jarzmo na szyję założą.  
Sprawiedliwości proszą, a grożą nam wojną;  
Daj, chceszli, alboć wydrę, taka to jest prosto.  
Winienem sprawiedliwość, ale nie z swą hańbą:  
Kto ją na mnie wyciska, sowitej nagrody  
Ze mnie chce i korzyści, i zelżenia mego.  
Dawnyc to grecki tytuł pany się mianować,  
A nas, barbaros, sługi. Ale nie toć jest pan,  
Co się w Peleponezie albo w Troi rodził;  
Szabla ostra przy boku to pan; ta rozstrzygnie,  
Kto komu czołem bić ma. Do tego tam czasu  
Równi sobie być musim; ani tego Greczyn  
O sobie niechaj dzierży, żeby tak był groźny,  
Jako się sobie sam zda. Jeśli tedy krzywdę  
W tym się mieć rozumieją, że Helenę uniósł  
Aleksander, niechajże okażą na sobie  
Sami naprzód, jako ten gwałt winien nagradzać  
Aleksander, ponieważ samiż okazali,  
Jako taki gwałt czynić. Aczci Aleksander  
Brata przy siostrze nie wziął, jako oni wzięli  
Medeą i Absyrta.  
Bo co Antenor mówi, że nam nic do tego:  
Ba, i barzo do tego! Za jednego krzywdę  
Oni się wszyscy wzięli, a nas pojedyńkiem  
Zbierać mają? Nie tuszę; toż ci sąsiadowi  
Sąsiad w Azyjei winien, co u nich w Europie.  
Mówiono zawždy o to i do końca będą.  
Co się siostry królewskiej i szkód dawnych tycze,  
Więtsza to zasie u mnie, niżby się tu miała  
Przypomnieć abo na ten sztych kłaść, dzierżę o cnej  
Krwi trojańskiej, że tego mścić się jeszcze będzie.  
Teraz zgoła nie radzę Heleny wydawać,  
Aż się też oni z nami o Medeą zgodzą”.  
To jego słowa były. Potym się już żaden  
Długą rzeczą nie bawił; jeden głos był wszytkich:  
„Tak jako Iketaon”; i tych, co siedzieli,  
I tych, co za stołkami stali, głos był jeden:  
„Tak jak Iketaon”. Kilkakroć powstawał  
Ukalegon chcąc mówić, lecz przed hukiem nie mógł.  
Marszałkowie, laskami w ziemię coraz bijąc:  
„Posłuchajcie, panowie, Ukalegon mówi”.  
Nie pomogły nic laski, a nasz Ukalegon  
Ukalegontom mówił, bo nań nic nie dbali.

Tymczasem ktoś zawołał głosem prawie głośnym:  
„Co po tych krasnych mowach ? Rozstąpmy się oto;  
Ujrzymy, gdzie nas więcej”. Ledwe wyrzekł, a już  
Wszyscy na nogach stali i swe miejsca brali.  
Kiedy się rozstąpili, nie było co równać:  
Wszyscy przy Aleksandrze, a tam ich garść była.  
Prosilili potym króla, aby wedle prawa  
Postąpił, a za większą częścią wyrok podał.  
Król, niewiele mieszkając: „Rad bych był – powiada –  
Na zgodę waszą patrzył, lecz iż być nie mogła,  
Mnie nie lżą, jeno większej części naśladować.  
A tak, co z dobrym niechaj będzie pospolitym:  
Helena niechaj w Troi zostanie, aż też nam  
Grekowie za Medeą nagrodę uczynią”.  
Skoro po tym dekrete po posły posłano,  
A mnie też Aleksander do ciebie wyprawił  
Z tym wszystkim, coś słyszała; tuszę, że odprawę  
Do tej doby już wzięli posłowie i twójj mąż  
W domu cię dławno czeka. A tak nie mieszkajmy!

HELENA

Dobrze mówisz: idź ty wprzód, ja za tobą w tropy.

CHORUS

Tej podobno ta powieść g'myśli; mnie bynajmniej.  
I onej, nie wiem, na co ta radość wynidzie.  
Posłowie, widzę, idą nosy powiesiwszy.  
Znać, że nie po swej myśli odprawę odnoszą.

ULISSES, MENELAUS

ULISSES

O nierządne królestwo i zginienia bliskie,  
Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość  
Ma miejsca, ale wszystko złotem kupić trzeba!  
Jeden to marnotrawca umiał spraktykować,  
Że jego wszeteczeństwa i łotrowskiej sprawy  
Od małych aż do wielkich wszyscy jawnie bronia,  
Nizacz prawdy nie mając ani końca patrząc,  
Do którego rzeczy przyjść za ich radą muszą.  
Nie rozumieją ludzie ani się w tym czują,  
Jaki to wrzód szkodliwy w rzeczypospolitej  
Młódź wszeteczna: ci cnocie i wstydowni cenę

Ustawili; przed tymi trudno człowiekiem być  
Dobrym; ci domy niszczą, ci państwa ubożą,  
A rzekę, że i gubią (Trojan poznasz potym!).  
A przykładem zaś swoim jako wielką liczbę  
Drugich przy sobie psują. Patrz. jakie orszaki  
Darmojadów za nimi, którzy ustawicznym  
Próżnowaniem a zbytkiem jako wieprze tyją.  
Z tego stada, mniemacie, że się który przyda  
Do posługi ojczyzny? Jako ten we zbroi  
Wytrwa, któremu czasem i w jedwabiu ciężkn?  
Jako straż będzie trzymał, a on i w południe  
Przesypiać się nauczył? Jako stos wytrzymać  
Ma nieprzyjacielowi, który ustawicznym  
Pijaństwem zdrowie stracił? Takimi się czując,  
A podobno nie czując, na wojnę wołają  
Boże, daj mi z takimi mężmi zawsze czynić!

#### MENELAUS

Wieczne światło niebieskie i ty, płodna zieleni,  
I ty, morze szerokie, wy, wszyscy bogowie,  
I wysocy, i niscy, świadki mi dziś bądźcie,  
Żem rzeczy sprawiedliwej od Trojanów żądał,  
Abych był krzywdy wielkiej i zelżenia swego  
Nagrode jaką wziąć mógł; nicem nie otrzymał,  
Jeno śmiech ludzki a żal serdeczny tym większy.  
Na was tedy krzywdę swą i żalność niezmierną  
Kładę, możni bogowie; jeśli sercem czystym  
Tę prośbę do was czynię, pomścicie zelżenia  
I mej krzywdy tak jasnej; dajcie mi na gardle  
Usieść Aleksandrowym i miecz krwią napoić  
Człowieka bezecnego, ponieważ i on mej  
Zelżywości dawno syt i dziś się ją karmi.

#### CHORUS

O białoskrzydła morska pławaczko,  
Wychowanico Idy wysokiej,  
Łodzi bukowa, któraś gładkiej  
Twarzy Pasterza Prijamczyka  
Mokrymi słonych wód ścieżkami  
Do przezroczystych Eurotowych  
Brodów nosiła!  
Coś to zołwicom za bratową,  
Córom szlachetnym Prijamowym,  
Cnej Poliksenie i Kasandrze

Wieszczej, przyniosła?  
Za którą oto w tropy prosto.  
Jako za zbiegłą niewolnicą.  
Prędka pogonia przybieżała.  
Toli on sławny upominek  
Albo pamiętne, którym luby  
Sędziemu wyrok ze wszech Wenus  
Bogiń piękniejsza zapłaciła,  
Kiedy na Idzie stokorodnej  
Śmierci podległy nieśmiertelne  
Uznawca twarzy rozeznawał?  
Swar był początkiem i niezgoda  
Twego małżeństwa, Prijamicze,  
Nie śmiem źle tuszyć, nie śmiem, ale  
Ledwe nie takiż koniec będzie.  
Niechajże się ja, można Cypri,  
Ninacz cudzego nie zapatrzam!  
Niech towarzysza życzliwego,  
Jednemu łożu przyjaciela  
Mam z łaski twojej; inszy, więcej  
Chcąli, niech proszą!  
Oczy łakome siła ludzi  
Zawiodły, lecz kto w krygi żądzą  
Mógł ująć, w długim bezpieczeństwie  
Dni swych używie. Przyjdą, przyjdą  
Niedawno czasy, że rozbójcę  
Rozbójca znidzie; ten mu słodki  
Sen z oczu zetrze i bezpieczne  
Serce zatrwoży, kiedy trąby  
Ogromne zagrzmia, a pod mury  
Nieprzyjacielskie staną szańce.

## ANTENOR, PRIAMUS

### ANTENOR

Iż moja wiara rada u ciebie, o wielki  
Królu, ważna nie była, żebyś był Helenę  
Grekom wydać rozkazał, a tę niewątpliwą  
Wielkiej wojny pochodnią co napręcej zgasił,  
Teraz, co potym idzie, w czas cię upominam,  
Abyś czuł o potrzebie i o pewnej wojnie,  
Tak pewnej, jako mię tu clisz przed sobą widzisz.  
Słyszałeś, jako cię dziś posłowie zęgnali  
I nas wszystkich przy tobie. Pograniczni pisał  
Starostowie, że greckie wojska się ściągają



Do Aulidy; w tym wątpić nie potrzeba, że ci  
Do nas pójdą: inaczej ani by tu byli  
Posłów swych posyłali, ani tak surowie  
O swą krzywdę mówili. A tak nie mieszkając,  
Półki brzegu morskiego ostatka nie stracim,  
Porty naprzód i zamki pograniczne spiżą  
I ludźmi dobrze opatrz; hołdowanym księżętom.  
Rozkaż być pogotowiu; żołnierzom przypowiedz  
Służbę; szpiegi roześli; straż miej i na morzu,  
I na ziemi, aby cię łacni niegotowym  
Grekowie nie zastali. To jest rada moja.

PRIAMUS

Jakobyś już na oko, dobry Antenorze,  
Nieprzyjaciela widział, tak się, widzę, boisz.

ANTENOR

O królu, teraz się bać lepiej, bo za taką  
Bojaźnią i opatrność, i gotowość roście.  
Wonczas już prózny rozmyśl, bo już abo się bić,  
Abo uciekać trzeba: trzeciego nic nie masz.

PRIAMUS

A ja, owszem, na dobrej pieczy wszystko mieć chcę,  
Aby nam do tak nagłych ucieczek nie przyszło.

ANTENOR

Daj to Boże! A to zaś co za białogłowa  
Z włosy roztarganymi i twarzy tak bladej?  
Drżą na niej wszystkie członki, piersiami pracuje,  
Oczy wywraca, głową kręci: to chce mówić,  
To zamilknie.

PRIAMUS

Moja to nieszczęśliwa córą,  
Kasandra; widzę, że ją duch Apollinowy  
Zwykły nagarnął, nie lża, jeno jej posłuchać.

KASANDRA

Po co mię próżno, srogi Apollo, trapisz.  
Który, wieszczego ducha dawszy, nie dałeś  
Wagi w słowach, ale me wszystkie proroctwa  
Na wiatr idą nie mając u ludzi więcej  
Wiary nad baśni próżne i sny znikome?  
Komu serce spętane albo pamięci  
Zguba rnojej pomoże? Komu z ust moich

Duch nie mój pożyteczny i zmysły wszystkie.  
Ciężkim, nieznośnym gościem opanowane?  
Próżno się, odejmuję, gwałt mi się dzieje;  
Nie władne dalej sobą, nie jestem swoja.  
Ale gdzieżem przez Boga? Światła nie widzę,  
Noc mi jakaś przed oczy nagła upadła.  
Owóz mamy dwie słońcy, owóz dwie Troi.  
Owóz i łani morzem głębokim płynie.  
Nieszczęśliwa to łani, zły wróżki łani,  
Brońcie brzegów, pasterze, nie dopuszczajcie  
Tej niezdarzonej goście nigdziej do ziemi!  
Nieszczęśliwa to ziemia i brzeg nieszczęsny,  
Gdzie ta łani wypłynie; nieszczęsna knieja,  
Gdzie wnidzie i gdzie gładki swój bok położy  
Wszystki stopy, wszystkie jej łożyska muszą  
Krwia opłynąć; upadek, pożogę, pustki  
Z sobą niesie. O wdzięczna ojczyzno moja,  
O mury, nieśmiertelnych rękę roboto!  
Jaki koniec was czeka? Ciebie, mój bracie,  
Stróżu ojczyzny, domu zacna podpora,  
Wkoło murów trojańskich tesalskie konie  
Włóczyć grożę, a twoje oziębłe ciało  
Będzieli chciał nieszczęsny ociec pochować,  
Musi je u rozbójce złotem kupować.  
Nieprzeptacony duchu, z tobą pospołu  
I ojczyzna umarła; jednaż mogiła  
Oboje was przykryje. Lecz i ty, srogi  
Trupokupcze, niedawno i sam poleżesz.  
Strzałą niemężnej ręki prędką obiedzdon.  
Cóż potym? Kłoda leży, a ze pnia przedsię  
Nowa różga wyrosła i nad nadzieję  
Prędko ku górze idzie. A to co za koń  
Tak wielki na poboju sam jeden stoi?  
Nie wódcie go do stajniej, radzę, nie wódcie:  
Bije ten koń i kąsze; spalcie go raczej,  
Jeśli sami od niego zgorzeć nie chcecie.  
Czujcie, stróże: noc idzie, noc podejrzana.  
Wielki ogień ma powstać, tak wielki ogień,  
Że wszystko jako w biały dzień widać będzie,  
Ale nazajutrz zaś nic widać nie będzie.  
Wtenczas, ojczcze, ani już bogom swym dufaj,  
Ani się poświęconych ołtarzów łapaj:  
Okrutnego lwa szczenię za tobą bieży.  
Które cię paznoktami przejmie ostremi

I krwią twoją swe gardło głodne nasyci.  
Syny wszystkie pobiją, dziewczki w niewolę  
Zabiorą; drugie g'woli trupom umarłym  
Na ich grobiech bić będą. Matko, ty dzieatek  
Swoich płakać nie będziesz, ale wyć będziesz!

#### CHORUS

Rzućmy się co napręcej, a na pokój gdzie  
Wyprowadźmy tę pannę upracowaną!

#### ANTENOR, PRIAMUS

##### ANTENOR

Te słowa, królu, nie są ku wyrozumieniu  
Nazbyt trudne, a zgoła tobie i ojczyźnie  
Upad opowiadają; prze Boga cię proszę,  
Nie waż ich sobie lekce ani miej za baśni!

##### PRIAMUS

Jeszcze tego nieprawie ta przeciwna wiedma  
W mię wmówiła, żebych się miał bać; ale przedsię  
Postraszyła mię nieco, zwłaszcza że mi przyszedł  
Sen na pamięć żony mej; bo gdy z tym złym synem,  
Aleksandrem, chodziła, mało przed złączeniem  
Śniło się jej już na dniu, że miasto dziecięcia  
Pochodnią urodziła.

##### ANTENOR

I jam też to, królu,  
Jeszcze natenczas wiedział i pomnię, jako to  
Wieszczkowie wykładali, że to dziecię miało  
Upad ojczyźnie przynieść; czego, widzę, blisko.

##### PRIAMUS

Dobrze to pomnisz, ale i jam był rozkazał  
Grzechu tego nie żywić; dawno to na puszczy  
Wilcy mieli rozdrapać i kości nieszczęsne  
Po pustych górach roznieść.

##### ANTENOR

A lepiej było, niżli nam przeń wszystkim zginąć  
Co za więźnia to mamy? Ubiór to jest grecki.

## ROTMISTRZ, WIĘZIEN

ROTMISTRZ

Takci, panowie: wy tu radzicie, a w polu  
Grekowie nas wojują. Wczora o południu  
Pięć galer ich przypadło na trojańskie brzegi.  
Ludzi wprawdzie nie brali ani też palili,  
Ale cokolwiek było w polu bydła, wzięli.  
Jako nas tam niewielki natenczas był poczet,  
Kusiwszy się kilkakroć o nie, musielichmy  
Na ostatek dać pokój; kilka głów jest przedsię  
Zabitych, ten sam jeden tylko poimany;  
Na probie to powiedział, że greckiego wojska  
Tysiąc galer na kotwiach pogotowiu stoi  
W Aulidzie, którzy tylko na posły czekają,  
A ci jeśli Heleny nazad nie przyniosą  
(Jakoż widzę, że bez niej tak na morze wsiedli).  
Wszystko się wojsko tedyż ma ruszyć i prosto  
Ku Troi żagle podać. Wszak tak?

WIĘZIEN

Niepochybnie.

ROTMISTRZ

Hetmanem Agamemnon?

WIĘZIEN

Ten, brat Menelaów.

PRIAMUS

Każ więźnia tego schować i opatrzyć dobrze!  
To więc już, Antenorze, insza niż prococtwa  
Albo sny białogłowskie; ale wszyscy przedsię  
W jeden cel przed się biją. Jutro co naraniej  
W radę wnidźmy, a stamtąd już ani wychodźmy,  
Aż obronę uradzim.

ANTENOR

Baczę, że jej trzeba,  
Acz mi to słowa przykre i coś nie bez wróżki;  
Na każdy rok nam każą radzić o obronie;  
Ba, radźmy też o wojnie, nie wszystko się brońmy:  
Radźmy, jako kogo bić; lepiej niż go czekać!

## Pieśni

### Księga pierwsza – „Pieśń I”

Byś wszystko złoto posiadał, które – powiadają –  
Gdzieś daleko gryfowie i mrówki kopają;  
Byś pałace rozwodził nie tylko na ziemi,  
Lecz i morza kamieniami zabudował swemi:

Jeśli dyjamentowe goździe Mus ma w ręku,  
Którymi natwardszego umie pożyć sęku:  
Ani ty wyswobodzisz serca z ciężkiej trwogi,  
Ani z okrutnej śmierci sideł wyrwiesz nogi.

Lepiej polnych Tatarów dawny zwyczaj niesie,  
U których każdy swój dom wozi na kolesie;  
Lepszego rządu Getae grubi używają,  
Gdzie niwy nie mierzone wolne zboża dają.

Tam niewinna macocha dziątek pierwszej żony,  
Sirót nędznych, przestrzega wczasu z każdej strony;  
Ani z wielkim posagiem męża rządzi, ani  
Nadzieje kładzie w gładkim miłosniku pani.

Wielki posag – rodziców postęпки uczciwe,  
A k'temu obyczaje skromne i wstydlive;  
Występnych tam nie cierpią, lecz kto będzie krzywy,  
Niech się wierci, jako chce, nie zostanie żywy.

O, ktokolwiek będzie chciał mordy niecnotliwe  
I domowe okrócić najazdy, krwie chciwe,  
Jesli pragnie ojczyzny ojcem być nazwany  
I tymże na wysokich kolumnach pisany:

Niech objeździć swą wolą śmie nieokróconą,  
A jego sprawy przyszłe wieki więc wspomioną;  
Ponieważ cnocie żywej my, źli, nie życzymy,  
Aż gdy nam z oczu zniknie, toż jej żałujemy.

Co po tych skargach próznych, jeśli na występy  
Przez spary – jako mówią – patrza urząd tępy?  
Po co statut i prawa chwalebne stawiamy,  
Jesli się obyczajów dobrych nie trzymamy?

Nie odstraszą zbyt ostrym ogniem zarażone  
Kupca kraje chciwego; ani przesadzone  
Mrozem gwałtownym pola: żeglarze bywali  
Wszystek świat jako wielki kołem objechali.

Ubóstwo, hańba wielka, każe człowiekowi  
Czynić i cierpieć wszystko; już on i wstydlowi  
Mir dawno wypowiedział, i cnocie, niedbały,  
Poświęconej nie myśli dostępować skały.

Albo my do wspólnego skarbu, gdzie życzliwa  
Ludzka pochwała i głos pospolity wzywa,  
Albo w morze, przyczynę wszech nieszczęśliwości,  
Perły, złoto i wielkiej kamienie drogości

Zarzućmy, jeśli grzechów żałujęm statecznie  
I nieprawości swoich. Potrzeba koniecznie  
Złej napierwsze początki żądze wykorzenieć,  
A dziełem pracowitszym pieszczotę odmienić.

Nie umie syn szlachecki na koń wsięść i w łowy  
Na dziki zwierzę z oszczepem jachać niegotowy,  
Lepiej kufla świadomy albo kart pisanych,  
Każesz li dać, i kostek, prawem zakazanych.

Więc ojciec krzywo przysięgł, wydarł sąsiadowi,  
Gotując niegodnemu spadek potomkowi;  
I przybywać mu rzekmo, ale nie wiem czemu,  
Zawždy na czymści schodzi państwu niesporemu.

### **Księga pierwsza – „Pieśń XV”**

Nie za staraniem ani prze mą sprawę,  
Miła, po tobie znam taką postawę;  
Szukaj, jako chcesz, nie najdziesz przyczyny,  
Chyba żeć miłszy podobno kto inny.

A ja co mam rzec? Nie chcę się przeciwzić;  
Temu się jedno nie mogę wydziwić,  
Skąd tę niestałość białęgłowy mają,  
Że się jako wiatr letni odmieniają.

Niedawne czasy, gdy mię poczytano  
W liczbę fortunnych i za tego miano,  
Który mógł wszystko otrzymać u ciebie,  
A mnie się zdało, żem był wszystek w niebie.

Dziś inne wiatry przeciwko mnie wieją,  
Straciłem wszystko za raz i z nadzieją;  
Nie wiem, co mię za wiedźma osypała  
I lichem zradnych słów uczarowała.

Niech ci się, miła, wszystko dobre wodzi,  
Z kimkolwiek przestać twoje serce godzi;  
Ale rozeznąć umiej przyjaciela,  
A trudno naleźć masz jednego z wielu.

Nie dufaj temu, kto gładkość miłuje,  
Bo ten na słabym gruncie się buduje:  
Słońce jednak i padnie, i wschodzi,  
Nam zawždy z laty cokolwiek odchodzi.

A gdy czas przyjdzie ostatniej potrzebie,  
Ledwie się najdzie, kto ciało pogrzebie.  
Takim ja chcę być przyjacielem tobie;  
Lecz wolę, że ty płaczesz na mym grobie.

### **Księga pierwsza – „Pieśń XVI”**

Królom moc na poddane i zwierzchność dana,  
A królowie zaś mają nad sobą pana,  
Który wszystkiemu światu sam rozkazuje,  
Na ziemi i na niebie wiecznie króluje.

Nie wszyscy z jednym szczęściem na świat się rodzą,  
Szerzej jedni niż drudzy swe płoty grodzą:  
Ten ma wiele nad insze w zachości domu,  
Ten dobrą sławą nie da naprzód nikomu,

Za tym przyjaciół więcej. Śmierć sprawiedliwa  
Jednakiego na wszystkie prawa używa.  
Kto bądź, ten bądź, na kogo los naprzód padnie,  
Tak pana, jako sługę poima snadnie.

Komu zawždy nad szyją wisi miecz goły,  
Nie uczynią mu smaku przyprawne stoły,  
Nie pomoże mu do snu słodkie śpiewanie;  
Sen u prostaków przyjmie i złe posłanie.

Kto swą chciwość na tym, co dosyć, miarkuje,  
Tego ani burzliwe morze frasuje,  
Ani ciężki grad, ani złe urodzaje,  
Kiedy drzewo to ciepłu, to zimnu łąje.

Delfinowie swe morza ścieśnione czują,  
Bowiem już i na wodzie zamki budują:  
Wszystka się do roboty czeladź rzuciła  
I sam pan, bo mu się już ziemia sprzykrzyła.

Ale bojaźń i groza pana prowadzą  
I z wysokich pałaców pchać się nie dadzą;  
Na okręt li budowny, na koń li wsiędzie,  
Troska w okręcie, troska za siodłem będzie.

A jeśli ani marmór serdecznej rany,  
Ani ulżą jedwabiem obite ściany,  
Przez mam zajrzeć kosztownych pałaców komu,  
A nie raczej w swym mieszkać ojczystym domu?

### **Księga druga – „Pieśń II”**

Nie dbam, aby zimne skały  
Po mym graniu tańcowały;  
Niech mię wilcy nie słuchają,  
Lasy za mną nie biegają!

Hanno, tobie k'woli śpiewam,  
Skąd jeśli twą łaskę miewam,  
Przeszedłem już Amfijona  
I lutnistę Arijona.

Mnie sama twarz nie uwiedzie  
I choć druga na plac jedzie  
Z herby domów starożytnych,  
Zacne plemię dziadów bitnych.



Ja chcę podobać się w mowie  
Nauczonej białejgłowie;  
Ty mię pochwal, moja pani,  
Nie dbam, choć kto inszy gani!

Cnocie zajrzą jako żywo:  
Bujne drzewo wiatrom krzywo;  
Ale ty chciej pomóc sama,  
Nie ugrozi zazdrość nama.

A jeśli me niskie progi  
Będą godne twojej nogi,  
Nogi pięknej: nie potrzeba,  
Dosięę już głową nieba.

Samy cię ściany wołają  
I z dobrą myślą czekają;  
Lipa, stojąc wpośród dworu,  
Wygląda cię co raz z boru.

Każ bystre konie zakładać,  
A sama się gotuj wsiadać!  
Teraz naweselsze czasy,  
Zielenią się pięknie lasy.

Łąki kwitną rozmaicie,  
Zająca już nie znać w życie;  
Przy nadziei oracz ściśły,  
Że będzie miał z czym do Wisły.

Stada igrają przy wodzie,  
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,  
Gra w piszczałkę proste pieśni,  
A faunowie skaczą leśni.

Kwap' się, póki jasne zorze  
Nie zapadną w bystre morze;  
Po chwili ćmy czarne wstaną,  
Co noc noszą nienaspaną.

## Pieśń Świętojańska o Sobótce

Gdy słońce Raka zagrzewa,  
A słowik więcej nie spiewa,  
Sobótkę, jako czas niesie,  
Zapalono w Czarnym Lesie.

Tam goście, tam i domowi  
Sypali się ku ogniowi;  
Bąki za raz troje graty  
A sady się sprzeciwiały.

Siedli wszyscy na murawie;  
Potym wstało sześć par prawie  
Dziewek jednako ubranych  
I belicą przepasanych.

Wszystki spiewać nauczone,  
W tańcu także niezganione;  
Więc kolejną zaczynały,  
A pierwszej tak począć dały:

Panna I  
Siostry, ogień napalono  
I placu nam postąpiono;  
Czemu sobie rąk nie damy,  
A społem nie zaspiewamy?

Piękna nocy, życz pogody,  
Broń wiatrów i nagłej wody;  
Dziś przyszedł czas, że na dworze  
Mamy czekać ranej zorze.

Tak to matki nam podały,  
Samy także z drugich miały,  
Że na dzień świętego Jana  
Zawždy sobótką palana.

Dzieci, rady mej słuchajcie,  
Ojcowski rząd zachowajcie:  
Święto niechaj świętem będzie,  
Tak bywało przed tym wszędzie.

Święta przed tym ludzie czcili,  
A przedsię wszystko zrobili;  
A ziemia hojnie rodziła,  
Bo pobożność Bogu miła.

Dziś bez przestanku pracujem  
I dniom świętym nie folgujem:  
Więc też tylko zarabiamy,  
Ale przedsię nic nie mamy.

Albo nas grady porażą,  
Albo zbyt ciepła każą;  
Co rok słabsze urodzaje,  
A zła drogość za tym wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy,  
Próżno bez Pańskiej pomocy;  
Boga, dzieci, Boga trzeba,  
Kto chce syt być swego chleba.

Na tego my wszystko włożmy,  
A z sobą sami nie trwóźmy;  
Wróćąc się i dobre lata,  
Jeszcze nie tu koniec świata.

A teraz ten wieczór sławny  
Święćmy jako zwyczaj dawny,  
Niecąc ognie do świtania,  
Nie bez pieśni, nie bez grania!

Panna II

To moja nawiętsza wada,  
Że tańczę bardzo rada;  
Powiedcież mi, me sąsiady,  
Jest tu która bez tej wady?

Wszystki mi się uśmiechacie,  
Podobno ze mną trzymacie;  
Postępujmyż tedy krokiem,  
Aleć nie masz jako skokiem.

Skokiem taniec nasnadniejszy,  
A tym jeszcze pochodniejszy,  
Kiedy w bęben przybijają,  
Samy nogi prawie drgają.

Teraz masz czas, umiesz li co,  
Mój nadobny bębennico!  
Wszystka tu wieś siedzi wkoło,  
A w pośrodku samo czoło.

Żeby też tu ta nie była,  
Która twemu sercu miła?  
Każesz li, wierzyć będziemy,  
Aleć insze rozumiemy.

Pomóż oto dobrej rzeczy,  
A nasz taniec miej na pieczy;  
Owa najdziesz i w tym rzędzie,  
Coć za wszystkie płatna będzie.

Ja się nie umiem frasować,  
Toż radzę drugim zachować;  
Bo w trosce człowiek zgrzybieje  
Pierwej, niż się sam spodzieje.

Ale gdzie dobra myśl płuży,  
Tam i zdrowie lepiej służy;  
A choć drugi zajdzie w lata,  
I tak on ujdzie za swata.

Za mną, za mną, piękne koło,  
Opiewając mi wesoło!  
A ty się czuj, czyja kolej,  
Nie masz li mię wydać wolej!

Panna III

Za mną, za mną, piękne koło,  
Opiewając mi wesoło!  
Czuję się, że moja kolej,  
A ja nie mam wydać wolej.

Sam ze wszystkiego stworzenia  
Człowiek ma śmiech z przyrodzenia;  
Inszy wszelaki zwierz niemy  
Nie śmieje się, jako chcemy.

Nie ma w swym szaleństwie miary,  
Kto gardzi Pańskimi dary;  
A bodaj miał płakać siła,  
Komu dobra myśl niemiła.

Śmiejemy się! Czy nie masz czemu?  
Śmieje się przynamniej temu,  
Że, nie mówiąc nic trefnego,  
Chcę po was śmiechu śmiesznego.

Wystąp' ty, coś ciągnął kota,  
A puść się na chwilę płota!  
Uchowa cię dziś Bóg szkody,  
Bo tu opodal do wody.

Ciągnie go drugi na suszy,  
Tobie trzeba aż po uszy;  
Nieboże mój, kto cię zbłądził,  
Żeś tak srogie zwierzę drażnił?

Nie znasz ludzi, co przed kotem  
Pierzchają nawiętszym błotem?  
A na jego głos straszliwy  
Ledwe drugi będzie żywy.

Głaszcz na nim, jako chcesz, skórę,  
On przedsię ogonem wzgóre;  
Zły z nim pokój, gorsza zwada;  
Jeszcze i dziś strach sąsiada.

Czasem też i z dachu spadnie,  
A przedsię na nogi padnie;  
I chłop foremniejszy bywa,  
Gdzie kot we łbie przemieszkiwa.

A to jako w nim szacować,  
Że umie i praktykować?  
A to tak wieszczą bestyja,  
Że się zawsze na deszcz myja.

Więc łowiec niepospolity  
A w swych sprawach dziwnie skryty.  
K'temu rzadko uśnie w nocy,  
Ale ufa zawsze mocy.

Kocie, wszystko to do czasu,  
Strzeż wilka wyszczekać z lasu:  
A może być i w tym stadzie,  
Co już myśli o zakładzie.

#### Panna IV

Komum ja kwiateczki rwała,  
A ten wianek gotowała?  
Tobie, miły, nie inszemu,  
Któryś sam mił sercu memu.

Włóż na piękną głowę twoję  
Tę rozkwitłą pracą moję;  
A mnie samę na sercu miej,  
Toż i o mnie sam rozumiej.

Żadna chwila ta nie była,  
Żebych cię z myśli spuściła;  
I sen mię prace nie zbawi,  
Spię, a myślę, by na jawi.

Tę nadzieję mam o tobie,  
Że mię też masz za co sobie:  
Ani wzgardzisz chucią moją,  
Ale mi ją oddasz swoją.

Tego zataić nie mogę,  
Co mi w sercu czyni trwozę;  
Wszystki tu wzrok ostry mają  
I co piękne, dobrze znają.

Prze Bóg, siostry, o to proszę,  
Niech tej krzywdy nie odnoszę,  
By mię która w to tknąć miała,  
O com się ja utroskała.

O wszelaką inszą szkodę  
Łacno przyzwolę na zgodę;  
Ale kto mię w miłość ruszy,  
Wiecznie będzie krzyw mej duszy!

#### Panna V

Zwierzęć się, gromado moja,  
Nie mam przed Szymkiem pokoja!  
Za trzewik mi zastępuje,  
A powiada, że miłuje.

Szymku, by to prawda była,  
Dobrze bych Bogu służyła;  
Ale ty rad z ludzi szydzisz,  
Zwłaszcza gdy prostaka widzisz.

Tobie to wolno samemu,  
Ale, wierę, nie inszemu;  
Bo ty z tym nadobnie umiesz,  
A gdzie kogo tknąć, rozumiesz.

I któraż by nie szła rada  
Za tak gładkiego sąsiada?  
Podajże jej kęs nadzieje,  
Alić się już moja śmieje.

I samam tak głupią była,  
Żem ci też kiedy wierzyła;  
Dziś już nic i pókim żywa,  
Znam cię, ziółko, żeś pokrzywa.

Ze mną sobie rzecz najdujesz,  
Drugiej nogę przystępujesz;  
Odpuść mi: silnyś przechyra,  
A ja z takim nie mam mira.

Nie sprawujże się przez miarę,  
Boć zaś ludzie dadzą wiarę;  
A mało sobie poprawisz,  
Że mię w nieprawdzie zostawisz.

Panna VI  
Gorące dni nastawają,  
Suche role się padają;  
Polny świercz, co głosu sstaje,  
Gwałtownemu słońcu łaje.

Już mdłe bydło szuka cienia  
I ciekącego strumienia,  
I pasterze, chodząc za niem,  
Budzą lasy swoim graniem.

Żyto się w polu dostawa  
I swoją barwą znać dawa,  
Iż już niedaleko żniwo:  
Miej się do sierpa co żywo!

Sierpa trzeba ozimynie,  
Kosa się zejdzie jarzynie;  
A wy, młodszy, noście snopy,  
Drudzy układajcie w kopy!

Gosodarzu nasz wybrany,  
Ty masz mieć wieniec kłosiany,  
Gdy w ostatek zboża zatnie  
Krzywa kosa już ostatnie.

A kiedy z pola zbierzemy,  
Tam dopiero odpoczniemy  
Dołożywszy z wierzchem broga;  
Już więc, dzieci, jedno Boga!

Wtenczas, gościu, bywaj u mnie,  
Kiedy wszystko najdziesz w gumnie,  
A jeśli ty rad odkładasz,  
Mnie do siebie drogę zadasz.

Panna VII  
Próżno cię patrzam w tym kole:  
Twoja, miły, rozkosz pole;  
A raczej zwierz leśny bijesz,  
Niż tańczujesz albo pijesz.

Ja też, bym nabarziej chciała,  
Trudno bym się zdobyć miała  
Na lepszą myśl; bo po tobie  
Serce zawždy teskni sobie.

Wolałabym też tym czasem  
Gdziekolwiek pod gęstym lasem  
Użyć z tobą towarzystwa,  
Pomogę ja i myślistwa.

Czego miłość nie przywyknie?  
Już ja trafię, gdy pies krzyknie,  
Gdzie zajeżdzać zającowi  
Mając charty pogotowi.

A kiedy rzucisz sieć długą,  
Jeslić się swoją posługą  
Ni nacz więcej nie przygodzę,  
Niech za tobą smycz psów wodzę!

Żadna gęstwa, żadne głogi  
Nie przekażą mojej drogi;  
Tak lato jako sźrzeżogę  
Przy tobie ja wytrwać mogę!



Albo, mój myśliwcze, tedy  
Pokwap' się do domu kiedy;  
Albo mnie ciężko nie będzie  
Ciebie naszladować wszędzie!

#### Panna VIII

Pracowite woły moje,  
Przy tym lesie chłodne zdroje  
I łąka nieprzepasiona,  
Kosą nigdy nie sieczona.

Tu wasza dziś pasza będzie;  
A ja, mając oko wszędzie,  
Będę nad wami siedziała  
I tymczasem kwiatki rwała.

Kwiatki barwy rozmaitej,  
Które na łubce obszytej  
Usadzę w nadobne koło  
I włożę na swoje czoło.

Tak dziewczka, jako młodzieniec,  
Nie prosz mię nikt o mój wieniec!  
Samam go swą ręką wiła,  
Sama go będę nosiła.

Dałam wczora taki drugi;  
Będzie mi go żal czas długi;  
Bo mię za raz pobrać dano,  
Czego mi czynić nie miano.

Pracowite woły moje,  
Wam płyną te chłodne zdroje;  
Wam kwitnie łąka zielona,  
Kosą nigdy nie sieczona!

#### Panna IX

Ja spiewam, a żal zakryty  
Mnoży we mnie płacz obfity.  
Spiewa więzień okowany  
Tając na czas wnątrznej rany.

Spiewa żeglarz w cudze strony  
Nagłym wiatrem zaniesiony;  
I oracz ubogi spiewa,  
Choć od pracy aż omdlewa.

Śpiewa słowik na topoli,  
A w sercu go przedsię boli  
Dawna krzywda; mocny Boże,  
Iż z człowieka ptak być może!

Nadobnać to dziewczka była,  
Póki między ludźmi żyła;  
Toż niebodze zawadziło,  
Bo każdemu piękne miło.

Zły a niewierny pohańcze,  
Zbójca własny, nie postańcze!  
Miawszy odnieść siostrę żenie  
Zawiodłeś ją w leśne cienie.

Próżność jej język urzynał,  
Bo wszystko, coś z nią poczynał,  
Krwia na rąbku wypisała  
I smutnej siostrze posłała.

Nie wymyślaj przyczyn sobie,  
Pewnać już sprawa o tobie;  
Nie składaj nic na zwierz chciwy,  
Umysł twój krzyw niecnotliwy.

Siadaj za stół, jeśliś głodzien,  
Nakarmią cię, czegoś godzien;  
Już ci żona warzy syna,  
Nieprzejednanać to wina.

Nie wiesz, królu, nie wiesz, jaki  
Obiad i co za przysmaki  
Na twym stole; ach, łakomy,  
Swe ciało jesz, niewiadomy!

A gdy go tak uraczono,  
Głowę na wet przyniesiono;  
Temu czasa z rąk wypadła,  
Język zmilknął, a twarz zbladła.

A żona powstawszy z ławy:  
„Coć się zdadzą te potrawy?  
To za twą niecnotę tobie,  
Zdrajca mój, synowski grobie!”

Porwie się mąż ku niej zatym,  
Alić nasz dudkiem czubatym;  
Sama się w jaskółkę wdała,  
Oknem, łajac, poleciała.

A ona niewinna córą  
Obrosła w słowicze pióra;  
I dziś wdzięcznym głosem cieszy,  
Kto się kolwiek w drogę śpieszy.

Chwała Bogu, że te kraje  
Niosą insze obyczaje,  
Ani w Polsce jako żywy  
Zjawiły się takie dziwy.

Jednak ja mam, co mię boli;  
A by dziś nie ludziom k'woli,  
Co spiewam, płakać bych miała,  
Acz me pieśni płacz bez mała.

Panna X  
Owa u ciebie, mój miły,  
Me prośby ważne nie były;  
Próżnom ja łzy wylewała  
I żalosi narzekala.

Przedsięś ty w swą drogę jechał,  
A mnieś, nieszczęsnej, zaniechał  
W ciężkim żalu, w którym muszę  
Wiecznie trapić moją duszę.

Bodaj wszytkich mąk skosztował,  
Kto naprzód wojsko szykował  
I wynalazł swoją głowę  
Strzelbę srogą, piorunową.

Jakie ludzkie głupie sprawy:  
Szukać śmierci przez bój krwawy!  
A ona i tak człowieczy  
Upad ma na dobrej pieczy.

Przymamniej by mi w potrzebie  
Wolno stanąć wedla ciebie;  
Przywykłabych i ja zbroi,  
Bodaj przepadł, kto się boi!

Jednak ty tak chciej być śmiałym,  
Jakoby się wrócił całym;  
A nie daj umrzeć mnie, smutnej,  
W płaczu i w trosce okrutnej.

A wiare, coś mi ślubował,  
Pomni, abys przy tym chował;  
Tę mi przynieś a sam siebie;  
Dalej nie chcę nic od ciebie!

Panna XI  
Skrzypku, by w tej pięknej rocie  
Usłyszeć co o Dorocie,  
Weźmi gęśle, jakoć miła,  
A zagraj nie myśląc siła!

Nieprzeplacona Doroto,  
Co między pieniędzmi złoto,  
Co miesiąc między gwiazdami,  
Toś ty jest między dziewczkami!

Twoja kosa rozczosana  
Jako brzoza przyodziana;  
Twarz jako kwiatki mieszane  
Lelijowe i różane.

Nos jako sznur upleciony,  
Czoło jak marmór gładzony;  
Brwi wyniosłe i czarne,  
A oczy dwa węgla prawe.

Usta twoje koralowe,  
A zęby szczere perłowe;  
Szyja pełna, okazała,  
Piersi jawne, ręka biała.

Serce mi zakwitnie prawie  
Przy twej przyjemnej rozprawie;  
A kiedy cię pocałuję,  
Trzy dni w gębie cukier czuję.

W tańcuś jak jedna bogini,  
A co cię skutniejszą czyni:  
Nie masz w tobie nic hardości,  
Co więc rzadko przy gładkości.

Tymeś ludziom wszystkim miła  
I mnieś wiecznie zniewoliła;  
Przeto cię me głośnie strony  
Będą słać na wsze strony.

#### Panna XII

Wsi spokojna, wsi wesola,  
Który głos twej chwale zdoła?  
Kto twe wczasy, kto pożytki  
Może wspomnieć za raz wszystkie?

Człowiek w twej pieczy uczciwie  
Bez wszelakiej lichwy żywie;  
Pobożne jego staranie  
I bezpieczne nabywanie.

Inszy się ciągną przy dworze  
Albo żeglują przez morze,  
Gdzie człowieka wicher pędzi,  
A śmierć bliżej niż na piędzi.

Najdziesz, kto w płat język dawa,  
A radę na funt przedawa,  
Krwia drudzy zysk oblewają,  
Gardła na to odważają.

Oracz pługiem zarznie w ziemię;  
Stąd i siebie, i swe plemię,  
Stąd roczną czeladź i wszytek  
Opatruje swój dobytek.

Jemu sady obradzają,  
Jemu pszczoły miód dawają;  
Nań przychodzi z owiec wełna  
I zagroda jagniąt pełna.

On łąki, on pola kosi,  
A do gumna wszystko nosi.  
Skoro też siew odprawimy,  
Komin wkoło obsiędziemy.

Tam już pieśni rozmaite,  
Tam będą gadki pokryte,  
Tam trefne pęsy z ukłony,  
Tam cenar, [tam] i goniony.

A gospodarz wzięwszy siatkę  
Idzie mrokiem na usadkę  
Albo sidła stawia w lesie;  
Jednak zawždy co przyniesie.

W rzece ma gęste wężerze,  
Czasem wędą ryby bierze;  
A rozliczni ptacy wkoło  
Ozywają się wesoło.

Stada igrają przy wodzie,  
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,  
Gra w piszczalkę proste pieśni;  
A faunowie skaczą leśni.

Zatym sprzędna gospodyni  
O wieczerej pilność czyni,  
Mając doma ten dostatek,  
Że się obejdzie bez jatek.

Ona sama bydło liczy,  
Kiedy z pola idąc ryczy,  
Ona i spuszczać pomoże;  
Męża wzmaga, jako może.

A niedorośli wnukowie,  
Chyląc się ku starszej głowie,  
Wykną przestawać na male,  
Wstyd i cnotę chować w cale.

Dzień tu, ale jasne zorze  
Zapadłyby znowu w morze,  
Niżby mój głos wyrzekł wszytki  
Wieśne wczasy i pożytki.

## **Psalmy**

### **„Psalm I”**

#### **Beatus vir, qui non abiit in consilio impiorum**

Szczęśliwy, który nie był między złymi w radzie  
Ani stóp swoich torem grzesznych ludzi kładzie  
Ani siadł na stolicy, gdzie tacy siadają,  
Co się z nauki zdrowej radzi naśmiewają;

Ale to jego umysł, to jego staranie,  
Aby na wszystkim pełnił Pańskie przykazanie;  
Dzień li po niebie wiedzie, noc li swoje konie,  
On ustawicznie w Pańskim rozmyśla zakonie.

Taki podobien będzie drzewu porzecznemu,  
Które przynosi co rok owoc panu swemu,  
Liścia nigdy nie tracąc, choć zła chwila przydzie;  
Temu wszystko, co pocznie, na dobre wynidzie.

Ale źli, którzy Boga i wstydu nie znają,  
Tego szczęścia, tej nigdy zapłaty nie mają;  
Równi plewom, które się walają przy ziemi,  
A wiatry, gdzie jedno chcą, wszędzie władną jemu.

Dla czego przed sądem być muszą pohańbieni  
Ani w liczbie z dobrymi będą policzeni;  
Pan bowiem sprawiedliwych na wszelki czas broni,  
A przewrotne, złe ludzi cicha pomsta goni.

### **„Psalm II”**

#### **Quare fremuerunt gentea**

Co za przyczyna tego zamieszania?  
Co wzięli przed się ludzie nieobaczni?  
Książęta możne i królowie znaczni  
Schodzą się w radę, chciwi rozerwania.

Wszyscy przeciwko Panu się buntują,  
Wszyscy na Jego jadą wybranego,  
Mówiąc: „Co czyniem? Zrzućmy z karku swego  
Ich ciężkie jarzmo, niech nam nie panują.”

Ich rozumowi śmieje się głupiemu  
Bóg z wysokości, który wszystko widzi;  
Śmieje się sprawom, z ich próżnego szydzi  
Starania, które czynią przeciw Jemu.

Ale poruszy potym gniewu swego,  
Zmyli im szyki; na koniec objawi,  
Że na Syjonie poświęconym stawi  
Ręką swą króla niezwycięzonego.

Jam jest, mój Boże, król ten, który Tobie  
Tak się spodobał; przez mię będzie wiedział  
Świat Twe wyroki, boś mi w głos powiedział:  
„Tyś mój syn, jam cię dziś umnożył sobie.

Żądam mię, ocz chcesz, a otrzymasz snadnie;  
Dam ci w dziedzictwo wszystko ludzkie plemię,  
Będiesz panował, będziesz rządził ziemię  
I tam, gdzie wschodzi, i gdzie słońce padnie.

Laskę żelazną będziesz miał nad nimi,  
A który twego głosu nie posłucha,  
Jako skorupa, jako ziemia sucha  
Będzie się padał przed rękami twymi.”

A tak o sobie, wy królowie, czujcie,  
Wy, którym władza do rąk jest podana;  
Oglądajcie się w swych sprawach na Pana,  
Tego się bójcie i Tego szanujcie!

Obłapcie syna, by was więc nie włożył  
W liczbę straconych; bo jeśli straszliwy  
Gniew Jego kiedy wspanie, to szczęśliwy  
Tylko, kto w Nim swą nadzieję położył.



## „Psalm IX”

### Confitebor Tibi, Domine, in toto corda meo

Ciebie będę, Boże prawy,  
Całym sercem wyznawał,  
Twoje wszystkie dziwne sprawy  
Będę światu podawał.

Będę wesół w Twojej obronie,  
Będę wszechnaświętszemu  
Przy łagodnej śpiewał stronie  
Imieniowi Twojemu.

Nieprzyjaciel mój strwożony  
Podał tył nieuczciwy  
I padł strachem ogarniony  
Widząc Twój wzrok straszliwy.

Ty litujesz krzywdy mojej,  
Tyś k'woli niewinności  
Zasiadł na stolicy swojej,  
Sędzia sprawiedliwości!

Przepadli ziemię przekłęci  
Na Twe słowa fukliwe;  
Wytarłeś z ludzkiej pamięci  
Ich imiona chłubliwe.

Zły człowiecze, spustoszyłeś  
Pola nieprzerodzone;  
Zwojowałeś, wyróciłeś  
Miasta pięknie sadzone.

Ich pamięć pospołu z nimi  
Na wieki zaginęła,  
Ale Pańska moc wiecznymi  
Czasy będzie słyneła.

On stolicę swą narządził,  
On ludzkie nieprawości  
I wszytek świat będzie sądził  
Podług sprawiedliwości.

On jest ucieczka ubogich,  
On dodaje ratunku  
Położonym w krzywdach srogich  
I w żalonym frasunku.

Wszyscy, którzy Go poznali,  
Jemu niechaj ufają;  
Nigdy się nie oszukali,  
Którzy w Nim ufność mają.

Mieszkającemu śpiewajcie  
Na wysokim Syjonie;  
Jego moc opowiadajcie  
Narodom w każdej stronie!

Pomścił się Pan sprawiedliwy  
Krwie niewinnej rozlania;  
Usłyszał płacz żalobliwy  
I ubogich wołania.

Użyj nade mną litości,  
Boże nieogarniony,  
Patrz, w jakiej niebezpieczności  
Jestem dziś położony.

Chciej mię z rąk srogich wybawić  
Śmierci nieubłaganej,  
Abych Twe sprawy mógł słać  
W cerkwi Twojej wybranej.

Jam smutny tak lamentowałam,  
A Tyś usłyszał w niebie;  
Teraz się będę radowałam  
Mając obrońcę z Ciebie.

W tym się dole potopili,  
Którzy sami kopali;  
W tym się sidle połowili,  
Które sami stawiali.

Nie darmo Bóg sprawiedliwy  
Po wszystkie wieki słynie;  
Uplótnął się człowiek zdraźliwy  
W swoich rąk własnych czynie.

# Zwoleń

Zwoleń – miasto i gmina, powierzchnia 161,12 km<sup>2</sup>, 28 sołectw oraz miasto Zwoleń – siedziba władz gminy i starostwa, 15 745 mieszkańców. W obszar powiatu zwoleńskiego wchodzi gminy: Kazanów, Teczów, Policzna, Przyłęk i Zwoleń. Gmina typowo rolnicza, uprawa zbóż, hodowla trzody chlewnej, sadownictwo i warzywnictwo.

Przy kościele św. Krzyża znajduje się Kaplica Kochanowskich, a w podziemiach świątyni spoczywają szczątki Jana Kochanowskiego i jego rodziny.

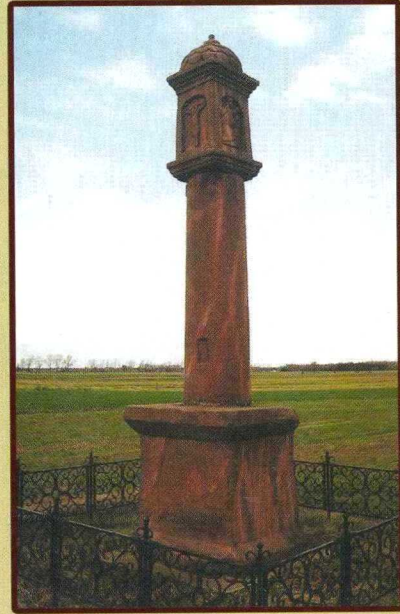
Burmistrz: Bogusława Jaworska,  
Urząd Miejski w Zwoleniu,  
pl. Kochanowskiego 1,  
tel. (048) 676-22-10,  
e-mail: sekretariat@zwoleń.pl  
www.zwoleń.pl



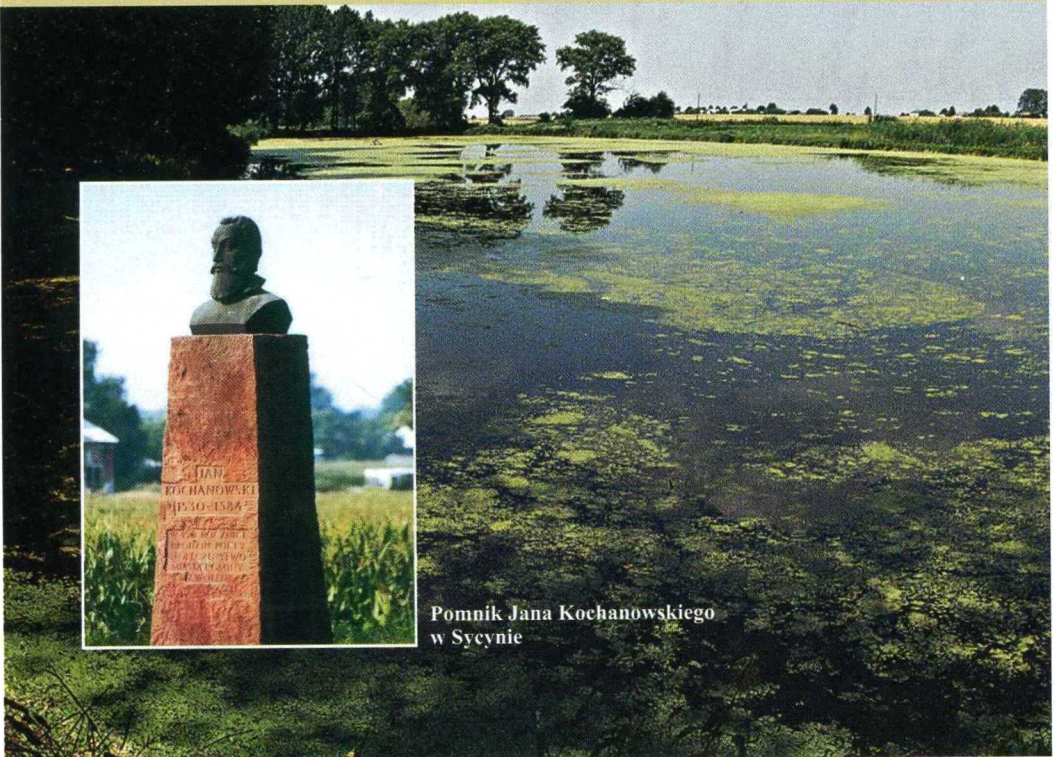
# Sycyna

Sycyna – wieś leżąca 6 km na południe od Zwolenia, 757 mieszkańców. Tutaj urodził się ojciec polskiej poezji Jan Kochanowski (1530). W związku z 450 rocznicą urodzin i 400 śmierci poety w 1984 r. przeprowadzono gruntowne badania archeologiczne, odkrywając m.in. zarysy fundamentów i ścian starego dworu Kochanowskich. W 1980 roku w Sycynie przy trasie Zwolień – Lipsko odsłonięto popiersie na postumencie Jana Kochanowskiego. Zabytkiem z 1621 r. jest obelisk ufundowany przez bratanka poety Adama Kochanowskiego z okazji zwycięstwa hetmana Chodkiewicza nad Turkami pod Chocimiem. Od roku 1999 działalność kulturalno-oświatową prowadzi Stowarzyszenie Oświatowe SYCYNA.

Obelisk z 1621 r.



Pomnik Jana Kochanowskiego w Sycynie



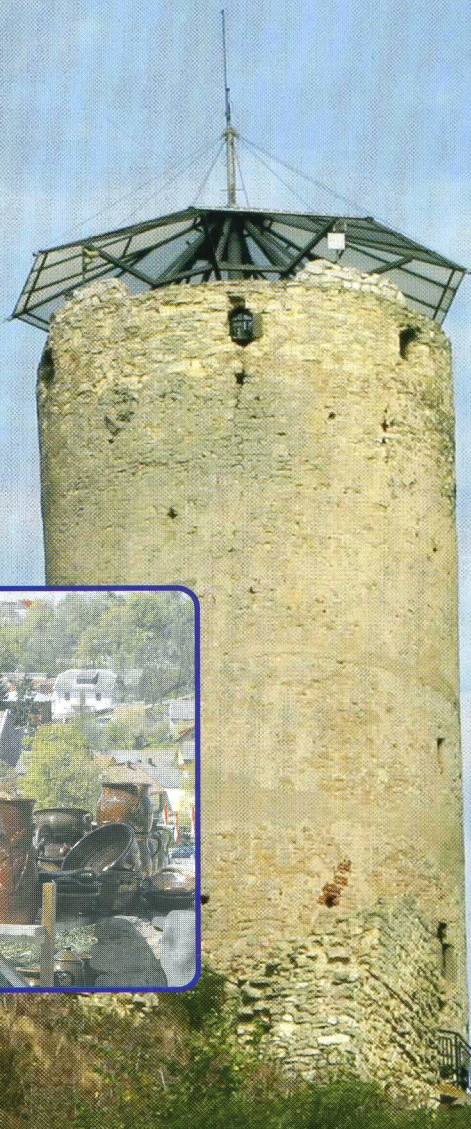
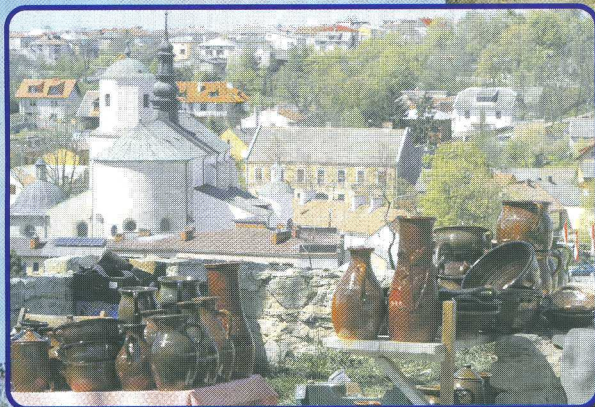
# Ilża

Ilża – miasto i gmina, powierzchnia 25 585 ha, 31 wsi oraz Ilża – siedziba miasta i gminy, ludność ogółem 16 771 mieszkańców. Gmina typowo rolnicza, a znaczny jej obszar objęty jest granicami krajobrazu chronionego.

Ilża istniała już w okresie wczesnośredniowiecznym.

W XV wieku powstał cech garncarski, a ceramika ilżecka zasłynęła w całej Koronie. Z Ilżą związane są losy kilku polskich literatów. Szczególnie miejsce w historii miasta zajmuje Bolesław Leśmian, który tu stworzył swoje liczne liryki.

Burmistrz Ilży: Andrzej Moskwa,  
Urząd Miejski w Ilży,  
ul. Rynek 11, 27-100 Ilża,  
tel.: (048) 616 31 35, fax 616 33 00  
e-mail: [ilza@ilza.pl](mailto:ilza@ilza.pl),  
[www.ilza.pl](http://www.ilza.pl)



Ilżecka baszta

# Kazanów

Kazanów nad Ilżanką – gmina wiejska, powierzchnia 94,7 km<sup>2</sup>, 24 wsie, 4839 mieszkańców. Znaczną powierzchnię gminy zajmują uprawy rolne, szczególnie zboża.

Wójt Gminy: Marian Karolik,  
Urząd Gminy Kazanów,  
Plac Partyzantów 28,  
26-713 Kazanów,  
tel.(048) 676 60 33,  
e-mail: sekretariat@kazanow.pl,  
www.kazanow.pl



Budynek Urzędu Gminy



Panorama Tczowa

# Tczów

Tczów – gmina wiejska, powierzchnia 72,12 km<sup>2</sup>, 14 sołectw, 5000 mieszkańców. Wiodącą funkcją jest produkcja rolnicza – uprawa zbóż i hodowla zwierząt.

Wójt Gminy: Andrzej Wolszczak,  
Tczów 124, 26-706 Tczów,  
tel. (048) 676-80-23,  
e-mail: gmina@tczow.pl,  
www.tczow.pl

Upad wisi nad grzesznymi,  
Upad nieuchroniony,  
Nad narody przeklętymi,  
Kędy Bóg zapomniony.

Nie na wieki Pan przebaczy  
Upadłego człowieka;  
Ich nadzieja (tak Pan raczy)  
Ważna będzie do wieka.

Powstań, wieczny nasz Obrońca,  
Nie daj się zmocnić złemu;  
Twój sąd niech będzie do końca  
Światu jawny wszytkiemu,

Ogarni strachem pogany,  
Niech się ludźmi być znają;  
Którzy dziś mogą być pany,  
Jutro z chudym zrównają!

### „Psalm XVII”

#### **Exaudi, Domine, iustitiam meam**

Płacz sprawiedliwy i skargę moję  
Przypuść przed świętą obliczność swoje;  
Usłysz, o Sędzia nienaganiony,  
Ust nieobłudnych głos niezmysłony!

Do Twego sądu ja się uciekam  
I sprawiedliwej skaźni Twej czekam;  
Ty swym krzywego upatruj okiem,  
A najdzi prawdę swoim wyrokiem!

Zmacałś serca i myśli skrytej,  
Zszedłś mię w nocy nieznakomitej;  
Doświadczyłś mię, by w ogniu złota,  
A nie nalazłś, jedno co cnota.

Ludzkich wywrotów nie naszladuję,  
To usta mówię, co w sercu czuję;  
Słów Twoich strzegąc, słów świętobliwych,  
Mijałem zawsze ścieżki złośliwych.

Racze mię trzymać na swojej drodze,  
Aby nie przyszło upaść mej nodze;  
Wysłuchałeś mię w złe czasy moje,  
Proszę, i dziś mi daj ucho swoje!

Objaw' nade mną niewysłowione  
Swe miłosierdzie; Tobie zwierzone  
Nadzieje nigdy nie omylają;  
Słum', co się rękóm Twym przeciwiają!

A mnie racz jako źrzenice bronić  
I cieniem swoich skrzydeł zasłonić,  
Abych w nadzieję Twojej opieki  
Mógł się złych ludzi nie bać na wieki:

Ludzi rozkosznych, którzy tak styli,  
Że ledwie brzucha zniosą po chwili;  
Usta wszeteczne, ich język hardy  
Pełen bluźnierstwa, pełen i wzgardy.

Ze wszystkich mię stron w koło zawarli  
I oczy swoje na mię rozdarli  
Myśląc, jakoby mogli mię pożyć  
A równo z ziemią kiedy położyć.

Taki więc bystrym lew zjęty jadem  
Cieką po puszczy zwierzęcym śladem;  
Takie więc szczenię lwice szalonej  
Czyha w jaskini nieupatrzonej.

Uprzedź go, Panie, pobij samego,  
A duszę moje od okrutnego  
Wyzwól człowieka; człowieka, który  
Jest mieczem Twoim i ma moc z góry.

Niechaj nade mną władze nie mają  
Ci, co się w marnym świecie kochają  
Przystając na tym wieku doczesnym,  
A tylko żądzóm służąc cielesnym.

Których Ty chciwe, bezdenne brzucha  
Z wielkiego karmisz ziemskiego rucha,  
Dając im skarby, dając im dziatki,  
Którym zostawiaś swe niedojadki.



A ja, mój Panie, w tej niewinności  
Ujrzę twarz (da Bóg!) Twojej wszechmocności;  
Będę syt, kiedy na jawi prawie  
Stawisz się w świętej swojej postawie.

## „Psalm XXI”

### **Domine, in virtute Tua laetabitur rex**

Panie, za Twoją zawždy pomocą król bije  
Nieprzyjaciela swego, przeto też użyje  
Nieśmiertelnej radości; bo jaka być może  
Więtsza uciecha, jedno łaska Twa, mój Boże?

Dałeś mu, czego pragnął, a oczkolwiek prosił,  
W żadnej rzeczy odmiotu nigdy nie odnosił.  
Uprzedziłeś łaską swą, Panie, myśli jego,  
Włożyłeś nań koronę z kamienia drogiego.

O zdrowie prosił, a Tyś dni jego przedłużył,  
Aby nieprzeżytego wieku wiecznie użył.  
Wielka cześć Jego, Panie, z Twojej życzliwości,  
Wielkiej na wszytki strony prze Cię jest zacności.

Postawiłeś go wzorem Twego pożegnania,  
W radościach swych na wieki nie uzna przerwania.  
W tobie król swą nadzieję kładzie, wieczny Boże,  
A będąc w Twojej opiece szwankować nie może.

Przed Tobą nieprzyjaciel Twój się nie uchroni;  
Twoja ręka Tve wszytki przeciwniki zgoni.  
Jako w ognistym piecu płomienie pałają,  
Tak oni w Twoim gniewie nieznośnym zgorają.

I z korzeniem je wyrwiesz; a ich plemię, Panie,  
Tak wygładzisz, że ani pamiątka zostanie.  
Przeciw Tobie szaleni buntować się śmieją;  
Rozczęli radę, ale miną się z nadzieją.

Bo na wet tył podadzą sromotnie, a w oczy  
Twój łuk nieuchroniony przedsię im zaskoczy.  
Okaz, Panie, siłę swą, a my łagodnymi  
Twoje moc niechaj sławiem pieśniami swoimi!

## „Psalm XXVII”

### **Dominus illuminatio mea et salus**

Pan ogniem swojej światłości  
Rozświeca moje ciemności;  
Pan stróżem mego żywota –  
Skąd się ja mam bać kłopotu?

Kiedy na mię wszystkie zbroje,  
Wszystki znieśli rady swoje,  
Sami źli ludzie upadli  
W sidle, które na mię kładli.

Niech widzę wojska zniesione,  
Niech widzę drzewa złożone;  
Ufając Pańskiej pomocy,  
Nie boję się żadnej mocy.

O to proszę Pana swego,  
Abych mieszkał w domu Jego,  
Dając mu cześć, póki wieku  
Dostawać będzie człowieku.

On w niebezpieczeństwie moim  
Skrzył mię pod namiotem swoim;  
Uwiódł mię i stawiał w cale  
Na niedostąpionej skale.

I dziś mi tak Pan mój tuszy,  
Że mieć górę mojej duszy,  
A ja w świętym domu Jego  
Wyznam Go być Boga mego.

Usłysz, Panie, prośbę moje  
A okaż mi łaskę swoje.  
K'Tobie myśli me wzdychają,  
Ciebie oczy me szukają.

Nie kryj przede mną swej twarzy  
Ani mię swym gniewem karzy,  
Ale mię w mojej trudności  
Wspomagaj, Boże litości!

Rodzice zapamiętali,  
Przyjaciele zaniedbali;  
Ale mię Pan nie przebaczył,  
Owszem, ogarnąć mię raczył.

Zjaw mi, Panie, drogi swoje,  
Nawiedz mię na ścieżki Twoje,  
Z których by zepchnąć mej nogi  
Nie mógł nieprzyjaciel srogi.

Nie daj mię na pewne męki  
Do złych ludzi krwawej ręki;  
Widzę świadki nieprawdziwe,  
Słyszę na się kłamstwo żywe.

Już by mię w troskach nie zstało,  
By serce w tym nie ufało,  
Że ma wynić z tych trudności  
A użyć jeszcze radości.

### „Psalm XXXI”

#### **In Te, Domine, speravi, non confundar**

W Tobie ufność swą kładę, Boże niezmierny,  
A ty nie daj, abych był kiedy zawstydzony!  
Prze dobroć swoje racz mię z trudności wybawić,  
Usłysz mój głos, a chciej mię na swobodzie stawić!

Weźmi mię w swą obronę, niezwalczony Panie,  
A to za twardą skałę i zamek mi zostanie.  
Tyś mój wał, Tyś mój zamek; a prze imię swoje  
Prowadź mię i opatruj liche zdrowie moje!

Pomóż mi z sideł, które na mię zastawiła  
Przekłęta zazdrość; Tyś jest wszytką moja siła.  
W Twoje ręce poruczam żywot swój teskliwy;  
Ty mię broń, jako zawsze, Boże mój prawdziwy!

Przyjaciela ci ze mnie na wieki nie mają,  
Którzy w rzeczach niepewnych pewności szukają.  
Ja swą nadzieję kładę w Twej, Panie, litości,  
A Ty mię zawsze cieszyć raczysz w mej trudności.

Raczyłeś się uzalić mego udręczenia,  
Pomogłeś duszy mojej z ciężkiego trapienia.  
Tyś mię z nieprzyjacielskich srogich rąk wybawił  
I na miejscu przestronym nogi me postawił.

Racze się mnie uzalić i dziś, wieczny Panie,  
Bo w tych frasunkach moich ledwie że mię zstanie.  
Wzrok-em stracił od płaczu, serce mi struchlało,  
Młodość przed czasem zbiegła, sił w kościach nie zostało.

Śmieje się nieprzyjaciel, sąsiedzi się śmieją,  
Powinowaci do mnie przystąpić nie śmieją,  
Który zajrzy, ucieka; równiem tak wypłynął  
Z ich pamięci, jakoby już na wieki zginął.

Jaki na śmieciach leży z domu wyrzucony  
Wiotchy czyn, takim ja jest od ludzi wzgardzony.  
Ci mię jawnie sromocą, drudzy się zmawiają,  
Którym kształtem o zdrowie przypawić mię mają.

A ja w tej wzgardzie ludzkiej i w tym strachu srogiem  
Tobie ufam, o Panie, Tyś jest moim Bogiem.  
W Twoje ręce są lata i bieg mego wieka,  
Ty mię racz wyswobodzić z rąk złego człowieka!

Rozświeć swą dobrotliwą twarz nad sługą swoim,  
Okaż swe miłosierdzie w tym ucisku moim.  
Niechaj za to, Boże mój, wstydu nie odnoszę,  
Że Cię w swych doległościach o ratunek proszę.

Niechaj się niepobożni ludzie zapałają,  
Niechaj swego upadku niedługo czekają!  
Bodaj usechł i upadł zły język wszeteczny,  
Cnoty skażca i dobrych nieprzyjaciel wieczny!

Jako wiele dóbr, Panie, które Ty gotujesz  
Wiernym swoim i które tu już okazujesz;  
Kryjesz je przy swej twarzy przed ludźmi srogimi,  
Bierzesz je przed języki w dom swój wszetecznymi.

Błogosławion bądź, Panie, któryś mię wybawił  
Z mych trudności i w miejscu obronnym postawił.  
Jaciem już był bez mała zwątpił w łasce Twojej.  
Aleś Ty nie przebaczył przecie skargi mojej.

Wierni, Pana miłujcie; wierne Pan miłuje,  
A z hardymi wedla ich pychy postępuje.  
Bądźcie stali, którzyście w Panu położyli  
Ufność swoje, a serca wasze On posili.

## „Psalm XLI”

### **Beatus, qui intelligit super egenum**

Szczęśliwy, który ludzi upadłych ratuje,  
Pan też w jego nieszczęściu nad nim się smiłuje;  
Pan go w cale zachowa i zdrowia nabawi,  
I w szczęściu nieodmiennym z łaski swej postawi.

Nigdy go nieprzyjaciel jego nie zhołduje,  
A jeśli kiedy w zdrowiu odmianę poczuje,  
Pan go w przypadku jego łaskawie wspomóże  
I swoją własną ręką będzie mu słał łoże.

Przełóż i ja, okrutną chorobą złożony,  
Do Ciebie się uciekał, Boże nieskończony!  
Użyj, Panie mój, użyj nade mną litości,  
Uzdrow' duszę, która zna do siebie swe złości!

By w chęć nieprzyjacielską, dawnom ja zginiony:  
„Będzież – mówią – ten kiedy dzień błogosławiony,  
Że go leżąc na marach ostatnich ujrzemy  
A tym wdzięcznym widziałem oczy napasiemy?”

A jeśli który kiedy nawiedzać mię przyszedł,  
W serce niechętnie jadu nazbierawszy wyszedł  
I podawał mię ludziom; o mym złem szeptali,  
Na moje śmierć już, jako na pewną, kazali.

„Znać – powiada – że go Pan za grzechy chce skarać  
I on nędznik o zdrowie próżno się ma starać;  
W tak dobrą się godzinę obalił na łoże,  
Że z niego żadną miarą powstać już nie może.”

Aż i ten, któregom ja tak był umiłował,  
Żem jako nablížszego brata go szacował,  
W którym-em miał nadzieję, który chleb mój jadał,  
Ten w radzie nieprzyjaciół moich jawnie siadał.

Ale Ty się sam smiuj. Ty mię dźwigni, Panie!  
Owa im też odmierzę, jako za ich stanie.  
To był mój głos; a stąd znam, że mię liczysz swoim,  
Żeś mię nieprzyjaciołom nie dał w pośmiech moim.

Aleś za niewinnością moją mię wybawił  
I przed oczyma swymi na wieki postawił.  
Niechaj Bóg izraelski na wszytek świat słyńie,  
Póki kołem niemylnym dzień za nocą płynie!

## „Psalm XLV”

### **Eructavit cor meum verbum bonum**

Serce mi każe śpiewać panu swemu,  
A sercu język posłuszny pełnemu  
Odbiera słowa i nowy rym dzieje;  
Ledwie tak prędko pisarz pismo leje.

Żaden, o królu, żaden twej urody  
Nie dojdzie między ludzkimi narody,  
Żaden wdzięczności pięknej twarzy twojej:  
Hojnie-ć użyczył Pan Bóg łaski swojej.

Przypasz do boku swój miecz uzłocony,  
Cny bohaterze, miecz na wszystkie strony  
Sławny i znaczny; z tym się ty rusz śmieie  
I grom' niechętnie swe nieprzyjaciele!

Prawda i ludzkość twój wóz niech sprawuje,  
A sprawiedliwość wodzami szafuje;  
Za tych powodem, o królu cnotliwy,  
Będziesz poczynał ręką swoją dziwy.

Twe ostre strzały są nieuchronione,  
Tymi ugodzisz w serca za jątzone  
Swych nieprzyjaciół, a strachem twej zbroje  
Możne narody przyjmą jarzmo twoje.

Stolicy twojej, o niezwycięzony  
Królu, żaden kres nie jest założony;  
Laska rozmiaru, laska prostowania  
Jest laska, królu, twego panowania.

Umiłowałaś sprawiedliwość świętą,  
Masz w nienawiści bezbożność przeklętą;  
Przeto cię Pan twój znaczną przed inszymi  
Uczcił powagą rówienniki twymi.

Piżmem i mirrą pachną drogo tkane  
Twe szaty, w skrzyniach słoniowych chowane;  
Zewsząd ci rozkosz płynie, między swymi  
Córy królewskie masz ulubionymi.

Otóż i pannę dawno pożądaną  
Masz wedla siebie złotem przyodzianą.  
Słuchaj mię, zacna królewno, a moje  
Życzliwe słowa włóż pod serce swoje.

Już teraz matki i miłej rodziny,  
Już zapamiętaj ojczystej krainy;  
Król cię ulubił sobie przed wszystkimi,  
A ty go zwycięż posługami swymi!

Tobie bogata Tyros, o królowa,  
Już dawno zacne upominki chowa;  
Lubo kto skarby, lub kto hard dzielnością,  
Wszystcy przed tobą padną z uczciwością.

Perły a złoto i drogie kamienie –  
Ubiór tej zacnej panny i odzienie,  
Ale przy twarzy gaśnie ubiór złoty,  
A zaś urodę przeważają cnoty.

Taka, o królu wszech możniejszy, żona  
Dnia dzisiejszego tobie przyniesiona;  
Z nią orszak panien, krewnych liczba wielka,  
Bębny i trąby, i muzyka wszelka.

Lecz i ty, panno, nie szukaj przyczyny  
Łez niepotrzebnych; wrychle (da Bóg!) syny  
Miasto rodziców oglądasz, a zatem  
Doczekasz, że i władać będą światem.

Zdrów bądź, o królu, ciebie ja wdzięcznymi  
Nie przepamiętam nigdy rymy swymi;  
A póki harfa palców słuchać będzie,  
Zacna być musi twoja sława wszędzie.

## „Psalm L”

### **Deus deorum Dominus locutus est**

Bóg wieczny, który wszystkim rozkazuje  
Ziemijskim tyranom, mówić się gotuje;  
Pozowie ziemię od wschodniej granice  
Aż do słonecznej późnej łożnice.

Twarz jasną swoją na syjońskiej skale  
Jawnie pokaże; będziemy doskonale  
Głos Jego słyszeć; idzie Bóg prawdziwy,  
Grom wkoło Niego i ogień żywy.

Przyzowie nieba i ziemię przyzowie  
Chcąc, aby byli przy Jego rozmowie,  
Którą natenczas chce mieć z ludem swoim.  
„Dajcie plac – rzeczce – wybranym – moim,

Którzy przymierze wieczne ze mną mają  
I pewny sposób, jako mię błagają”.  
Sąd Jego święty słać będą nieba,  
Bo gdzie Ten sędzi, wątpić nie trzeba.

„Słuchaj, potomstwo cnego Izraela,  
Któremu łaska i moja chęć z wielu  
Wieków nietajna, ani potrzebujesz  
Świadcstwa na to, jeśli się czujesz.

Nie będę cię stąd karał ani winił,  
Żebyś mi ofiar umownych nie czynił;  
Zawždy się kurzą, zawždy są oblane  
Ołtarze moje i krwią pijane.

Nie chcę ja, nie chcę z twej obory wolu,  
Nic chcę i kozła z twojego okołu;  
Wszystek zwierz mój jest: i co w lesiach tyje,  
I co po górach skalistych żyje.

Ptak oku memu żaden nie uleżę,  
Gdziekolwiek jedno nachytrzej się leże;  
Bestyje dzikie i doma mnożone  
Mam jako palce swoje zliczone.



Będę li głodzien, nie rzekę nic tobie;  
Mój jest krąg ziemski i co zamknął w sobie.  
Jaz bych to mięso miał wołowe jadać  
Albo nad czasą krwie koźlej siadać?

Ofiaruj ty mnie chwałę, mnie wyznawaj,  
Mnie dzięki wedle winności oddawaj;  
Wzów'że mię w trosce, a ja dźwignę ciebie,  
A ty mnie będziesz ważył u siebie”.

A złego Bóg zaś potkał tymi słowy:  
„Jako ty wspomnieć Pańskie śmiesz umowy?  
Jako w plugawe śmiesz brać usta swoje  
Naświętobliwsze przymierze moje?

A ty wycierpieć nie możesz karania  
Ani przyjmować chcesz napominania:  
Nauka moja i święte ustawy  
W śmieciach u ciebie, Zakon śmiech prawy.

U ciebie rady szukać złodziejowi,  
Z tobą się znaszać cudzołożnikowi;  
Błuznierstwo szczere w uściech twych panuje,  
Język zdradliwy fortele knuje.

Powinowactwo żadne, bliskość żadna  
W twej uszczypliwej mowie nie jest władna:  
Czci nic zostawisz na bracie, niecnota,  
Choć z tegoż poszedł z tobą żywota.

Toś czynił, a jam nic nie mówił tobie  
I tyś mię stąd już kładł podobnym sobie;  
Złeś mię rozumiał; obliczę-ć się z tobą,  
I ujrzysz wrychle swój grzech przed sobą”.

Rozumieścież to, wy, co pospolicie  
Na Boga w swoich sprawach nie pomnicie,  
Aby więc kogo Pan nie porwał srogi,  
A poratować nie będzie drogi.

„Ofiara u mnie nawdzięczniejsza: chwała;  
Ta mnie za wszystkie woły będzie stała;  
A kto pobożnie swój żywot sprawuje,  
Ten moje łaskę zawždy uczuje”.

## „Psalm LXII”

### Nonne Deo subiecta erit anima mea?

Bogu dusza ufa moja,  
To mój zamek, to ma zbroja;  
W nadzieję Jego zasłony  
Nie boję się z żadnej strony.

Dokąd na mię pojedziecie?  
Sami wrychle tak padniecie  
Jako pochylone ściany  
Albo jako płot zachwiany.

Rada wasza dobrym szkodzić  
A w trudności je przywozić,  
Usty przyjaźń ofiarować,  
A w sercu jad szczyry chować.

Ufaj Bogu, duszo moja,  
To mój zamek, to ma zbroja;  
W nadzieję Jego zasłony  
Nie boję się z żadnej strony.

Że człowiek zdrowia używa,  
Że o nim sława uczciwa,  
Ze duż ani sobą trwoży,  
Pan to daje, dar to boży.

W tym nadzieję pokładajcie,  
Temu serca otwarzajcie;  
W nieszczęściu i w każdej trwodze  
Nasza ufność zawżdy w Bodze.

Lekki naród jest człowieczy,  
Nie masz tam nic, co by g'rzeczy;  
By na wagę nastąpili,  
Pióra by nie przeważyli.

Nikt nie ufaj światu temu  
Ani rozumowi swemu;  
Bogactwem cię Bóg twój nadał,  
Strzeż, byś serca nie przykładał.

Raz Pan wyrzekł: „Ta rzecz dwoja,  
Władza i litość, jest moja,  
A jako kto zasługuje,  
Takim płajcą mię uczuje”.

## „Psalm LXXXVIII”

### Domine Deus, salutis meae

Boże, moja nadziejo i moja pomocy!  
Do Ciebie wołam we dnie i w nocy:  
Niechaj miejsce u Ciebie mają prośby moje,  
Skłoń ku mnie ucho łaskawe swoje!  
Nieszczęście duszę trapi, troski nie masz miary,  
Żywot już widzi prawie swe mary.  
Ciało zgoła już martwe, sił nie czuję w sobie,  
Myśl moja wszystko tylko o grobie,  
Leżę jako zabity, pod ziemię włożony,  
Od Ciebie i od świata wzgardzony.  
Ponurzyłeś mię w srogiej otchłani podziemnej,  
Ponurzyłeś mię w przepaści ciemnej.  
Zmocniły się nade mną Twe zapalczywości,  
Przywiodłeś na mię swe nawałności.  
Odraziłeś ode mnie przyjaciół wszystkie,  
Jestem w ich oczu na podziw brzydki,  
Siedzę jako w okowach, wyszcia nie znajduję,  
Oczu prze zbytني swój płacz nie czuję.  
Przedsię ja, Panie, dokąd świeci dzień na niebie,  
Wołam i ręce ściagam do Ciebie.  
Czy umarłym cuda chcesz okazować? Czyli  
Umarli wstawszy będą Cię czcili?  
Czy dobroć Twoja w grobiech będzie powiadana  
Albo pod ziemią prawda wyznana?  
Czy Twoje sprawiedliwość i Twe sprawy dziwne  
Wspominać mogą kraje nieżywe?  
Ciebie ja przedsię wzywam, do Ciebie, mój Panie,  
Nigdy mej prośby głos nie ustanie.  
Boże mój, przecz odrzucasz smętną duszę moję  
I twarz ode mnie odwracasz swoją?  
Troski mię z lat najmłodszych moich naszladują,  
Twoje mię ciężkie strachy zejmują.  
Twój mię gniew, zapalczywość Twoja mię ścisnęła  
I jako powódź zewsząd zamknęła.  
Odstrychnąłeś ode mnie krewne i znajome,  
Wszystkich okryłyśmy niewidome.

## „Psalm XCIX”

### **Dominus regnavit, irascentur populi**

Pan króluje, który włada anioły lotnemi:  
Lękajcie się, państwa wielkie, bój się, wszytka ziemi!  
Wielki to Pan na Syjonie, Pan niezwyknięzony,  
Nad królestwa świata tego wszytki wyniesiony.

Imię Twoje niech na wieki będzie pochwalone,  
Imię wielkie, imię groźne i błogóstawione.  
Ty miłujesz sprawiedliwość, Tyś ludowi swemu  
Prawa podał i porządek spisał wybranemu.

Panu cześć, Bogu naszemu winną chwałę dajcie,  
Podnózkowi (bo jest święty) Jego się kłaniajcie!  
Temu Mój żeś i Aaron ofiary palili,  
I Samuel z teźże liczby, co Jemu służyli.

Wzywali Go, a On słucał uszyma wdzięcznymi  
I z obłoku okrągłego umawiał się z nimi:  
A to, że nad wszytko Pańskich ustaw przestrzegali  
A w przymierzu nieodmienną wiarę zachowali.

Panie, zawždyś je wysłucał, zawždyś im folgował  
I znacznie nad upornymi krzywdy ich wetował.  
Panu cześć, Bogu naszemu winną chwałę dajcie,  
Góre Jego (bo jest święty Bóg nasz) uważajcie!

## „Psalm CXXII”

### **Laetatus sum in hic, quae dicta sunt mihi**

Rad to słyżę, że dom Pański nawiedzić mamy  
I ujźrzem, o Jeruzalem, tve piękne bramy;  
Jeruzalem, wzór miast zacnych, ozdoba świata,  
Zgodą mieszczan swych spojona na wieczne lata.

Tam ku słuźbie Pańskiej, jako zakon skazuje,  
Naród żydowski ze wszytkich krain wstępuje;  
Tam prawo, tam jest zasadzon pałac sądowy,  
Tam stolica i on zacny tron Dawidowy.

Niechże w tobie, piękne miasto, pokój przebywa,  
Którego niech twój przyjaciel z tobą używa;  
Pokój w twardej basztach twoich niechaj się mnoży,  
A obfitość swe w pałacach gniazdo założy.

Prze bracią ze wszech namilszą, prze krewne moje  
Wiecznie się ja starać muszę o dobre twoje:  
Prze dom Pański świętobliwy, na twe pożytki  
Gotówem zdrowie swe ważyć i siły wszystkie.

### **„Psalm CXXXIV”**

#### **Ecce nunc benedicite Domino**

Teraz, o wierni Pańscy służebnicy,  
Którzy trzymacie straż w Jego bożnicy,  
Teraz, jako to noc milczy, wiecznemu  
Chwałę oddajcie winną Bogu swemu!

Ręce ku Jego mieszkaniu ściągajcie,  
A winną chwałę Jemu oddawajcie,  
A Pan wam także będzie błogosławił,  
Ten, który niebo i ziemię postawił.

### **„Psalm CXLIII”**

#### **Domine, exaudi orationem meam**

Wysłuchaj, wieczny Boże, prośby moje  
A nakłoń ku mnie święte uszy swoje;  
Według swej prawdy, według swej litości  
Racz mię ratować w mojej doległości.

Nie chciej się ze mną, Boże litościwy,  
Prawem obchodzić; żaden człowiek żywy  
Tak święty nie jest, aby na Twym sądzie  
Nie miał być w jakim wytkniony nierządzie.

Oto zły człowiek trapi moją duszę,  
A ja w jaskiniach ślepych mieszkać muszę  
Światła nie znając, rowien umarłemu,  
Pod niewidomą ziemię włożonemu.

W takich frasunkach i w takich niewczasiech  
Myśliłem przedsię o dawniejszych czasiech;  
Coś Ty za cuda czynił, coś sprawował,  
Abyś był w cale wierne swe zachował.

Toć jest pociecha mych trosk i wzdychania;  
Czekam ja przedsię Twego smiłowania;  
Czeka ochłody dusza utrapiona,  
Jako dżdża czeka ziemia upalona.

W czas mię wysłuchaj, w czas mię ratuj, Panie,  
Już mi sił ledwe i dusze dostanie;  
Gdzie mię Ty przejrzysz, jużem dawno w ziemi  
I niech mię liczą między umarłemi.

W Tobie nadzieja, w Tobie myśli moje  
Tkwią wszytki, a Ty miłosierdzie swoje  
Objaw' nade mną a okaż mi drogę,  
Po której chodząc bezpieczen być mogę.

Wywri mię z ręku nieprzyjaciół srogich,  
Obrońco smutnych i twierdzo ubogich!  
Naucz mię w świętym żyć zakonie Twoim,  
Abowiem-eś Ty sam jest Bogiem moim.

Duch Twój prawdziwy niechaj mię sprawuje,  
I drogę k'Tobie prostą ukazuje.  
Prze sławę swoje rozwiąż mię z trudności  
A użyj zwykłej nade mną litości.

Weźmi w opiekę duszę moję smutną,  
Nieprzyjacielską okroć myśl okrutną;  
Zniszcz je na ziemi w srogim gniewie swoim  
A pomni, Panie, żem ja sługą Twoim.

### **„Psalm CXLIX”**

#### **Cantate Domino canticum novum**

Panu swemu dajmy cześć rymy nowymi,  
Chwała Jego niechaj brzmi między dobrymi.  
Niech się w twórcy swym chełpią Izraelczycy,  
Niechaj się królem cieszą swym Syjończycy.

Imię Jego i tańce niech wspominają  
I wodze tańców mowne gęśli śpiewają!  
Pan bowiem lud swój wierny wielce miłuje,  
A ciche wszystkim dobrem rad opatruje;  
Dobrze będą widzeni w wielkiej zacności  
I użyją w mieszkaniach swoich radości:  
W ich uścicach Pańska chwała, w ręku waleczny,  
Ogromny będzie łyśkał miecz obosieczny,  
Aby krzywd na poganach swoich się mścili,  
A wielkomyślną hardość w ziemię tłoczyli;  
Aby królom ich kładli na nogi pęta,  
A w okowach chowali przednie książęta;  
Aby wedle pisanych praw je sądzili,  
A wierni sławy wiecznej stąd dostąpili.

### **„Psalm CL”**

#### **Laudate Dominum in sanctis Eius**

Chwalcie Pana z Jego świątobliwości,  
Chwalcie Pana z Jego wielkiej możności,  
Chwalcie z mocy, chwalcie Go  
Z dziwnej wielkości Jego!

Chwalcie Pana ogromnymi trąbami,  
Chwalcie Pana przyjemnymi lutniami,  
Chwalcie bębny, chwalcie Go  
Kołem tańca pięknego!

Chwalcie Pana i harfą, i regały,  
Chwalcie Pana wesołymi cymbały!  
Wszelka rzecz, która żywie,  
Wyznaj Pana chętnie!

# Treny

## Tren I

Wszystki płacze, wszystkie łzy Heraklitowe  
I lamenty, i skargi Symonidowe,  
Wszystki troski na świecie, wszystkie wzdychania  
I żale, i frasunki, i rąk łamania,  
Wszystki a wszystkie za raz w dom się mój noście,  
A mnie płakać mej wdzięcznej dziewczki pomoście,  
Z którą mię niepobożna śmierć rozdzieliła  
I wszystkich moich pociech nagle zbawiła.  
Tak więc smok, upatrzwszy gniazdko kryjome,  
Słowiczki liche zbiera, a swe łakome  
Gardło pasie; tymczasem matka szczebiece  
Uboga, a na zbójcę coraz się miece,  
Próżno! bo i na sarnę okrutnik zmierza,  
A ta nieboga ledwe umyka pierza.  
„Próżno płakać” – podobno drudzy rzeczenie.  
Cóż, prze Bóg żywy, nie jest próżno na świecie?  
Wszystko próżno! Macamy, gdzie miękcej w rzeczy,  
A ono wszędy ciśnie! Błąd – wiek człowieczy!  
Nie wiem, co lżej: czy w smutku jawnie żałować,  
Czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować?

## Tren II

Jeslim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,  
A kwoli temu wieku lekkie rymy stawić,  
Bodajżebych był raczej kolebkę kołysał  
I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał,  
Którymi by dziecińki noworodne spiły  
I swoich wychowawców lamenty tóliły!  
Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniej było  
Niżli, w co mię nieszczęście moje dziś wprawiło,  
Płakać nad głuchym grobem mej wdzięcznej dziewczyny  
I skarżyć się na srogość ciężkiej Prozerpiny.  
Alem użyć w obojgu jednakiej wolności  
Nie mógł: owom ominął, jako w dordżałości  
Dowcipu coś ranego; na to mię przygoda  
Gwałtem wbiła i moja nienagrodna szkoda.  
Ani mi teraz łącno dowiadać się o tym,



Jaka mię z płaczu mego czeka cześć na potym.  
Nie chciałem żywym śpiewać, dziś umarłym muszę.  
A cudzej śmierci płacząc, sam swe kości suszę.  
Próżno to! Jakie szczęście ludzi naszladuje,  
Tak w nas albo dobrą myśl, albo złą sprawuje.  
O prawo krzywdy pełne! O znikomych cieni  
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!  
Tak li moja Orszula, jeszcze żyć na świecie  
Nie umiawszy, musiała w ranym umrzeć lecie?  
I nie napatrzawszy się jasności słonecznej  
Poszła, nieboga, widzieć krajów nocy wiecznej!  
A bodaj ani była świata oglądała!  
Co bowiem więcej, jeno ród a śmierć poznała?  
A miasto pociech, które winna z czasem była  
Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

### Tren III

Wzgardziłaś mną, dziedziczko moja ucieszona!  
Zdać się ojca twego bardziej uszczuplona  
Ojczyzna, niżlibyś ty przestać na niej miała.  
To prawda, żeby była nigdy nie zrównała  
Z ranym rozumem twoim, z pięknymi przymioty,  
Z których się już znały twoje przyszłe cnoty.  
O słowa! o zabawo! o wdzięczne ukłony!  
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!  
A ty, pociecho moja, już mi się nie wrócisz  
Na wieki ani mojej tesknice okrócisz!  
Nie lza, nie lza, jedno się za tobą gotować  
A stopeczkami twymi ciebie naszladować.  
Tam cię ujrzę, da Pan Bóg, a ty więc drogimi  
Rzuć się ojcu do szyje ręczynkami swymi!

### Tren IV

Zgwałciłaś, niepobożna Śmierci, oczy moje,  
Żem widział umierając miłe dziecię swoje!  
Widziałem, kiedyś trzęsła owoc niedordzały,  
A rodzicom nieszczęsnym serca się krajały.  
Nigdyć by ona była bez wielkiej żałości  
Mojej umrzeć nie mogła, nigdy bez ciężkości  
I serdecznego bólu, w którymkolwiek lecie

Mnie by smutnego była odbiegła na świecie;  
Alem ja już z jej śmierci nigdy żałociwszy,  
Nigdy smutniejszy nie mógł być ani teskliwszy.  
A ona, by był Bóg chciał, dłuższym wiekiem swoim  
Siła pociech przymnożyć mogła oczom moim.  
A przynajmniej tymczasem mogłem być odprawić  
Wiek swój i Persefonie ostatniej się stawić,  
Nie uczuwszy na sercu tak wielkiej żałoci,  
Której równia nie widzę w tej tu śmiertelności.  
Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała  
Swoich namilszych dziecięć patrząc skamieniała.

### **Tren V**

Jako oliwka mała pod wysokim sadem  
Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem,  
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,  
Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc:  
Tę jeśli, ostre ciernie lub rodne pokrzywę  
Uprzątając, sadownik podciął ukwapliwy,  
Mdleje zaraz, a zbywszy siły przyrodzonej,  
Upada przed nogami matki ulubionej –  
Takci się mej namilszej Orszuli dostało.  
Przed oczyma rodziców swoich rosnąc, małe  
Od ziemi się co wzniósłszy, duchem zaraźliwym  
Srogiej Śmierci otchniona, rodzicom troskliwym  
U nóg martwa upadła. O zła Persefono,  
Mogłażeś tak wielu łzam dać upłynąć płono?

### **Tren VI**

Ucieszna moja śpiewaczko! Safo słowieńska!  
Na którą nie tylko moja częśćka ziemieńska,  
Ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała!  
Tęś nadzieję już po sobie okazowała,  
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając  
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając,  
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym  
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.  
Prędkoś mi nazbyt umilkła! Nagle cię sroga  
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga!  
Nie nasyciłaś mych uszu swymi piosnkami,

I tę trochę teraz płacę sownie łzami.  
A tyś ani umierając śpiewać przestała,  
Lecz matkę, ucałowawszy, takeś żegnała  
„Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę  
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde;  
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,  
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.”  
To i czego żal ojcowski nie da serdeczny  
Przypominać więcej, był jej głos ostateczny.  
A matce, słysząc żegnanie tak żałościwe,  
Dobre serce, że od żalu zostało żywe.

## Tren VII

Nieszczęsne ochędóstwo, żalosne ubiory  
Mojej namilszej cory!  
Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie,  
Żalu mi przydajecie?  
Już ona członeczków swych wami nie odzieje –  
Nie masz, nie masz nadzieje!  
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany...  
Już letniczek pisany  
I uploteczki wniwecz, i paski złożone,  
Matczyne dary płone.  
Nie do takiej łożnice, moja dziewczko droga,  
Miała cię mać uboga  
Doprowadzić! Nie taką dać obiecowala  
Wyprawę, jakąć dała  
Gieźleczkoć tylko dała a lichą tkaneczkę;  
Ojciec ziemie brełeczkę  
W główki włożył. – Niestetyż, i posag, i ona  
W jednej skrzynce zamkniona!

## Tren VIII

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,  
Moja droga Orszulo, tym zniknieniem swoim!  
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:  
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.  
Tyś za wszystkie mówiła, za wszystkie śpiewała,  
Wszystkiś w domu kąciki zawždy pobiegała.  
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować

Ani ojcu myśleniem zbytnim głowy psować,  
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając  
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.  
Teraz wszystko umilkło, szczere pustki w domu,  
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu.  
Z każdego kąta żalność człowieka ujmuje,  
A serce swej pociechy darmo upatruje.

### **Tren IX**

Kupić by cię, Mądrości, za drogie pieniądze!  
Która, jeśli prawdziwie mienią, wszystkie żądze,  
Wszystki ludzkie frasunki umiesz wykorzenić,  
A człowieka tylko nie w anioła odmienić,  
Który nie wie, co boleść, frasunku nie czuje,  
Złym przygodom nie podległ, strachom nie hołduje.  
Ty wszystkie rzeczy ludzkie masz za fraszkę sobie,  
Jednaką myśl tak w szczęściu, jako i w żalobie  
Zawždy niesiesz. Ty śmierci namniej się nie boisz,  
Bezpieczna, nieodmienna, niepożyta stoisz.  
Ty bogactwa nie złotem, nie skarby wielkimi,  
Ale dosytem mierzysz i przyrodzonymi  
Potrzebami. Ty okiem swym nieuchronionym  
Nędznika upatrujesz pod dachem złoconym,  
A uboższym nie zajrząysz szczęśliwego mienia,  
Kto by jedno chciał słuhać twego upomnienia.  
Nieszczęśliwy ja człowiek, którym lata swoje  
Na tym strawił, żebych był ujźrzał progi twoje!  
Terazem nagle z stopniów ostatnich zrzucony  
I między insze, jeden z wielu, policzony.

### **Tren X**

Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?  
W którą stronę, w którąś się krainę udała?  
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wniesiona  
I tam w liczbę aniołków małych policzona?  
Czyliś do raju wzięta? Czyliś na szczęśliwe  
Wyspy zaprowadzona? Czy cię przez teskliwe  
Charon jeziora wiezie i napawa zdrojem  
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu mojem?  
Czy, człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,

Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?  
Czyli się w czyściu czyścisz, jeśli z strony ciała  
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?  
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwiej była,  
Niżes się na mą ciężką żałość urodziła?  
Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości,  
A nie możesz li w onej dawnej swej całości,  
Pociesz mię, jako możesz, a staw' się przede mną  
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nিকczemną!

## Tren XI

Fraszka cnota! – powiedział Brutus porażony...  
Fraszka, kto się przypatrzy, fraszka z każdej strony!  
Kogo kiedy pobożność jego ratowała?  
Kogo dobroć przypadku złego uchowała?  
Niezajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy  
Nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy.  
Kędy jego duch wienie, żaden nie ułężę;  
Praw-li, krzyw-li, bez braku każdego dosięże.  
A my rozumy swoje przedsię udać chcemy:  
Hardzi między prostaki, że nic nie umiemy,  
Wspinamy się do nieba, boże tajemnice  
Upatrując; ale wzrok śmiertelnej żrzenice  
Tępy na to! Sny lekkie, sny płocze nas bawia,  
Które się nam podobno nigdy nie wyjawia...  
Żałości! co mi czynisz? Owa już oboje  
Mam stracić: i pociechę, i baczenie swoje?

## Tren XII

Żaden ojciec podobno barziej nie miłował  
Dziecięcia, żaden barziej nad mię nie żałował.  
A też ledwe się kiedy dziecię urodziło.  
Co by łaski rodziców swych tak godne było.  
Ochędźne, posłuszne, karne, niepieszczone,  
Śpiewać, mówić, rymować jako co uczone;  
Każdego ukłon trafić; wyrazić postawę,  
Obyczaje panieńskie umieć i zabawę;  
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nierzewniwe,  
Dobrowolne, układne, skromne i wstydlive.  
Nigdy ona po ranu karmie nie wspomniła,

Aż pierwwej Bogu swoje moditwy oddała.  
Nie poszła spać, aż pierwwej matkę pozdrowiła  
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła.  
Zawždy przeciwko ojcu wszytki przebyć progi,  
Zawždy się uradować i przywitać z drogi,  
Kaźdej roboty pomóc, do kaźdej postugi  
Uprzedzić było wszytki rodziców swych sługi.  
A to w tak małym wieku sobie poczyniała,  
Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.  
Tak wiele cnót jej młodość i takich dzielności  
Nie mogła znieść; upadła od swejże bujności,  
Żniwa nie doczekawszy! Kłosie mój jedyny,  
Jeszcze mi się był nie zstał, a ja, twej godziny  
Nie czekając; znowu cię w smutną ziemię sieję!  
Ale pospołu z tobą grzebę i nadzieję:  
Bo już nigdy nie wznidziesz ani przed mojema  
Wiekom wiecznie zakwitniesz smutnymi oczema.

### **Tren XIII**

Moja wdzięczna Orszulo, bodaj ty mnie była  
Albo nie umierała lub się nie rodziła!  
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim  
Za tym nieodpowiednym pożegnaniem twoim.  
Omyliłaś mię jako nocny sen znikomy,  
Który wielkością złota cieszy smysł łakomy,  
Potym nagle uciecze, a temu na jawi  
Z onych skarbów jeno chęć a żądzą zostawi.  
Takeś ty mnie, Orszulo droga, uczyniła  
Wielkieś nadzieje w moim sercu roznieciła,  
Potymeś mię, smutnego, nagle odbieżyła  
I wszytki moje z sobą pociechy zabrała.  
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc, dusze połowicę;  
Ostatek przy mnie został na wieczną tesknicę.  
Tu mi kamień, murarze, ciosany połóżcie,  
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydróżcie:  
„Orszula Kochanowska tu leży, kochanie  
Ojcowe albo raczej płacz i narzekanie.  
Opakeś to, niebaczna śmierci, udziała  
Nie jać onej, ale mnie ona płakać miała.”

## Tren XIV

Gdzie te wrota nieszczęsne, którymi przed laty  
Puszczał się w ziemię Orfeus szukając swej straty?  
Żebych ja też tą ścieżką swej namilszej córy  
Poszedł szukać i on bród mógł przebyć, przez który  
Srogi jakiś przewoźnik wozi blade cienie  
I w lasy niewesołe cyprysowe żenie.  
A ty mię nie zostawaj, wdzięczna lutni moja,  
Ale ze mną pospołu pódź aż do pokoja  
Surowego Plutona! Owa go to łzami,  
To tymi żałosnymi zmiękczywa pieśniami,  
Że mi moję namilszą dziewczkę jeszcze wróci,  
A ten nieuśmierzony we mnie żal ukróci.  
Zginać ci mu nie może, tuć się wszystkim zostać,  
Niech się tylko niedoszłej jagodzie da dostać.  
Gdzie by też tak kamienne ten bóg serce nosił,  
Żeby tam smutny człowiek już nic nie uprosił!  
Cóż temu rzecz? Więc tamże już za jedną drogą  
Zostać, a z duszą za raz zewlec troskę sroga.

## Tren XV

Erato złotowłosa i ty, wdzięczna lutni,  
Skąd pociechę w swych troskach biorą ludzie smutni!  
Uspokójcie na chwilę strapioną myśl uroję,  
Póki jeszcze kamienny w polu słupek nie stoję,  
Lejąc ledwie nie krwawy płacz przez marmór żywy,  
Żalu ciężkiego pamięć i znak nieszczęśliwy.  
Mylę się? czyli, patrząc na ludzkie przygody,  
Skromniej człowiek uważa i swe własne szkody?  
Nieszczęsna matko (jesli przeczytać możemy ,  
Nieszczęściu, co prze głupi swój rozum cierpiemy),  
Gdzie teraz twych siedm' synów i dziewczek tak wiele?  
Gdzie pociecha? gdzie radość i twoje wesele?  
Widzę czternaście mogił, a ty, nieszczęśliwa  
I podobno tak długo nad wolą swą żywa,  
Obłapiasz zimne groby, w których – ach, niebogo –  
Składłaś dziateczki swoje zagubione srogo!  
Takie więc kwiaty leżą kosą podsieczone  
Albo deszczem gwałtownym na ziemię złożone.  
W którą nadzieję żywiesz? Czego czekasz więcej?  
Czemu śmiercią żalości nie zbywasz co pręcej?

A wasze prędkie strzały albo łuk co czyni  
Niepochybny, o Febe i mściwa bogini?  
Albo z gniewu, bo winna, albo więc z litości  
Dokonajcie, prze Boga, jej biednej starości!  
Nowa pomsta, nowa kaźń hardą myśl potkała  
Dziatek płacząc Niobe sama skamieniała  
I stoi na Sypilu marmor nieprzetrwany,  
Jednak i pod kamieniem żywią skryte rany.  
Jej bowiem łzy serdeczne skałę przenikają  
I przezroczystym z góry strumieniem spadają,  
Skąd zwierzę i ptastwo pije; a ta w wiecznym pięcie  
Tkwi w rogu skały wiatrom szalonym na wstręcie.  
Ten grób nie jest na martwym, ten martwy nie w grobie  
Ale samże jest martwym, samże grobem sobie.

### **Tren XVI**

Nieszczęściu kwoli a swojej żałości,  
Która mię prawię przejmuję do kości,  
Lutnią i wdzięczny rym porzucić muszę.  
Ledwie nie duszę.

Żyw-em? Czy mię sen obłudny frasuje?  
Który kościanym oknem wylatuje,  
A ludzkie myśli tym i owym bawi,  
Co błąd na jawi.

O błędzie ludzki! O szalone dumi!  
Jako to łącno pisać się z rozumy,  
Kiedy po woli świat mamy, a głowa  
Człowieku zdrowa.

W dostatku będąc, ubóstwo chwalemy,  
W rozkoszy – żałość lekce szacujemy,  
A póki wełny skąpej prządce zostaje,  
Śmierć nam za jaje.

Lecz kiedy nędza albo żal przypadnie,  
Ali żyć nie tak, jako mówić, snadnie,  
A śmierć dopiero wtenczas nam należy,  
Gdy już k'nam bieży.



Przecz z płaczem idziesz, Arpinie wymowny,  
Z miłej ojczyzny? Wszak nie Rzym budowny,  
Ale świat wszytek miastem jest mądrymu  
Widzeniu twemu.

Czemu tak barzo córki swej żałujesz?  
Wszak się ty tylko sromoty wiarujesz;  
Insze wszelakie u ciebie przygody  
Ledwe nie gody!

Śmierć – mówisz – straszna tylko niezbożnemu.  
Przecże się tobie umrzeć, cnotliwemu,  
Nie chciało, kiedyś prze dotkliwą mowę  
Miał podać głowę?

Wywiodłeś wszystkim, nie wywiodłeś sobie;  
Łacniej rzec, widzę, niż czynić i tobie,  
Pióro anielskie, duszę toż w przygodzie,  
Co i mnie bodzie.

Człowiek nie kamień, a jako się stawia  
Fortuna, takich myśli nas nabawi.  
Przekłęte szczęście! Czyż snąć gorzej duszy,  
Kto rany ruszy?

Czasie, pożądnej ojczy niepamięci!  
W co ani rozum, ani trafią święci,  
Zgój smutne serce, a ten żal surowy  
Wybij mi z głowy!

## **Tren XVII**

Pańska ręka mię dotknęła,  
Wszystkę mi radość odjęta:  
Ledwe w sobie czuję duszę  
I tę podobno dać muszę.

Lubo wstając gore jaśnie,  
Lubo padnąc słońce gaśnie,  
Mnie jednako serce boli,  
A nigdy się nie utoli.

Oczu nigdy nie osuszę –  
I tak wiecznie płakać muszę!  
Muszę płakać! – O mój Boże,  
Kto się przed Tobą skryć może?

Próżno morzem nie pływamy,  
Próżno w bitwach nie bywamy:  
Ugodzi nieszczęście wszędzie,  
Choć podobieństwa nie będzie.

Wiodłem swój żywot tak skromnie,  
Że ledwe kto wiedział o mnie,  
A zazdrość i złe przygody  
Nie miały miały mi w co dać szkody.

Lecz Pan, który gdzie tknąć, widzi,  
A z przestrogi ludzkiej szydzi,  
Zadał mi raz tym znaczniejszy,  
Czym-em już był bezpieczniejszy.

A rozum, który w swobodzie  
Umiał mówić o przygodzie,  
Dziś ledwe sam wie o sobie:  
Tak mię podparł w mej chorobie.

Czasem by się chciał poprawić,  
A mnie ciężkiej troski zbawić,  
Ale gdy siędzie na wadze,  
Żalu ruszyć nie ma władze.

Próżne to ludzkie wywody,  
Żeby szkodą nie zwać szkody;  
A kto się w nieszczęściu śmieje,  
Ja bych tak rzekł, że szaleje.

Kto zaś na płacz lekkość wkłada,  
Słyszę dobrze, co powiada;  
Lecz się tym żal nie hamuje,  
Owszem, większy przystępuje.

Bo, mając zranioną duszę,  
Rad i nierad płakać muszę,  
Co snąć nie cześć, to ku szkodzie  
I zelżywość serce bodzie.

Lekarstwo to, prze Bóg żywy,  
Ciężkie na umysł troskliwy!  
Kto przyjaciel zdrowia mego,  
Wynajdzi co wolniejszego!

A ja zatym łzy niech leję,  
Bom stracił wszystkie nadzieję,  
By mię rozum miał ratować;  
Bóg sam mocen to hamować.

### **Tren XVIII**

My, nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje,  
W szczęśliwe czasy swoje  
Rzadko Cię wspominamy,  
Tylko rozkoszy zwykłych używamy.

Nie baczym, że to z Twojej łaski nam płynie,  
A także prędko minie,  
Kiedy po nas wdzięczności  
Nie uznasz, Panie, za Twe życzliwości.

Miej nas na wodzy, niech nas nie rozpycha  
Doczesna rozkosz licha!  
Niechaj na Cię pomniemy  
Przynamniej w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.

Ale ojcowskim nas karz obyczajem,  
Boć przed Twym gniewem stajem  
Tak, jako śnieg niszczeje,  
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje.

Zgubisz nas prędko, wiekuisty Panie,  
Jesli nad nami stanie  
Twa ciężka boska ręka;  
Sama niełaska jest nam sroga męka.

Ale od wieku Twoja lutość słyńie,  
A pierwwej świat zaginie,  
Niż Ty wzgardzisz pokornym,  
Chocia był długo przeciw Tobie spornym.

Wielkie przed Tobą są występy moje,  
Lecz miłosierdzie Twoje  
Przewyssa wszystkie złości.  
Użyj dziś, Panie, nade mną litości!

### **Tren XIX**

(*albo „Sen”*)

Żalność moja długo w noc oczu mi nie dała  
Zamknąć i zemdlonego upokoić ciała;  
Ledwie mię na godzinę przed świtaniem swymi  
Sen leniwy obłąpił skrzydły czarnawymi.  
Natenczas mi się matka włamię ukazała,  
A na rękę Orszulę moję wdzięczną miała,  
Jaka więc po paciorek do mnie przychodziła,  
Skoro z swego postania rano się ruszyła.  
Gieźleczek biały na niej, włoski pokręcone,  
Twarz rumiana, a oczy ku śmiechu skłoniłone.  
Patrzę, co dalej będzie, aż matka tak rzecze:  
„Śpisz, Janie? czy cię żalność twoja zwykła piecze?”  
Zatym-em ciężko westchnął i tak mi się zdało,  
Żem się ocknął. – A ona, pomilczawszy mało,  
Znowu mówić poczęła : „Twój nieutulony  
Płacz, synu mój, przywiódł mię w te tu wasze strony  
Z krain bardzo dalekich, a łzy gorzkie twoje  
Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje.  
Przyniosłam ci na rękę wdzięczną dziewczkę twoją,  
Abyś ją mógł oglądać jeszcze, a tę swoją  
Serdeczną żalność ujął, która tak ujmuje  
Sił twoich i tak zdrowie nieznacznie twe psuje,  
Jako ogień suchy knot obraca w perzyny,  
Darmo nie upuszczając namniejszej godziny.  
Czyli nas już umarłe macie za stracone  
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?  
A my, owszem, żywiemy żywot tym ważniejszy,  
Czym nad to grube ciało duch jest szlachetniejszy.  
Ziemia w ziemię się wraca, a duch, z nieba dany,  
Miałby zginąć ani na miejsca swe wezwany?  
O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie,  
Że twoja namilejsza Orszuleczka żywie.  
A tu więc takim ci się kształtem ukazała,  
Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała.  
Ale między anioły i duchy wiecznymi

Jako wdzięczna jutrzienka świeci, a za swymi  
Rodzicami się modli, jako to umiała  
Z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała.  
Jesliżec też stąd roście żalność, że jej lata  
Pierwej są przyłomione, niżli tego świata  
Rozkoszy zażyć mogła? O biedne i płone  
Rozkoszy wasze, które tak są usadzone,  
Że w nich więcej frasunków i żalności więcej!  
Czego ty doznać możesz sam z siebie napręcej!  
Ucieszyłeś się kiedy z dziewczki swej tak wiele,  
Żeby pociecha twoja i ono wesele  
Mogło porównać z twoim dzisiejszym kłopotem?  
Nie rzeczesz tego, widzę! Także trzymaj o tem,  
Jakoś doznał, ani się frasuj, że tak rana  
Twojej ze wszech namilszej dziewce śmierć zesłana!  
Nie od rozkoszy poszła; poszłać od trudności,  
Od pracy, od frasunków, od łez, od żalności,  
Czego świat ma tak wiele, że by też co było  
W tym doczesnym żywocie człowieczeństwu miło,  
Musi smak swój utracić prze wielkość przysady,  
A przynamniej prze bojaźń nieuchronnej zdrady.  
Czegóż płaczesz, prze Boga? Czegóż nie zażyła?  
Że sobie swym posagiem pana nie kupiła?  
Że przegrózek i cudzych fuków nie słuchała?  
Że boleści w rodzeniu dziełek nie uznała?  
Ani umie powiedzieć, czego jej troskliwa  
Matka doszła: co z większym utrapieniem bywa,  
Czy je rodzić, czy je grześć? – Takieć pospolicie  
Przysmaki wasze, czym wy sobie świat słodzicie! –  
W niebie szczerze rozkoszy, a do tego wieczne,  
Od wszelakiej przekazy wolne i bezpieczne;  
Tu troski nie panują, tu pracy nie znają,  
Tu nieszczęście, tu miejsca przygody nie mają,  
Tu choroby nie najdzie, tu nie masz starości,  
Tu śmierć, łzami karmiona, nie ma już wolności.  
Żyjem wiek nieprzeżyty, wiecznej używamy  
Dobrej myśli, przyczyny wszystkich rzeczy znamy.  
Słońce nam zawždy świeci, dzień nigdy nie schodzi  
Ani za sobą nocy niewidomej wodzi.  
Twórcę wszech rzeczy widziem w jego majestacie,  
Czego wy, w ciele będąc, próżno upatrzacie.  
Tu w czas obróć swe myśli, a chowaj się na te  
Nieodmienne, synu mój, rozkoszy bogate!  
Doznałeś, co świat umie i jego kochanie;

Lepiej na czym ważniejszym zasadź swe staranie!  
Dziewka twoja dobry los, możesz wierzyć, wzięła,  
A właśnie w swoich rzeczach sobie tak poczęta,  
Jako gdy kto, na morze nowo się puściwszy,  
A tam niebezpieczeństwo wielkie obaczywszy,  
Woli nazad do brzegu. Drudzy, co podali  
Żagle wiatrom, na ślepe skały powpadali;  
Ten mrozem zwyciężony, ten od głodu zginął,  
Rzadki, co by do brzegu na desce przyplął.  
Śmierci zniknąć nie mogła, by też dobrze była  
Onę dawną Sybillę wiekiem swym przeżyła.  
To, co mimo być potym, uprzędzić wołała;  
Tymże mniej tego świata niewczasów doznała,  
Drugie po swych namilszych rodzicach zostają  
I ciężkiego siroctwa, nędzne, doznawają.  
Wypchną drugą za męża leda jako z domu,  
A majątność zostanie, sam to Bóg wie komu.  
Biorą drugie i gwałtem, a biorą i swoi,  
Ale i w hordach część się wielka ich zostoi,  
Gdzie w niewoli pogańskiej i w służbie sromotnej  
Łzy swe piją czekając śmierci wszytkokrotnej.  
Tego twej wdzięcznej dziewczce bać się już nie trzeba,  
Która w swych młodych leciech wzięta jest do nieba  
Żadnych frasunków tego świata nie doznawszy  
Ani grzechem dusze swej drogiej pomazawszy.  
Jej tedy rzeczy, synu – nie masz wątpliwości –  
Dobrze poszły, ani stąd używaj żałości! –  
Swoje szkody tak szacuj i omyłki swoje,  
Abyś nie przepamiętał, że baczenie twoje  
I stateczność jest droższa! W tę bądź przedsię panem,  
Jako się kolwiek czujesz w pociechy obranem.  
Człowiek urodziwszy się zasiadł w prawie takim,  
Że ma być jako celem przygodom wszelakim;  
Z tego trudno się zdzierać! Poczniemy, co chcemy,  
Jesli po dobrej woli nie pójdziem, musimy,  
A co wszystkich jednak o ciśnie, nie wiem, czemu  
Tobie ma być, synu mój, naciężej jednemu.  
Śmiertelna jako i ty twoja dziewczka była;  
Póki jej zamierzony kres był, póty żyła.  
Krótko wprawdzie! ale w tym człowiek nic nie włada,  
A wyrzec też, co lepiej, niełacno przypada.  
Skryste są Pańskie sądy; co się Jemu zdało,  
Należiej, żeby się też i nam podobało.  
Łzy w tej mierze niepłatne; gdy raz dusza ciała

Odbieży, próżno czekać, by się wrócić miała.  
Ale człowiek nie zda się praw szczęściu w tej mierze,  
Że szkody pospolicie tylko przed się bierze,  
A tego baczyć nie chce ani mieć w pamięci,  
Co mu też czasem padnie wedle jego chęci.  
Tać jest władza Fortuny, mój namilszy synie,  
Że nie tak uskarżać się, kiedy nam co zginie,  
Jako dziękować trzeba, że wzdam co zostało,  
Bo to wszystko nieszczęście w ręku swoich miało.  
A tak i ty, folgując prawu powszechnemu,  
Zagródź drogę do serca upadkowi swemu  
A w to patrzaj, co uszło ręki złej przygody;  
Zyskiem człowiek zwać musi, w czym nie popadł szkody  
Na koniec, w co się on koszt i ona utrata,  
W co się praca i twoje obróciły lata,  
Któręś ty niemal wszystkie strawił nad księgami,  
Mało się bawiąc świata tego zabawami?  
Teraz by owoc zbierać swojego szczepienia  
I ratować w zachwianiu mdłego przyrodzenia!  
Cieszyłeś przedtym insze w takiejże przygodzie:  
I będziesz w cudzej czulszy niżli w swojej szkodzie?  
Teraz, mistrzu, sam się lecz! Czas doktor każdemu,  
Ale kto pospolitym torem gardzi, temu  
Tak późnego lekarstwa czekać nie przystoi!  
Rozumem ma uprzedzić, co insze czas goi.  
A czas co ma za fortel? Dawniejsze świeżymi  
Przypadkami wybija, czasem weselszymi,  
Czasem też z tejsze miary; co człowiek z baczeniem  
Pierwej, niż przyjdzie, widzi i takim myśleniem  
Przeszłych rzeczy nie wściąga, przyszłych upatruje  
I serce na oboję fortunę gotuje.  
Tego się, synu, trzymaj, a ludzkie przygody  
Ludzkie noś; jeden jest Pan smutku i nagrody.”  
Tu zniknęła. – Jam się też ocknął. – Aczciem prawie  
Niepewien, jeslim przez sen słuchał czy na jawie.

### 3. Adolf Dygasiński – władca języka nizin i dalekości słowiańskiej



**Adolf Tomasz Dygasiński** to nie tylko znany powieściopisarz i nowelista, ale również publicysta, pedagog i tłumacz. Urodził się 7 marca 1839 roku w Niegośławicach k. Pińczowa nad Nidą. Nauki początkowe pobierał w Pińczowie. W latach 1858–1860 uczył się w Szkole Wyższej Realnej w Kielcach, a w roku 1862 wstąpił na wydział historyczno-filologiczny Szkoły Głównej w Warszawie. Studia, jak wielu jemu współczesnym młodym Polakom przeważyło mu powstanie styczniowe, w którym brał czynny udział. Po zakończeniu powstania wznowił naukę w Szkole Głównej, a w 1868 r. wyjechał do Pragi na Uniwersytet Karola, potem, ze względu na trudną sytuację materialną, pracował jako guwerner w dworach szlacheckich. Jednym z tych miejsc był majątek Wielgie na ziemi radomskiej, własność rodziny Karczewskich. To tu jego uczniami byli Wacław Karczewski i Jacek Malczewski.

W 1871 osiadł w Krakowie, gdzie prowadził zakład wychowawczy, wydawał serie książek popularnonaukowych («Biblioteka Umiejętności Przyrodniczych») i w 1872 r. założył własną księgarnię; po jej upadku wskutek nagonki sfer konserwatywno-klerikalnych przeniósł się w 1877 r. do Warszawy.

Tu ponownie podjął (z koniecznej potrzeby utrzymania się) pracę w szkołach prywatnych, ale także współpracował z organem ruchu pozytywistycznego – „Przegląd Tygodniowy”, następnie związał się z „Wędrownicem” (propagującym od ok. 1885 r. idee naturalizmu w literaturze) i w 1886 r. z demokratyczno-ludowym „Głosem”. W 1887 r. był współinicjatorem miesięcznika etnograficznego „Wisła”.

Po odebraniu mu przez władze rosyjskie prawa nauczania w 1889 opuścił Warszawę. W 1890–1891 odbył podróż do Brazylii (wrażenia z niej zawarł w powieści *Na złamanie karku* 1893). Do końca życia zarabiał pracą guwernerską.

Zmarł 3 czerwca 1902 roku w Grodzisku Mazowieckim. Pochowany został na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Na dorobek pisarski Dygasińskiego składają się nowele, powieści, opowiadania, utwory dla dzieci, publicystyka, prace z dziedziny pedagogiki oraz liczne streszczenia i przekłady dzieł naukowych.

Twórczość Dygasińskiego znajduje się pod wpływem naturalizmu: uwydatnia zależność człowieka od przyrody, ustala analogie między światem zwierzęcym a ludzkim (np. *Wilk, psy i ludzie* 1883), ilustruje darwinowskie prawo walki o byt (np. powieść *Właściciele* 1888) i – pod wpływem Zoli – teorię dziedziczności (np. *Von Molken* 1886, *Na warszawskim bruku* 1886).



Również za wzorem Zoli budował Dygasiński niektóre swe powieści na kształt monografii naukowych, poświęconych jakiemuś zagadnieniu socjologicznemu (np. *Gorzałka* 1894) lub wybranej grupie społecznej. Naturalizm współistniał w twórczości Dygasińskiego z realizmem, przejawiającym się m.in. we wnikliwej obserwacji psychologicznej i społecznej oraz w bogatym i autentycznym języku postaci; realizm ten miał jednocześnie wyraźne zabarwienie krytyczno-społeczne: ukazywał surową prawdę o życiu chłopskim, demaskował stosunki moralne wytworzone w mieście przez sytuację ekonomiczną i dysproporcje społeczne.

Dużą wartość literacką mają utwory Dygasińskiego ukazujące przyrodę i życie zwierząt, m.in. *As* (1896), *Zajac* (1900); do innych ważniejszych książek pisarza należą: *Na pańskim dworze* (1884), *Nowe tajemnice Warszawy* (1887), *Beldonek* (1888), *Robinson polski* (1891), *Złamane życie* (1893), *Dramaty Lubądzkie* (1897), *Pióro* (1897), *W Swojczy* (1899), *Margiela i Margielka* (1901), *Gody życia* (1902). Liczne nowele ukazywały się za życia pisarza w kilkunastu zbiorach.

Dygasiński rozwijał również żywą działalność popularyzatorsko-oświatową; szerzył m.in. znajomość filozofii H. Spencera, T.H. Huxleya, koncepcji językoznawczej W.D. Whitneya, pedagogicznej J.H. Pestalozziego, F. Fröbla, tłumaczył J.S. Milla (*Logika* 1897) i in. Zajmował się zagadnieniami metodyki nauczania początkowego, pozaszkolnego (*Jak się uczyć i jak uczyć innych* 1889) i pogładowego, był inicjatorem pisma „Przegląd Pedagogiczny” (1880).

Trafnie i pięknie scharakteryzował dorobek i osobowość pisarza Zygmunt Szweykowski w „Dramacie Dygasińskiego”: *Bo Dygasiński w przedziwnie piękny sposób umiał godzić postawę przyrodnika z postawą poety; przyrodniczą obserwację nasycić mistycyzmem - pierwiastki racjonalne mieszać z irracjonalnymi, do poznania intelektualnego włączać metafizyczne, intuicyjne, w kryteriach piękna dawać pierwszeństwo uczuciu przed rozumem.*

(opr. Marcin Olifrowicz)

Pochodził z bardzo starożytnego rodu Mysikrólików, których w ciągu wieków nie skaziła przymieszka krwi obcej. Błąd rodowy nie obarczył tu nigdy ani miecza, ani kądzieli, chociaż w borze pełno jest śpiewaków, niebezpiecznych dla płci pięknej, i baletnic, gotowych zawracać głowę rycerzom. Taki słowik, takie sikorki, pokrzewki różne: istna opera i cyrk, i balet! Przy tym Mysikróliki żyły i żyją w ubóstwie, nie zawierając związków małżeńskich dla wiana! Dusza naszego ptaka, wychowywana w swojskości z pokolenia na pokolenie, i odziedziczona wadliwość w budowie skrzydeł wstrzymywały go od kosmopolityzmu ptaków przelotnych. Natomiast znał przebywornie wszelkie dziury kraju ojczystego i wyrobił w sobie zręczność, sprawność przemyskania przez kręte a ciasne labirynty puszczy nad Prądnikiem.

Doświadczył on tam mnóstwo przygód, nie znanych innym ptakom. Wywodził w pole chytrą lisia, robił zawody drapieżności kotów, wron, srok, krogulców. Nie dawał się pożreć. Miewał nieraz spotkanie oko w oko z myszą, jaszczurką, wężem, kretem, jeżem i nic sobie z tego nie robił: myk i zniknął bez śladu. Ileż razy staczał bój z ropuchą i wydierał jej z ust mszyce albo pająka!

Wszystkie te zwierzęta tak mu spowszedniały, że wcale nie zwracał na nie uwagi. Ba, częstokroć śpiewał, choć miał przed sobą niedźwiedzia, żmiję, człowieka! Ale trwoga niewysłowna przejmowała go na wskroś, kiedy w nocy wołanie jakiegoś straszliwego rozlegało się po borze: „U-hu-huu! U-hu-huu!” Serce waliło młotem w piersiach ptaka dziennego, sen uciekał z powiek, przecucia złowieszcze dręczyły duszę.

– Oby jak najprędzej doczekać jasności dziennej!

Wyobrażał sobie, że ten wołacz jest smokiem jadowitym, okrutnym, obrośłym w kudły powichrzone, ma łeb szpetny o paszczy ziejącej wściekłością i uzbrojonej w kły mordercze – że dybie na wszechpłastwo, zabija je wzrokiem samym i oddechem.

Strwożony, rano przecierał oczy, puszczał się w drogę, widział ślady krwi przelanej, pióra wydarte czyżyków, szczygłów, gilów, sikorek, drozdów, dzięciołów, krasek.

– On to sprawił, potwór niewidzialny, który wyje po nocach tak strasznie, tak przeraźliwie:

Mysikrólik jęczał trwożliwie!

– Czyk, czyk, czyk!

I zniknął gdzieś w jamie podziemnej, jak gdyby pragnął ukryć się przed swoim własnym wyobrażeniem smoka, którego nigdy nie widział na oczy. A okropne „u-hu-huu!” ciągle huczało mu w uszach.

Słońce jasne coraz wyżej wznosiło się na niebie i w miarę tego malały obawy Mysikrólika. Wyraz niepokoju, przerażenia zniknął w jego oczach czarnych, a blask szczęścia, nadziei, wiary w życie poczynął je ożywiać.

– Och, słońce, królu jasny nieba, dlaczego nie przyświecasz nam zawsze? Dlaczego opuszczasz dzieci swoje w nocy i wydajesz je na łup złobie ciemności?

Dlaczego w zimie tak krótko, mdło jaśniejiesz nad ziemią i pozbawiasz nas ciepła? Słońce, prawdo dobra, błoga, bądź z nami!

Mysikrólik, inaczej strzyżyk, był czystym poganinem, czcicielem słońca: żył w dzień, lękał się nocy. Bił pokłony słońcu jasnemu, śpiewał mu hymny uwielbienia szczerze, serdeczne. Słowik śpiewa dla popisu: głośno, czysto i przy nocnym oświetleniu nieba. Pieśń strzyżyka wypływa jedynie z potrzeby duszy: jest ona dla słońca, brzmi cicho, rzewnie, wśród gwaru i wrzasku dziennego. Jemu wcale nie chodzi o to, aby go słyszano: modli się i jest szczęśliwy.

Wyskoczył skądś niespodziewanie, jakby spod ziemi, zawołał:

– Czyk, czyk, czyk!

Spojrzał wokoło, rzucił się w prawo, w lewo i przepadł, a potem znowu się ukazał. Ta odrobina, słabizna, ma w żyłach krew bardzo bogatą, umie podołać wszystkim zadaniom życia.

Latem spotykał się często i przyjaźnił z rudzikiem-krasnoogonkiem, ze słowikiem: pobratymstwo duchowe zbliżało te ptaki. Zresztą prowadził żywot dosyć samotny, nie uchylając się jednak od różnych obowiązków, na których spełnianiu polega dobro pospolite mieszkańców puszczy. Bo z kim tu zawierać stosunki przyjaźni zażyłej, co to raz na zawsze?...

Prawdę mówiąc, słowik jest próżny, płochy; rudzik – niezdara i charakteru słabego. No, ale ci dwaj mają przynajmniej talent z łaski Bożej, wycierają nim kąty poza granicami ojczyzny i świat się dowiaduje o istnieniu kraju nad Prądnikiem. Gil – trubadur ckliwo-uczuciowy: stosunek z nim prędko się przejada, powszednieje. Zięba – zarozumialec waśniowy, ma zawsze swoje „ja” na ustach. Sikora – przewrotność uosobiona, nosi płaszcz na obu ramionach: gotowa zgubić przyjaciela, jeśli jej o zysk chodzi. Wróbel – samolub domorosły, który nic już nie widzi poza sobą i swoją rodziną. O srokach, sójkach, wronach, dzierzbach mówią straszne rzeczy. Ciągłe się słyszy:

– To złodziej, to szpieg, stręczyciel, opryszek!

Ma się rozumieć, dużo jest w tym przesady.

Strzyżyk używał wśród ptaków boru sławy wróża-ostrzegacza i jako ptak prawdomówny znajdował wiarę u wszystkich. Czyżyki, szczygły, dzwońce, gile, pokrzewki tak mu ufały, że nie sprawdzając, co za niebezpieczeństwo grozi, niosły dalej w las jego ostrzeżenia i hasła trwogi. Dziecioty, drozdy, turkawki, a nawet wiewiórki wołały wtedy – każde po swojemu:

– Baczność, baczność!

Rzecz prosta, chodziło zwykle o gniazda, o pisklęta, jaja najdroższe, o przyszłość pokoleń. I rzeczywiście było drzeć o co: bo już lis skradał się do gniazda cieciorki, już krogulec zagrażał drozdom młodziutkim, sójka lub sroka była w pobliżu gniazdka szczygłego albo – nieszczęście, równe klęsce ostatniej – kukłka podpatrywała, komu podrzucić swe jaje.

Mysikrólik wołał ostrzegawczo, a wszystkie ptaki zdwajały czujność i robiły, co należało. Więc posiadające zasób sił i odwagi uderzały ławą na wroga, zwykle z wrzawą niemałą. Słabe, lękliwe jęczały z trwogi, zmykały do kryjówek. Niektóre udawały zuchów takich, co to umieją kiwać palcem w bucie.

Każdy ptak wyszał z żółtka jaja macierzyńskiego odpowiedni sposób walki z wrogiem gatunku.

Strzyżyk spełnił obowiązek obywatelski, narobił nieraz rwetesu w puszczy, po czym uchodził do pierwszej lepszej dziury mysiej albo dawał nura w kupę chrustu czy liści suchych. Po chwili znowu się zjawiał i wołał:

– Czyk, czyk, czyk!

Bo zawsze tak czykał; ale brzmiało to inaczej, kiedy zapowiadał:

– Obywatele, czuwajcie!

A inaczej, jeśli wyrażał uczucie miłości małżeńskiej, rodzicielskiej lub okazywał radość, smutek, podziw, uwielbienie, nadzieję. Przecież i człowiek często-kroć wypowiada wszystkie te uczucia przez jakiś jeden wykrzyknik: „Oj-jej”, „Ach!” Czykał głośno i publicznie, śpiewał cicho i w ukryciu. Mimo niepokażności posiadał dużo rozumu i dzielności życiowej: był jednym z tych, którzy się nie dają zjeść w kaszy.

Jako pustelnik, stroniący od świata zgiełkliwego, przepędzał znaczną część życia w zaciszach ustronnych, być może – i na rozmyślaniach. Znał on na wylot jamy w ziemi, większe i mniejsze, dziuple drzew wypróchniałych, jaskinie skał, gdzie sowy i nietoperze budują gniazda, gdzie kości i ciała prapranieboszczyków leżą zbutwiałe, spopielone. Jego sposób życia miał urok tajemniczości dla ptaków, skłonnych do zabobonu.

– Mysikrólik niezawodnie wie daleko więcej niż my, żyjący wyłącznie na powierzchni ziemi!

Tak mniemano powszechnie i uważano go za wieszczka-czarodzieja.

Ludzie współcześni, jeszcze zabobonniejsi od ptaków, poczęli go nawet czcić jako ptaka zagadkowego.

– Duch zły albo dobry: na wszelki wypadek lepiej oddać takiemu pokłon.

Z wyjątkiem jastrzębi, kruków, tłumu wron każdego uderzała też w oczy ta okoliczność, że strzyżyk śpiewa nawet w zimie.

Gdyby poezja żyła tylko prawdą rzeczywistą, umarłaby z głodu! Zresztą dusza każdego stworzenia żywego jest prawdą najistotniejszą.

Nasz bohater skrzydlaty żył w bezkrytycznych czasach bałwochwalstwa: czci Słońca, bogini Wandy, Żywy – wiary powszechnej w walkę uporczywą bóstwa światłości z bóstwem émy nocnej. Miłośnik nieposzlakowany swojej ojczyzny leśnej, żył szczerzuchnie szczęśliwy w Bohborze nad Prądnikiem.

Tylko ten smok straszny, bies nocny, to okropne „u-hu-huu”... Zły, z oczyma płomiennymi, przetrząsający gąszcze niedostępne, błędzący po wrzosowiskach, po ługach błotnych, ponad źródłami i jeziorami świętymi! Już zawył straszliwiej aniżeli zgraja wilków.

– Bóstwo jasne, przybądź, pokonaj króla ciemności, śmiertelnego wroga życia!

Potwór jaskiń nadprądnickich, moczar émy nocnej – nie był taki, jak go sobie przedstawiała wyobraźnia bujna Mysikrólika poety. Wyglądał z barwy niby odłam epoki – podobnie jak ona – zapisany hieroglifami czarnymi na tle szarym. Spędzał dzień cały w wydrążeniach skał albo w gąszczach liściastych, przytulony do pnia drzewa. Posępnie napuszony, zły czy smutny, drzemie wśród jasności dnia

z oczyma na wpół otwartymi, a dokoła niego wrą zgiełki życia. Usłyszał jakiś szmer w pobliżu swego leża, nastawił dwa pióropusze czarne, zdobiące mu głowę przy uszach, i zwrócił w stronę odgłosu parę oczu wielkich, okrągłych, połyskujących jak dwa dukaty.

– Ech, nic godnego uwagi nie zaszło w puszczy!

Niedźwiedź w barłogu głośniejszym pomruknął, kot dziki z drzewa na drzewo dał susa, odyniec zgrzybiały i marudny fuknął gniewnie na wilki natrętne, które chcą wziąć po nim w schedzie skórę i mięso, dzieciół odłupał dziobem za duży kawałek kory, dwie wiewiórki z igraszki wyprawiają gonitwę. Szmerzy to zwyczajne w naszym borze.

Poprawił więc na sobie płaszcz suty, czarno pręgowany, otulił się nim tak, że tylko widać spod szaty palce, uzbrojone w szpony potężne. Pióropusze czarne opadły na łbie okazałym, zaopatrzonym w nos hakowaty, spiczasty. Jego ślepie okropne, dziób i szpony mówią wyraźnie, że sposobem do życia jest rozbój nocny.

I znowu drzemął z oczyma na wpół przywartymi. Księżę ciemności oczekuje nadejścia nocy: dopiero wtedy umie on władać.

Słońce zachodzi jaskrawo, ostatnimi promieniami żegna szczyty drzew, garby skał najwynioślejszych. Wieczornica złota wystąpiła na niebo i zda się z lubością spoglądać na bory ogromne, których cienie nakrywają ziemię płachtą nocy przedwczesnej. Kukułka rzuca światu zamroczonemu dobranoc, wrony zakrakały po raz ostatni, gwar dzienny ucichł. Ćma gruba zaległa parowy i wertepy między skałami, gąszcze gajów młodych. Opary białe wisały rozpięte nad polanami, nad rzeką, jeziorem i mokradłem. Lelek na nizinach rozpoczął pracę, nietoperz zarysował się ponad borem. W górze – niebo gwiazdziste, na podłożach – otchłanie ciemności.

Teraz on sposobił się do panowania: już od godziny niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, drapał się szponem po szyi, układał płaszcz na sobie, ziewał, przeciągał się, a oczy zaczynały mu gorzeć jak latarnie. Z upragnieniem wyczekiwał swej pory. Ciemność i cisza przybyły nareszcie. Tylko głos świerszcza i szmer Prądnika mąciły milczenie nocy, kiedy opuścił schronienie dzienne. Naprzód zatrzepotał skrzydłami, otrząsł się na ciełe, potem lekko, niesłyszalnie wyleciał i usiadł na wierzchołku skały panującej nad doliną. Siedząc tu, wydał głos przeciągły, powtórzony przez echa boru:

– U-hu-huu! – Straszliwe powitanie nocy czy może zapowiedź jej okropności?

Wilk i ryś wyruszają na grabież słysząc hasło. Borsuk opuszcza norę, kot z oczyma świecącymi czai się pod krzakiem, lis słuchem i węchem bada, dokąd ma iść na polowanie. Żubry i łosie rozstawiają czaty czujne. Jeleń i sarna pierzchają bez pamięci z kniei do kniei. Mieszkańcy puszczy usłyszeli dziki hymn na cześć boga Czarnego, wezwanie do mordów, do przelewu krwi bezbronnych czcieli światła.

Ludzie upodobniają wołanie „u-hu-huu” do okrzyku i śmiechu czarta, a mienia powinowatym piekła tego, który je wygłasza. Albowiem jasność i ciemność są na ziemi od początku świata, a z nimi przyroda wyznaczyła dwa rodzaje czci i czcieli: bóstwa jasnego i czarnego.

Ptakiienne ocknęły się ze snu, ogarnięte zewsząd ciemnością, drżą w trwodze śmiertelnej; niektóre zupełnie straciły przytomność, uciekają na oślep, marnie giną, przepadają.

Wycie potwora nocy jest straszne, a groza jego nadzwyczajnie wzrasta, kiedy w dobie miłości dwa głosy wtórują sobie: oblubienica odpowiada na wezwanie oblubieńca. Bo on wyraźnie urąga światu, drwi z niego śmiechem biesowskim i wyzywa do boju; ona przedrzeźnia krzyki rozpaczliwe, jęki stworzeń konających w katuszach srogich. Cóż dopiero, jeśli z tymi głosami zlewa się huk wichru po jaskiniach, wycie wilków zgłodniałych, wrzaski i piski istot mordowanych!

Mroki boru są przekropne dla tych, którzy ślepną w nocy, a przeto muszą uchem i patrzeć, i słuchać. Im wrażliwsza dusza, tym większa jest jej trwoga. Lekko, czujnie się sypia, zwykle bez marzeń złotych o szczęściu. Strach ogromnie powiększa wszystko i ubiera w barwy bardzo czarne, Poczwały nadzwyczajne łążą naokoło, kłębią się, suną po ziemi, bujają nad ziemią, która wygląda jak próg śmierci. A złowrogie „u-hu-huu” ciągle brzmi i brzmi po puszczy, przeraża do szpiku kości.

– Gdzieżecie wy, jasne, dobre bóstwa opiekuńcze życia? Świetnie potężne przy blasku słonecznym, jesteście, jako i my, bezsilne w ómach nocy! Oko wasze nie czuwa, dłoń nas nie wspiera.

Jakże straszny jest wróg niewidzialny! Wyobraźnia nadaje mu coraz inną postać, a oczy nie mogą się z nim obyć. Słyszymy tylko nocą jego groźby i złorzeczenia pełne nienawiści. Rano widzimy dzieła: gdzie rzucić okiem, rozlana przezeń krew powinowatych drogich, przyjaciół. Podania o nim, dzieje wróżdy smoka nocy dla dzieci światła dochodzą do nas od wieków prastarych. Cóż nam to pomoże?...

– Królu dni jarowych, panie godów miłości, słońce najjaśniejsze, stwórz ptaka-bohatera, który przeniknie w ponure pieczary wawelu ciemności i zmoże smoka-potwora! My oto, oślepieni brakiem światłości, zgnębieni strachem, przykuci łańcuchem miłości do gniazd swoich, drżymy w nieprzejrzanych mrokach nocy. On widzi dobrze poprzez ómy, co się dzieje w gniazdach, szydzi z miłości naszej, z trwogi i niedoli. Ze swobodą jaskółki leci cichuchno, wpada do chat, niszczy w nich życie. Urywa głowy ptakom większym, żre ich po kasku. Druzgoce czaszki, łamie żebra mniejszym i pochłania w całości. Pancierz kolczasty nie zdoła osłonić przed nim jeża ani pęd szybki nie ocala zająca. Cóż my, biedne ptastwo!... on zuchwale podejmie rękawicę rzuconą przez samego króla-orła i orłu odbierze dzieci. Biada naszej puszczy, biada!

Dzień świta, światło zwycięża, wycie potwora milknie. Ptaki – niepompne, że noc czarna znowu nastąpi – śpiewają radośnie, aż bór się trzęsie. Jedna połowa życia jest szczęściem, druga – cierpieniem: obie przechodzą w ciemność o zostawiają po sobie światu księgę dziejów.

Ranek zimowy, wczesny. Dwa bory stoją naprzeciwko: oba poważne wiekiem, milczące, podobne do gór śnieżnych, zamrożonych na wieki. Bugaj i Bohbór ich miana. Ubrały się biało na powitanie starożytnego jak świat święta Słońca – godów zimowych. Są to wielkie, pierwotne bory boże, które praojcowie

nasi czcili ongi, a Niemcy wycinali je i budowali tam swoje Hamburgi. Do dziś dnia wycięto mnogo borów, z nimi – wiele, bardzo wiele ludzi i wytępieno moc srogą stworzeń rozmaitych. Zniszczono trebiszcza bogów starych, ale ołtarze przyrody i tak trwają, ziemia pozostała i – lud w białych sukmanach.

Któż by powiedział, że ta puszcza, przyodziana całunem zimy sędziwej, ta cisza skostniała jest jednym z najgwarniejszych i najwięcej zamieszkałych gniazd życia ziemskiego?

Bór dlatego odbierał cześć boską, że jest wielki i tajemniczy: jak morze, niebo. Cześć mu i dzisiaj, gdyż modlitwy przodków, mogiły ich, krew przelana uświęciły tu glebę!

Między tymi borami jest pole, które bartnik poganin, pierwszy osadnik, wyznaczył z zapustu, popuszczając nieciecz i orze je, obsiewa. Pewnie jakie sto radeł udoła w ciągu dnia zryć to nowisko. Grusza dzika, drzewo olbrzymie, wyrasta wśród pola i widać z zaciosu na niej, że jest znakiem granicznym własności. Drogi rozstajne przecinają się na krzyż pod gruszą: zwierzyna głównie po nich chadza.

Śnieg walił przez noc całą, najdłuższą w roku, zadął do cna wąwozy, drogi, osady ludzkie, wysiółki, pola i lasy. Niebo przetarło się dopiero przed samym świtaniem i mróz trzaskający na dzień ścisnął.

Szkarłat tronu słonecznego rąbkiem wyziera spoza wzgórzy lesistych od sławnej Wiślicy. Lekkuchne pyłki śnieżne bujają na powietrzu pod borem i cisza niczym nie zamacona panuje wokoło. Z niskości ziemskich jeszcze nie widać tarczy słońca wschodzącego; tylko wrony, wysiadujące u skraju Bohboru, z wierzchów jodeł najśmiglejszych już chyba oglądają przecudną purpurę wschodu. Pewnie ją widzi i jastrząb, który przepędził tę noc zawieruszoną w polu między lasami, na owej gruszy z zaciosem granicznym. Ptak-panosza, nieustannie żyjący na stopie wojennej, zwykle zajmuje to siadło wyniosłe. Witęź powietrzny – istny margraf na tamtych rubieżach – codziennie wymusza myto krwawe przy drogach krzyżowych.

– Biada zwyciężonym!

Jeden orzeł strąca go czasem z tego stolca, kiedy tu przyleci od garbów Karpackich.

Jastrząb, jak gdyby wiedział o uroczystości dnia świtającego, zwrócił głowę ku wschodowi i okiem nieruchomym wpatrzył się w niebiosą szkarłatną, bramowane złotem.

Wtem u podnóża jodeł, na których wrony strażowały, skądś spod śniegu strzyżyk wypadł niespodziewanie. Ptaszek maleńki – czysta grudka ziemi – rudawoszary, cętkowany, z ogonkiem zadartym, cały w podrygach, jak gdyby chciał uosobić prawdę: – życie jest ruchem.

Spojrzał naokoło niespokojnie, bojaźliwie, merdnął ogonkiem i zawołał:

– Czyk, czyk, czyk! Chwalić Boga, noc przeszła, dzień na niebie! – I potem znowu czykał ze zdziwieniem:

– Oj-jej, co też to za śnieg spadł nocy dzisiejszej!

Na bieluteńkiej powierzchni puchu śnieżnego drobne okruchy mchu, ziarnka jakies widniały tu i owdzie. Malec pomknął zwawo do tej zobi, dziobnął kilka

owych szynków leśnych, rażno derdnął raz, drugi i trzeci, podskoczył sobie wesoło, jał się pustacko trzpiotać po śniegu – jak to czynią wróble w piasku. Widać już puścił w niepamięć mary, które go dręczyły w nocy.

– Czyk, czyk, czyk! Doprawdy, życie jest dobre! – Podrygnął, wyciągnął skrzydełko, skrobął po nim dziobkiem parę razy: trzebaż dbać o swą powierzchowność.

Wykapany, wygładzony, zerknął oczkiem na prawo, zerknął w górę, obrócił się wokółek, zalotnie dygnął główką, dygnął ogonkiem. Nie zrobiłby tego lepiej, gdyby nawet umiał uśmiechnąć się po ludzku. Ochoczy i szczęśliwy frunął teraz na pobliski krzak jałowca, całkiem okryty śniegiem i lekkutko jak motyl przysiadł na prątku. Tu znowu „czykał” z zadowoleniem najwyższym, dziobnął odrobinę śniegu i strząsnął go nieco. Wzleciał w podskokach na sam wierzchołek krzewu, napuszył pierze, spoglądał zadumany w świat i kołysał się przez chwilę. O czym też taki może myśleć?

Podniósł w stronę nieba zapłonionego oczy, wdzięcznie skinął główką: zdawał się tym pokłonem witać słońce wschodzące. Spoważniał po chwili, zmrużył oczka do połowy i – czego się można było najmniej spodziewać w tej porze roku – zaczął śpiewać głosem cichym, miłym.

Tylko nieprzeparta siła natchnienia może dziś niewolić do śpiewania. Hymn szczęścia szczerego duszy dobrej, pieśń natchniona nie leciała daleko po padolach wielkiej puszczy, spowitej w całuny śmierci: Był to jedyny głos zadowolenia z tego, co jest, i może – wiary, nadziei w przyszłość lepszą.

Dźwięki radości czystej jak szczebiot dziecięcy płynęły miłutko z krtani małeńkiej, świadczyły o wzruszeniu wielkim, o natchnieniu śpiewaka. Aby czuć potężnie i wyrażać dobrze uniesienia duszy, niekoniecznie trzeba posiadać serce o dużych wymiarach i gardło szerokie. I nie ci też na świecie śpiewają pieśni najpiękniejsze, którzy spożywają, uczyły sute a obfite z ciał przeróżnych nieboszczyków.

Rzeczywistość straszna rozpościera się naokoło: kto tylko żyje, cierpi, chucha w dłonie, przemyśliwa o chlebie. Niektórzy jęczą; mruczą, klną, warczą, złorzeczą dziełu stworzenia. Słysząc i krakania złowieszcze:

– Jest bardzo źle, a jutro będzie jeszcze gorzej!

Tymczasem Mysikrólik, szczęśliwiec, nic sobie nie robi z zimna, z głodu, mrozu powszechnego i nawet zachciewa mu się, o zgrozo, pochutnywać śpiewaniem wesołym.

Wrony pierwsze zwróciły na to uwagę, nastawiły uszu i słyszą wyraźnie, że pieśń brzmi tak mniej więcej: – „Choć chłodno i głodno... Ej, co mi tam! Wždy nie żyję dla żeru!”

– Do kroćset, przecież to ogromnie razi!

Od razu poczuły całą niewłaściwość zachwyków poetyckich w chwili, kiedy wypadało raczej załkać lub zawyc żałośnie. Zdziwione, ba – nawet zgorzone i oburzone – spoglądały z góry.

– Oszalał chyba, czy może wyprawia sobie z nas pożartki?... Złość ostatnia bierze na takiego lekkoducha! Należałoby skarcić swawolę dla przykładu.



One, ptaki poważne, gromadne, rozmyślają oto o przyszłości dnia całego, pieczołowicie suszą sobie głowy i już od rana zaczynają wiecować w celu rozstrzygnięcia sprawy głodowej. A ten włóczykij, łązęga jakiś, ptak ni z pierza, ni z mięsa, stroi gęźby ucieszne, piska poskocznie, bęczy, jak na weselu; wyraźnie urąga im, wronom, w chwili frasunku głodowego, dolegliwości największej ze wszystkich.

– Dudo przekłety, bodaj cię na wiosnę porwał krogulec albo dzierzba gąsiorok!... Bodaj ci kukułka podrzuciła w gniazdo rodzinne swe jaje!

Mysikrólik wcale nie zważał na to, co o nim sądzą, co mówią, śpiewał dalej o chłodzie i głodzie. Ni go dziś zapąły miłosne nie nagliły do pieśni, ni współzawodnictwo innych śpiewaków. Czciiciel światła czuł w duszy mus nieprzeparty i śpiewał sobie czy – słońcu.

Szczęśliwy, kto wzniesie głowę w górę i na widok szmaty jasnej błękitu niebios zapomina o powszedniej niedoli życia! Ciernie ostre żywota częstokroć rania go bardzo boleśnie; on tym piękniej śpiewa. Wesolek natchniony, igrca czy wieszcz z łaski Bożej?... Gdyby takich nie było w puszczy, mieszkańcy jej ugrzęźliby w błocie samolubstwa – w dbałości niestrzemiennej o kęs chleba powszedniego – i zapomnieliby, że niebo przecudne jest nad nimi: żądza tuszy, dobrobytu rozpięłaby ducha na krzyżu.

Śpiewaj więc, Mysikróliku, śpiewaj, chociaż za to oburzają się na ciebie!

Babie lato już dawno minęło i baby, niby okruchy diamentowe, błyszczą na zimowym niebie nocy. Świat żywy ma oblicze posępne, bardzo surowe, na którym można wyczytać: „Wszelkie zło pochodzi z głodu i zimna”. Każdy namiętnie uganiania się za żerem: rozbija kradnie, w milczeniu spożywa skwapliwie tak zwane dary Boże.

Jasne bóstwa jaru i lata odeszły na twardy sen zimowy. Inne potęgi zajęły ich miejsce i władają: nie miłość, nie dobroć przez nie przemawia.

Martwota, ciemności – z każdym dniem większe – kładły się na ziemię nieustannie odzieraną z wdzięków przez dżdże, wichry, mrozy. Liczymy dni pochmurne, a nocy – czarne.

Nareszcie przyroda zgołościła zupełnie, przyoblekła posępne barwy żałoby. Ziemia, matusia – rzekłbyś nieboszczka skostniała – leży na marach i oczekuje pogrzebu. Księżyc, król pory, przenika zimnym swym światłem w puszcze dziewicze, wskazuje drogę pątnikom zbłąkanym, zbójcom i wilkom wygłodzonym. Oświeca mogiły śpiących snem nieprzespanym przodków, praprzodków. Żyły tu ongi wielgoludy takie, co to jeden drugiemu poprzez Wisłę podawał siekiere. Żyły na ziemi z nimi i wielgozwierze, wielgoptaki.

Zima! Widma ponure, złośliwe wałęsają się po świecie w nocy ciemne: błądnicę, strzygi, upiory, wilkołaki. Dziwy złowrogie strapien i nieszczęścia, wieszcząc niedolę, jęczą po lasach u szczytów jodeł, świerków i cisów. Bożec boru straszliwy, potworny wściekle szaleje nocami, huczy, rży, gwizdże, klaska, bierze się za bary z dębami wiekowymi, skręca je, łamie, pozbawia konarów. A znowu w nocy pogodne, mroźne, gwiaździste Dziwica, ksieni księżycowa, przedziwnie urodziwa, lecz w spojrzeniu okropnie groźna, uzbrojona w łuk i strzały, goni z psami przez knieje, pędzi przed sobą raz stado żubrów wylękłych, to znowu –

łosie, dziki, jelenie. Las grzmi wtedy jak burza, trzęsie się w posadach swoich. Dachy śniegu wałą się wśród trzasku, łomotu z drzew olbrzymich, miążdżą krzewiny i drzewostwo pomniejsze. Ryki niedźwiedzi przerażonych, wycie zgrai wilków, hukanie smoka-puchacza wtórują tym łowom dzikim. Biada temu łowcy, który wejdzie w drogę bogini Dziwicy, groźnej pani księżycy!

Moc niezliczonych biesów czarnych i szarych przebiega ziemię, straszy, nęka wszystkie istoty żywe. Ach, bo nie ma światła i ciepła dwóch potęg cudownych, które tworzą i utrzymują życie!

„Śmierć wije się po płotu”, wyprawia duchy ludzkie po Drodze Mlecznej na ów ostrów szczęścia wiecznego, gdzie bytują dusze umarłych pradziadów od wieków najdawniejszych i – dusze dzieci mających się narodzić. „Niemiec już tam nie rozkazuje!” – mówią skapani w krwi ludzie znad Łaby. Po chatach baby stare czynią wróżby: znaczą mnogie kreski na popiele, potem obliczają – cetno czy lichu. Zwykle wypada im lichu – nieszczęście. Ileż zgryzot przedwczesnych z tego powodu!

Niezawodnie – głód, mór lub wojna!

Inne prawią przy kądzieli baśń o krasnych ludkach, o boginkach, smokach, wilach, dziwożonach. Ktoś nawet przebrząkiwa – o wieści pożądana – jakoby tu, na naszym Bugaju, już się w tajemnicy zjawilo jasne bóstwo jaru. Dzieci z zachwytem patrzą na wróżby, z wiarą wysłuchują baśni, które są mlekiem duszy.

Czas tak przemijał i oto dziś nadszedł dzień, w którym słońce dobiega kresu najniższego; teraz przystanie, pocznie podbijać państwo Czarnego, zwyciężać jego wojska i wznosić się na niebie tryumfalnie, a nas, ziemian, darzyć weselem. Ma-my dzisiaj gody zimowe, te sławne „gody, co to robią wino z wody”.

Dzień uroczysty zaświtał i właśnie w jego „wieczór szczodry” przypada święto urodzin Słońca młodego na niebie. Wraz z gwiazdą wieczorną wstąpi nadzieja w dusze strapione. Lidzie zaścielą stoły sianem:

– Panie, daj łąkom naszym pokosy bogate!

Zastawią misy z różnymi płodami roli: z pszenicą, grochem, bobem, makiem. Nie zabraknie i miodu. Przed ucztą będą się łamali skibką chleba i jedni drugim wyrażą życzenia szczęścia „siego lata”. Smerd, rataj służebny, jest dzisiaj za pan brat z panem ojcem i z jego czeladzią rodziną. Przypuszczą do ogniska i tego, kto w imię gościnności przekroczy kołowrot osady, choćby to nawet był Żyd kupczący niewolnikiem. Ej, gość rzadko kiedy nawiedza nasze puszcze między Nidą i Przemszą Czarną, między Wisłą i źródłami Pilicy! Czasem, czasem człowiek od Kniezna, od Kruszwicy, od tych, co siedzą na Kujawach, na Mazowszach, na łąkach nadbuzurańskich, zabłądzi tu w drodze do Krakowa: pątnik pobożny, parasoł lub goniący za kupią.

Szczodry wieczór! Bydło w oborze i pies, i kogut, i gąsior pożywią się szczątkami uczy: boć i to czeladź gospodarska. Dziewki zaśpiewają chórem pieśni, umają gaik w jabłka i orzechy, zawieszają u powały.

Tymczasem rano o świcie – zimno i głodno w puszczy. O, zimno! Nie ma się chęci najmniejszej do podniesienia skrzydeł: mróz natychmiast wtargnie pod pachy wygrzane, wszyje się pod skórę, przejmie na wskroś do szpiku kości.

Głodno! Śnieg już od dawna pokrył ziemię, utworzył skorupę lodową, grubą i twardą. Nieszczęście ostatnie tych wszystkich, którzy muszą wygrzebywać obrok powszedni życia spod powłoki zlodowaciałej! „Śmierć wije się po płotu”.

Człowiek ma zapasy w komorach, był przezorny i może suto obchodzić gody zimowe, wyprawiać sobie wieczory szczodre, składać bogom obiady. Szczęśliwe i zwierzęta, przespiające tę okropną porę mrozów, głodów zabójczych! Stokroć szczęśliwe są ptaki, które w przewidywaniu mądrym czasów niedoli odleciały na wyraj do krain bogatych, ciepłych. Nas miłość ojczyzny więzami spięła, przywiązała do ziemi i – dzieci puszczy – cierpimy srogo za swe uczucia. Trudno, Matka-Ziemia i Ociec-Słońce nie użalą się nad naszą nędzą! Ci rodzicie nigdy nie rozpieszczają swego potomstwa.

– Daliśmy wam wychowanie dobre – mądrości tyle, ile potrzeba, radcież sobie! Zresztą macie drogę otwartą do udoskonalenia się o własnych siłach.

Pasibrzuchy zbytecznie roztyłe wśród wygód są wstrętne dla przyrody, która lubi wdzięk pracy dzielnej i skazuje na zagładę niewiściuchów tłustych, zwyrodniałych. Rodzice dobrzy wychowują nas w kierunku rozwoju sił duchowych, jedynie uszlachetniających każdy gatunek. Głupcy i gnuśni niech przepadną! Drapieżnicy, podług istoty swojej, są to surowi mistrze rozumu i dzielności: bez nich nie byłoby na świecie mysikrólików. Takie dzieło chowu idzie naprzód od wieków, a każdy dzień, każda chwila dorzuca do skarbcza perłę nową. Używamy rozkoszy tylko dlatego, że doświadczamy dolegliwości życia i ciągle walczymy z nimi. Szczęście szlachetne jest tryumfem jednostki męźnej, ale drogą do szczęścia jest cierpienie i walka. Jeśli zaś ten i ów ginie, to jednak nic nie ubywa pod słońcem, a tylko zmiana na lepsze postępuje.

Spojrzymy na życie i jego zapasy w dzień głodów zimowych! Jastrząb, samotnik dziki i nietowarzystki, siedzi obwyż na gruszy – sam sobie wystarcza. Żarłoczny, chciwy, nawet nienasycony, zachowuje spokój stateczny i z krwią zimną rozpatruje okolice, chociaż już od trzech dni pości: umie panować nad sobą ten łowca potężny.

Inaczej zachowują się wrony, które właśnie siedzą na jodłach u skraju Bohboru – motłoch krewki, krzykliwy, zawzięcie sejmikujący. Kręcą się niecierpliwie na gałęziach, a płęć żeńska stroi miny dziwne i oczyma daje samcom jak najwyraźniej do zrozumienia:

– Od czegoż wy jesteście głowy rodzin, żupanowie gromad, wodzowie druzyn wronich? Głód targa nasze wnętrza, kruczy nam w trzewach! Niechże się przecie który z was ruszy, przepatrzy, co, gdzie i jak jest na świecie! Widzicie, że słońce zapowiada dzisiaj przyszlą porę miłości małżeńskiej, budowy gniazd rodzinnych, rozplodu potomstwa... Maćki jakieś, wyskoczą przecie który! Jeżeli my, narzeczone i żony, połowice wasze, jeszcze przed jarem pomrzemy z głodu albo zneedzniejemy, to któż będzie znosił jaja przyszłości? Wstydźcie się tego, że płęć piękna musi wam przypominać obowiązki najzwyczajniejsze!

Takie pokrakiwania i nieustanne wiercenie się na drzewach rzeszy gminowładnej od dawna nosi nazwę wiecu.

Uchwała sejmowa zapadła widać, gdyż oczy wszystkich wron spoczęły na samcu, którego gromada powołała, aby działał w jej imieniu i dla jej dobra. Naturalnie, oceniano dobrą głowę wybrańca i przeto dano mu do zrozumienia:

– Mężu zaufania, idź w świat, zbawiaj Rzeczpospolitą, najświetniejszą w świecie! My poczekamy tutaj na skutki twej wyprawy i, skoro tylko obwieścisz hasło umówione, w lot pośpieszymy do żeru gotowego lub, jeśli zajdzie potrzeba, przybędziemy, ażeby działać zbiorowo.

W ten sposób załatwiono część pierwszą sprawy głodowej. Na zwiady wypchnięto wronca-mądrą, kmiecia-wyęgę, który zasłynął z obrotności i roztropności życiowej; był to jeden z takich, co się o nich mawia:

– Słyszysz, jak trawa rośnie, i wie, gdzie raki zimują.

Głowacz niepospolity, mąż stanu zawołany, ogromnie biegły w rozbieraniu wszelkich zawiłych spraw wewnętrznych i zewnętrznych. Przede wszystkim wybornie odróżniał kij w rękach ludzkich od każdego oręża zabójczego dla ptaków. Następnie odgadywał na rzut oka wszelką złość skrytych zamiarów człowieka i nigdy, przenigdy nie dałby się omamić pozorom jakiejś udanej dobroduszości. Przy tym posiadał sąd bardzo zdrowy o rzeczach, który go zawsze wiodł najprostszą drogą do żeru. Mistrz istny, kiedy szło o zmylenie czujności matki-gęsi lub kwoki-kury, jednocześnie odznaczał się beczelnością i takim zuchwalstwem, że wydierał psu z gardła kawałki padliny! Jako złodzieja bezwstydnego znały go po siołach psy, kury, wróble, sroki, dzierlatki i w ogóle wszystkie zwierzęta, które w kupach śmieci poszukują kęsa chleba. Wieki czekały, aby się urodził taki wrona-bohater.

Co prawda, jest to osobnik niezbyt godny zaufania gromady, ale w Rzeczypospolitej wron „uczciwy” znaczy tyle, co „głupi”. Należy dodać, że swój wybór na wiecu zawdzięcza on najgłówniej stronnictwu samic, ponieważ – *suum cuique* – ma to być skarb nieoceniony jako małżonek i ojciec rodziny. Dobro gromady leżało mu na sercu o tyle, o ile mógł przy nim zadowolić cele samolubne, upiec – jak się mówi – własną pieczeń.

Ten to prowodyr, zaszczycony wyborem swojaków, co tchu otrząsł śnieg ze skrzydeł i polecił ku ludzkiej osadzie bartników na Bugaju.

– Gdzie tylko przebywa skrzętny człowiek, tam zawsze można znaleźć jaki ochłap.

Leciał, a rozumował po drodze i w cichości ducha rozwijał swoje pomysły znakomite.

– Przecież to jest niepodobieństwo czyste, ażeby podczas zimy tak ciężkiej nie zdechł gdzieś jaki baran chorowity albo szkap dychawiczna... Czuję, że wkrótce dusza moja się rozraduje.

Leciał, a nic nie uchodziło jego uwagi: ciągle kręcił głową mądrą, zwracał oczy już na dół, już na prawo, na lewo; łeb chodził mu jak na zawiasach.

A wrony pozostałe na skraju Bohboru, głodne, skostniałe od mrozu, spoglądały za nim z wiarą i niejaką dumą narodową.

– Śmiało możemy polegać na takim pośle! Bestia – nadzwyczajnie zdolny! Prawdziwie z naszych! Tylko słuchać, jak na nas krzyknie: „Żreć, żreć, żreć!”

Mróż piekący naglił różne ptastwo do przetarcia oczu ze snu i niewolił je do ruchu tym bardziej, że każdemu chodziło o śniadanie. Praca dzienna, mozolna, zaczęła się więc na dobre i puszcza, ojczyzna nasza, wyglądała jak miska, z której każdy wydobywał jakiś kąsek pożywny.

Strzyżyk sam jeden śpiewał, nie zważając na to, że ptaki zajęte żerem powtarzały wokoło:

– Mysikróliku, marzycielu głupi!

Dzięcioł opuścił schronienie nocne w dziupli, wydał krzyk podobny do śmiechu ludzkiego i już myka naokolusieńko po pniach omszonych. Ptak to pracowity, sprężysty, przysadkowaty, ogromnie tęgi w karku, w barach, łbie, a równie tęgi w ogonie. Towarzyszy mu nieodstępnie liczna drużyna głodmorków drobnego kalibru, hołota wielce piskliwa, ciągle utyskująca: pełzacze, sikory bogate, ubogie, modre, ogonatki i bargiełki. Wszystkie ze zwinnością właściwą łuszczybochenkom porywają kąski sprzed nosa dzięcioła. Wiercipięty próżniackie precz udają, że i one rzekomo biorą udział w robocie poszukiwania środków do życia, a są czynne tylko w zjadaniu. Kował, poczwiwiec, cierpliwie i pobłażliwie znosi tych natrętów uprzykorzonych, kuje nieustannie, odkrywa coraz nowe źródła pożywienia i z głową zawsze wzniesioną do góry pomyka dalej. Nikt w borze nie pracuje na chleb tak ciężko jak dzięcioł. Musi, skoro inni wydzierają mu owoce pracy. Taki bez marzeń spać się kładzie i żadne widma nie zatrują mu spoczynku sennego. Niewolnik skazany na pracę nałogową dla żołądka.

Ptaki zaniepokoiły się na chwilę, spojrzały trwożliwie ku gęstwinie. Bo sójka pierchnęła w gąszczach z wraskiem przeraźliwym, natrzęśła z drzew śniegu, narobiła zgiełku.

– Nie ma się czego bać tak dalece! Znamy cię, udawczko! Chcesz łowić ryby w mętnej wodzie, urwać łeb takiemu, co się złąknie twego wrzasku i zgłupieje? Powszechnie wiadomo, o co chodzi siostrzycy wrony i sroki. Jeden gawron pocziwy wyrodził się w tej rodzinie, skalanej przewrotnością, oszustwem i skrytobójstwem.

Gil na tle śnieżnobiałym boru wygląda jak skrawek nieba zaognionego. Napuszony, w kłobuczku z aksamitu czarnego, siedzi na sęczku i pogwizduje tęskno, płaczkliwie-uczuciowo. On zawsze taki rozrzewniony, tkliwy, zbolały. Nawet w dniu swoich zaślubin pisał bardzo żałościwie, jak gdyby chciał do łez pobudzić swoją narzeczoną. W każdej chwili życia jakiś gwóźdź bolesny rani serce gila: już to wspomina sobie przyjaciela, którego przed rokiem krogulec oskubał i pożarł, już – żonę pierwszą, chociaż na wiosnę ożenił się po raz trzeci, to znowu opłakuje smutne losy synów, córek, braci. Dusza dobra, Cygan, gotowy dla przyjaźni dać się powiesić. Cóż – kiedy za dużo, za często płacze!

Jemiołuszka jedwabniczek, gość z Północy dalekiej, nowak w naszej puszczy, przysiadł na szczycie dębu, obraca na wsze strony głowę z czubkiem pięknym, a w jego wzroku maluje się zdziwienie i rozczarowanie.

– Więc to jest wasza przesławiona Słowiańszczyzna?... Myślałem, że lecę do ziemi obiecanej, a tu, widzę, istna Syberia! W mojej ojczyźnie przynajmniej zorza północna świeci nocną porą.

Zwyczajnie, taki pątnik – Bóg wie co sobie wyobrażał:

– Tam pewnie jest raj, gdzie nawet mleka ptasiego nie zabraknie!

I biedak doznał zawodu.

Właśnie sroka krajowiec widzi to zafrasowanie cudzoziemca i podlatuje z sęka na sęk, z gałęzi na gałąź, merda ogonem nadzwyczajnie uprzejmie, a wyraźnie ma na języku te słowa:

– Czym waszeci mogę służyć? Jestem ptak międzynarodowy, nie pogardzam żadną pracą! Umieję być pośrednikiem, stręczycielem, towarzyszem przyjemnym, przewodnikiem pewnym – do usług waszej miłości!

Rzecz prosta, jest to obłuda, chęć zamotania oczu w celu wyprowadzenia w pole przybysza, nieświadomego zwyczajów miejscowych. Dobrze wiadomo, że każdy obcy w kraju cudzym nie czuje pod stopami oparcia pewnego i jedwabniczki niezawodnie zginie, jeśli się rzuci w objęcia sroki sprosnej. Potem z takich przypadków sława zła w świat idzie:

– U nich tam nad Prądnikiem zjadają cudzoziemców!

Na szczęście dobry duch boru ostrzega:

– Czyk, czyk, czyk! Kto żyw, strzeż się sroki!

Odgłosy pracy na chleb powszedni, skargi, utyskiwania na czasy ciężkie dają się słyszeć w puszczy coraz wyraźniej.

Stuletni wieszczek nieszczęść przeróżnych, kruk, już po trzykroć zakrakał, rzucił światu wróżbę doli jeszcze nędzniejszej.

– Przekleństwo! Przekleństwo!

Okropność, jak brzmi „rra” w ustach tego ptaka straszliwie czarnego!... Pewnie przylata z pola bitew, okarmiony ciałami poległych, i lży nam wieszczu.

A poseł wron głodnych, lecąc bacznie, z daleka obegnał gruszę dziką, gdzie jastrząb posępny czynił spostrzeżenia nad swoim ujazdem.

– Zawodnik sprosny, gwałtownik rozterkliwy pokoju pospolitego, jak on się umie przyczaja! Ee, nie mnie, ćwika, brać na zasadzki, na przysiadki myśliwskie! Gdyby mię głód nie naglił do pośpiechu, krzyknąłbym na swoich, aby cię wykurzyli z tej gruszy!

Napiął się, wzleciał wyżej w podniebie, sięgnął wzrokiem precz poza kresy panowania jastrzębia. Pędził dalej z tym pośpiechem gorączkowym, z jakim wrony wygłodzone lecą zawsze od borów w poranki zimowe. Wtem ujrzał w oddaleniu jakiś przedmiot ruchomy, plamę ciemną, migającą na olśniewająco białym prześcieradle śniegów.

– Jeśli mię wzrok nie myli, jest to czworonóg... Miałem przecucie dobre, że gdzieś tu znajdę kąsek pożywny... Kiż diabeł – zając, nie zając? Zając, i to widocznie zraniony! Przewybornie! Bogowie mądrzy i dobrzy stworzyli zajączka słabego, ażeby zapewnić wronom zdobycz łatwą, a pokarm smaczny.

Słońce stoi na niebie jeszcze bardzo nisko dla patrzących z poziomu. Jego tarcza jaskrawa, płomiennie rozpalona, leży na widnokręgu, luną krwawi wokół obłoki i złoci ubielone śniegiem wierzchołki drzew puszczy. Właśnie pod tę porę zajączek jeden pochuchrany, starzany, okrutnie zbiedzony, brnął przez zaspy na polu, niedołącznie wyciągając skoki spracowane i utykał, jak chromy.

– Psiakrew, to ci mój los zajęczy!

Chadzał za chlebem w tę noc burzliwą i szczęście mu nie dopisało. Oj, bo też to była noc piekielna! Ludzie twardo spali w swych chyzach darnem krytych, a do na śniegiem zasypanych; śnili o biesach, wyprawiających psoty srogie w tę noc ostatnią swego panowania na ziemi zlodowaciałej. A tu wilki gromadnie wtargnęły do osady bartników na Bugaju, obległy tam chlewy, zdobyły szturmem wieprza, kozła, krowę, rozszarpały psa niejednego. Lis znowu dobrał się do ptaków domowych, wydusił je, wyniósł. Dziki rozburzyły brogi prosa. Niedźwiedź złupił braci. Kiedy głód, to i wojna.

My, dzieci puszczy, drżeliśmy ze strachu. Bo ludzie-bohaterowie, Wyrwidąb i Waligóra, potomkowie wygasłych wielgoludów, wypowiedzieli wojnę bogu leśnemu w dolinie Prądnika. Gdyby sam Perun zstąpił z niebios na ziemię, nie sprawiłby wrzawy większej.

Smok, nasz wróg śmiertelny, wył okropnie, przelewał krew i panował. Każdy syn ciemności rad łowił kielby w tej wodzie mętnej. Trzeba to przypisać chyba wielkiej łasce bogów krajowych, może opiece Wandy, że puszcza nie zapadła się dzisiaj w otchłanie.

Otóż ów zając, chudzielec nędzny, poszedł na robotę w taką zawieruchę, spracował się setnie i – miasto pożytku – zyskał guzy bolesne. Może go jaki kondel, ordyniec gruby, niewolnik człowieka, dopadł i skrzywdził. Może miał przeprawę z lisem, podstępny kita, i tylko przypadkiem uniósł duszę w skórze podziurawionej jak sito. A może się urwał z wnyka, tej strasznej dusienicy zajęczej.

– Ojczy-Słońce, miej litość nad nędzarzem zającym!

Biedak czuje w sobie upad sił, cierpi widać ciężko i dawa folgę skokom. Usiłuje jak bądź przekołatać się od Bugaju do Bohboru, do swojej leży rodzinnej, aby tam wylizać, wygoić rany odebrane w boju o życie. Czyż słabi mają zawsze ginąć?... On sobie myśli w duszy:

– Jeżeli mię śmierć zdejmie ze świata, to przynajmniej na ziemi ojczystej, w kotlinie ukochanej! Tam, w kącie ciemnym, milej mi jest płakać i cierpieć, niż gdzie indziej używać i pękać od śmiechu.

Ale goniec wron, oprawca plugawy, jadowity, już spostrzegł zająca charłaka i – dalejże do niego.

– U tego zdechlaka, widzę, dusza na wylocie! Smyka się, z ledwością pełza po śniegu, jakby kołem tłuczony: znać po nim mnogie uciski na ciele i na duszy. Ogromnie lubię dobijać takich niedołęgów, którzy są jedną nogą na tamtym świecie... Ma się zasługę, wyzwalając dusze zgorzkniałe, smętne z lepianek cielesnych, które stoją w gruzach ostatnich. Dobić męczennika – jest to łaska szlachetnego!

Zdrajca, tak myślał w głębi czarnej duszy, a nie wydał okrzyku, nie wygłosił hasła, oczekiwanego z takim upragnieniem przez ziomków zgłódniałych!

– Przecież spełniam służbę publiczną, jestem przedstawicielem sławnej rzezypospolitej, a nie dostałem ani grosza strawnego. Przy tym cóż znaczy jeden zajączek na tuzin głodnych żołądków wronich? Rozdziobią toto po kąsku drobnym i wszyscy będą niezadowoleni. Niesnaski, wojny domowe mogą łatwo stąd powstać, rozdrzeć nasze społeczeństwo. O, znam ja dobrze swoją drużynę wro-

nią! Sobkostwo tego gminu wyzyskuje dzielność i zdolności umysłowe jednostki. Uczynili ze mnie rękę społeczną, chcą, ażebym się na czczo narażał dla dobra ogółu: oszukiwał na ich korzyść, kradł, rozbijał w razie potrzeby i za to wszystko odpowiadał gardłem. Potem w nagrodę za dzieła dokonane – jeżeli się przedtem wymigam od szubienicy – będę używał nazwy ojca ojczyzny. Ależ moja osoba przede wszystkim ma wartość dla mnie samego i uważam za pierwszy swój obowiązek dbać o głowę myślącą, którą noszę na swoim własnym karku. Niech ci się, luba ojczyzno, nie zdaje, że to jest twoja głowa!... Ja muszę się najęść, aby rzeczpospolita miała myśliciela sytego!

W ten sposób rozumował i powtórzył sobie samemu po cichu hasło wronie:

– Żreć, żreć, żreć! – Co może brzmieć również: – Kraść, kraść, kraść! –

A dodał z szyderstwem: – Na tym stoi rzeczpospolita!

Mądry w żarłoczności swojej, spadł na pole z wielkim rozmachem skrzydeł. Pchany chęcią pożerania, wpatrzył się pożądliwie w ciało zająca schorzałego, tykał ślinę i szedł pieszo na jego spotkanie. Ciało wronca wahało się na podobieństwo kaczkę, a dziób wystawiony naprzód godził widocznie w jakiś punkt upatrzony.

– Bóstwa jasności, czyż zając musi ginąć dlatego, że jest słaby, biedny i – żarłoczność nań czyha?

Szarak przystanął na widok wroga i przycupnął; może chciał zachwycić tchu, może się zastanawiał, a może zląkł się i zgłupiał ze strachu. Dopiero napastnik poskoczy, bieży co tchu w derdy na jednej nodze. Zmierzał prosto do ofiary, knując w duszy zamiar podły wsadzenia jej dziobiska grubego w ślepie szeroko wytrzeszczone.

– Rozum nakazuje mi przede wszystkim oślepić tego słabaka, a potem...

Nędznik, gdybyż przynajmniej zamierzał to zrobić *pro publico bono!*

Zawężmie się bitwa. Przy pierwszym starciu wyszło na jaw, że i zając nie w ciemną bitwę, umie sobie radzić w niebezpieczeństwie.

– O Słońce, ty i najszabszym z dzieci swoich używasz oręża obrony!

Napadnięty natychmiast stanął słupek i skokami przednimi sprawnie odbił natarcie napastnika, obrócił wniwecz jego zamach na trzeszcze. Cóż z tego, kiedy postawa słupkowa odłoniła inne znowu słabe miejsce ciała. Dziób silny wroga sięgnął teraz do podbrzusza i stamtąd jakby kleszczami wyrwał garść turzycy białej, którą wyrzucił w powietrze.

Zając, ugodzony dotkliwie, wykrztusił mruk ponury:

– Prr... prru! – Szybko poruszył wargą górną i wąsami! – zupełnie tak, jak człowiek, kiedy mu się na płacz zbiera. Chciał uniknąć ciosu powtórnego, przeto zebrał się w kupę, zwinął, odsadził i w mgnieniu oka wyciął w powietrze susa potężnego. Teraz już bez pamięci pomykał wśród kurzawy śniegu syckiego jak piasek, położywszy słuchy po sobie. Kalectwo zabrało mu było siły, przestrasz je powrócił.

Jednak wroniec już był dotknął dziobem, a może i językiem ciała ciepłego, poczuł w sobie żądzę namiętą żarłoczności, chleptania krwi żywej. I w takiej chwili właśnie zdobycz mu się wymykała...



– O nie, spod ziemi go wygrzebię, jeśli na to przyjdzie!

Uderzył w skrzydła, leciał ponad grzbietem szaraka, ciągle go podskubywał i grzmocił dziobem po głowie. Opuścił się na ziemię, zaskoczył nieszczęśliwcowi drogę, znowu nastawił swój oszczep, znowu na piechotę nękał chudziaka. Teraz także spotkał opór, zaciętrzewił się, wpadł w szał popędliwości. Rozjuszony, napierany przez żądzę żeru, zadawał ciosy coraz namiętniej i coraz boleśniej. Zając, doprowadzony do rozpacz, jął kniazić, wreszcie wniebogłoso:

– Litości, litości!

Ojciec-Słońce patrzy i milczy, Matka-Ziemia nie ocknie się na wezwanie zająca ze snu zimowego.

Jastrząb podczas tego siedział poważnie na swym wyszogrodzie, wpatrywał się w okolicę, wsłuchiwał w jej szmery.

– Bacność! Jakież odgłosy wojenne dolatują do moich uszu...

Zawsze spokojny, milczący, rozwinął skrzydła potężne, wleciał i z wysokości badał oblicznie przyczynę zgiełków. Przystanął w powietrzu, obłany światłem różowym słońca wschodzącego, i wkrótce już wiedział wszystko. Ma się rozumieć, że napaść wrony na zająca jest i zniewagą, i krzywdą pana ujazdu. Więc szparko popłynął szlakiem górnym w kierunku najechanych granic.

– Prawo łupieży skóry zającej w tym państwie do mnie należy!

Gniewny, dotarł i z szybkością wartkiej strzały rzucił się na kark szaraka. Ale chybił celu: bo zając właśnie w tejże samej chwili wyciął szczupaka, skoczył ponad głową wrony i poszedł. Drapieżnik władny spadł na pobojszcze, zasłane kłakami zajączymi, i tu spotkał się oko w oko z wroncem. Wzniósł skrzydła, wyciągnął szyję, a straszne jego oczy rzucały pioruny gniewu, buty zuchwałej, wzgardy dla przeciwnika. Rzeźbić go i nie podpisywać: „Siła jest prawem moim!”.

Zawrzał burzą gniewu straszego na widok tej wrony zawsze natrętnej, wrzaskliwej, a nigdy niezdolnej stawić czoła w boju otwartym.

– Wara ci kokoszyć się w moim domu! – syknął, piorunując wzrokiem posła wron wystraszonego. Bo skok szalony zająca i spadek jastrzębia odbyły się jednocześnie, tak że wroniec – zwykle mądry – zgłupiał, widząc przed sobą ptaka groźnego miasto czworonoga, który się trząsał ze strachu. Odskoczył też natychmiast jak oparzony, z miejsca strzelił w górę prostopadle i wrzasnął przeraźliwie:

– Strach, strach, strach!

Hasło to poleciało do Bohboru niby głos dzwonu na trwogę czy wici pospolitego ruszenia. Wszystko to było dziełem jednej chwili, stało się w czasie daleko krótszym, niż trwa opowiadanie.

Teraz jastrząb wleciał lekko, opisał wronca kołem szerokim i wzbijał się coraz wyżej. Robił to z taką swobodą przedziwną, jak gdyby chciał tylko poigrać, napędzić strachu wronie, ciągle jeszcze powrzaskującej.

Szarak – rzecz prosta – korzystał tymczasem ze zdarzeń: wziął nogi za pas i – bez względu na kalectwo – rąco śmigał ku kniei. Biedactwo, nie spodziewał się, że wpadnie z deszczu pod okap!... Wrony na wezwanie swego wódcy najprzód odpowiedziały wrzaskiem, którego echa wstrząsnęły borem; potem porwały się z wielkim łopotem skrzydeł i, rozpierchłe po dwie, po trzy, leciały na wyścigi

w stronę Buhaju. Naraz zoczyły po drodze zmykającego zająca i w tej chwili zapomniały o swojaku, wzywającym je co tchu na pomoc.

Głodni nie mają żadnych obowiązków; dopóki się przedtem nie nasycą.

Cała czerń chciwa żeru w mgnieniu oka spadła na pole. Obyczajem tatarskim opasały szaraka obręczą, wzięły go w środek i dopiero, podskakując rażno, szły nań z nastawionymi włóczniami dziobów.

– Musisz zginąć, nędzarzu!

On już teraz ustawał i zdrętwiał na widok tyłu wrogów. Spozrzegł to jastrząb, mocarz, który doskonale rozumie, że nietykalność granic stanowi u ptaków od stworzenia świata podstawę prawa międzynarodowego. Bez zwłoki czasu zaniechał igraszki wyścigowej z wróńcem, a rzucił się całą siłą swych wioseł w stronę, gdzie śmierć męczeńska zaglądała zającowi w trzeszcze. Wnet niby napowietrzny korab wojenny zawisł nad karkami zgrai zgłodniałej i zadawał się grozić z góry:

– Dam ja wam!

Krzyk straszny powstał, popłoch niewypowiedziany. Strach pokonał żądę żeru i wszystkie wrony jak jedna wyleciały w powietrze, uderzyły na wroga wśród okrzyków:

– O-ha, o-ha!

Wrzeszczą, rzekomo dopadają do jego karku; żadna jednak nie śmie należycie natrzeć. Otoczony przez czerń rozwydrzoną spokojnie płynął w powietrzu: znać lwa po pazurach. Był pewny siebie, dobrze wiedział, że wrony nigdy nie zmożą jastrzębia. Czasem wykonał jakiś ruch nadzwyczajny, wprawiający nieprzyjaciół w zdumienie; czasem wyciął tęgiego kułaka temu, który się zanadto zbliżał.

Nareszcie sprzykrzyły mu się widać takie harce i powrócił do gruszy, usiadł z krwią zimną na gałęzi.

– Walczy się tylko dla korzyści albo – dla sławy.

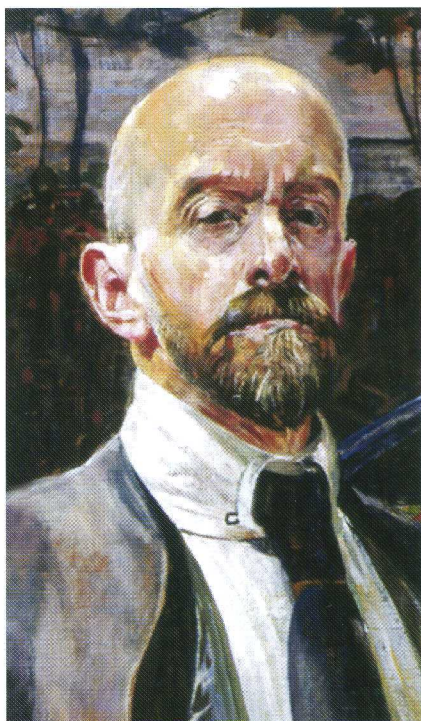
Teraz wrony uderzyły do odwrotu i krakając pieśń zwycięstwa co żywo pognały za szarakiem niedobitkiem, którego sroki sprosne już opadały pod borem. Zamierzały skończyć dzieło rozpoczęte. Jastrząb natychmiast zrozumiał, o co chodzi czarnym wrzaskulom. A że mniemał zająca za swą własność wyłączną i niezaprzeczoną, więc postanowił znowu wystąpić przeciw bezprawiu.

– Mnie jednemu prawo przysłuża! Ja tutaj panem i tylko ja go zjem albo – nikt!...

Poleciał w skok, zagroził przywłaszczycielom, natarł, ile sił stało. A tak się był zawziął w obronie tej słusznej sprawy, że wydarł ogon sroce najzuchwalszej i podskubał rzetelnie dwie wrony. Rozlał krew winowatą i dumny, spokojny, odprowadzany przez zgiełkliwy motłoch, powrócił na swoje siodło.

– Słońce, ty stwarzasz niedolę słabych; ale sprawiasz, że wojny mocnych dają słabym ocalenie! W twojej dłoni orężem na mocnych są jeszcze mocniejsi, którzy nie ostoją przed najmocniejszymi. I zając biedny z jedyną nadzieją w Bodze może wyżyć pod twym panowaniem.

Przeto najstarszy z ptaków, któremu jest miano Mysikrólik, śpiewa słońcu pieśń zaranną, oddaje mu swą duszę na całopalenie.



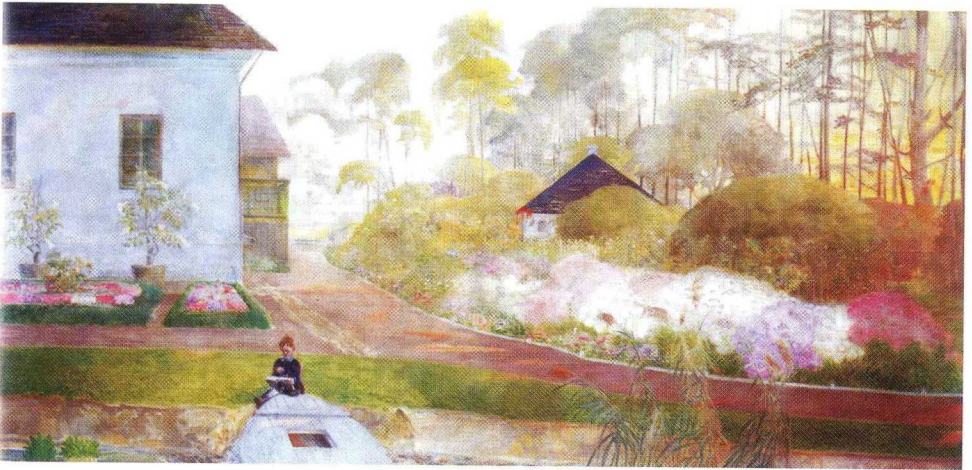
Jacek Malczewski



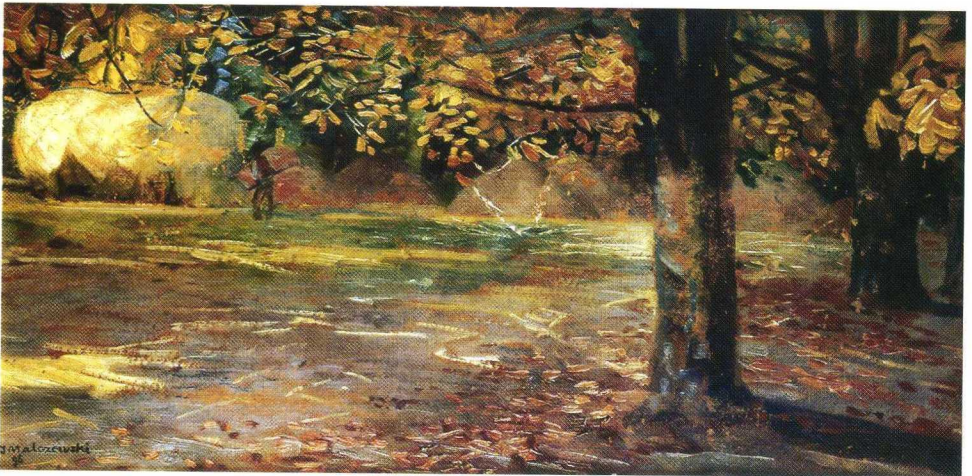
Jacek Malczewski, *Zatruta studnia z autoportretem*, 1916, Muzeum im. J. Malczewskiego w Radomiu



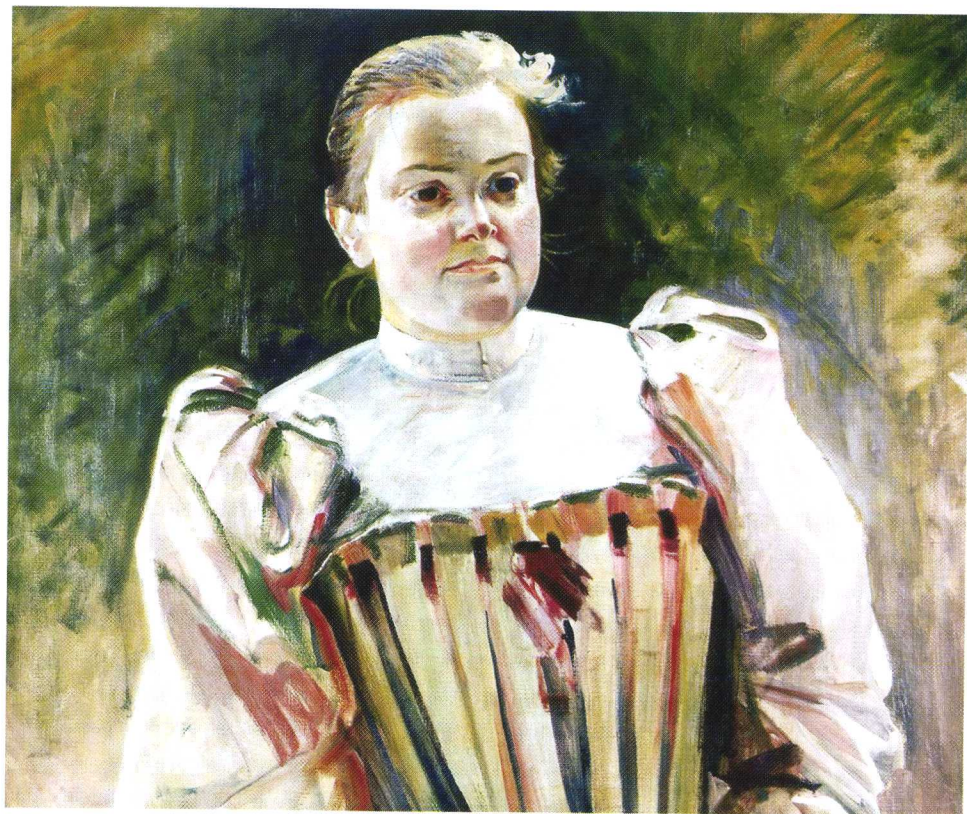
Jacek Malczewski, *Wspomnienie młodości*, 1890, Muzeum Narodowe w Warszawie



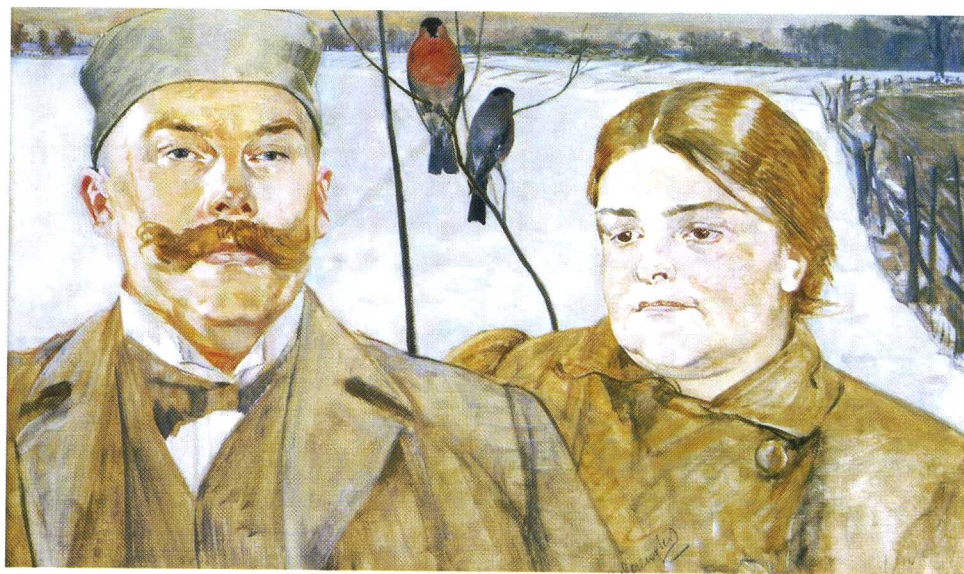
Jacek Malczewski, *Dzieciństwo, Jacek nad stawem w Wielgim*, 1919, własność prywatna



Jacek Malczewski, *Pejzaż jesienny, Wielgie*, 1895, własność prywatna



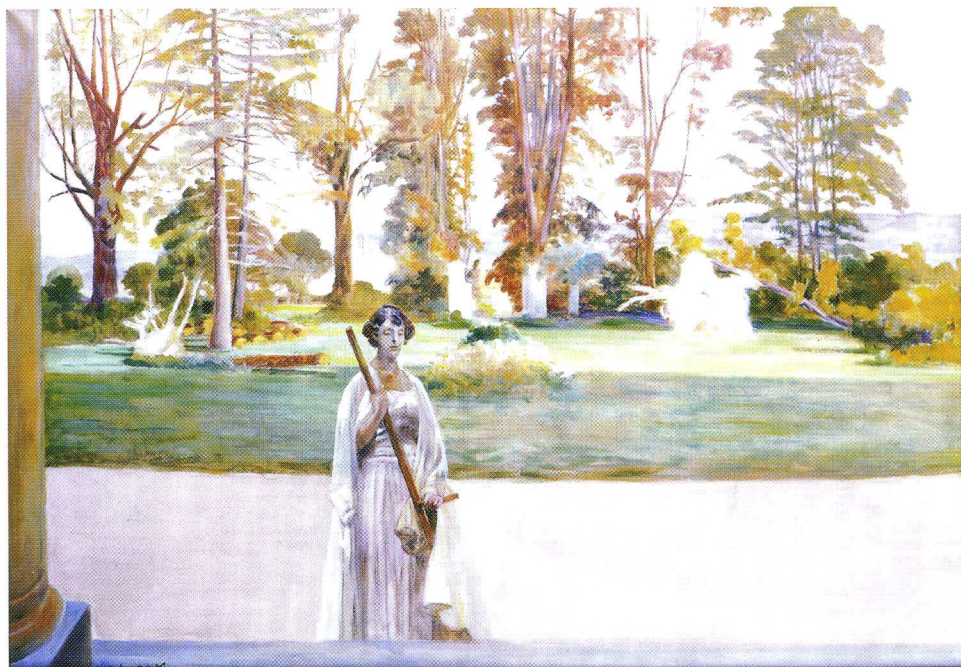
Jacek Malczewski, *Portret siostry Bronisławy*, ok. 1880, Muzeum im. J. Malczewskiego w Radomiu



Jacek Malczewski, *Portret Wacława i Heleny Karczewskich*, ok. 1900, Muzeum Narodowe w Warszawie



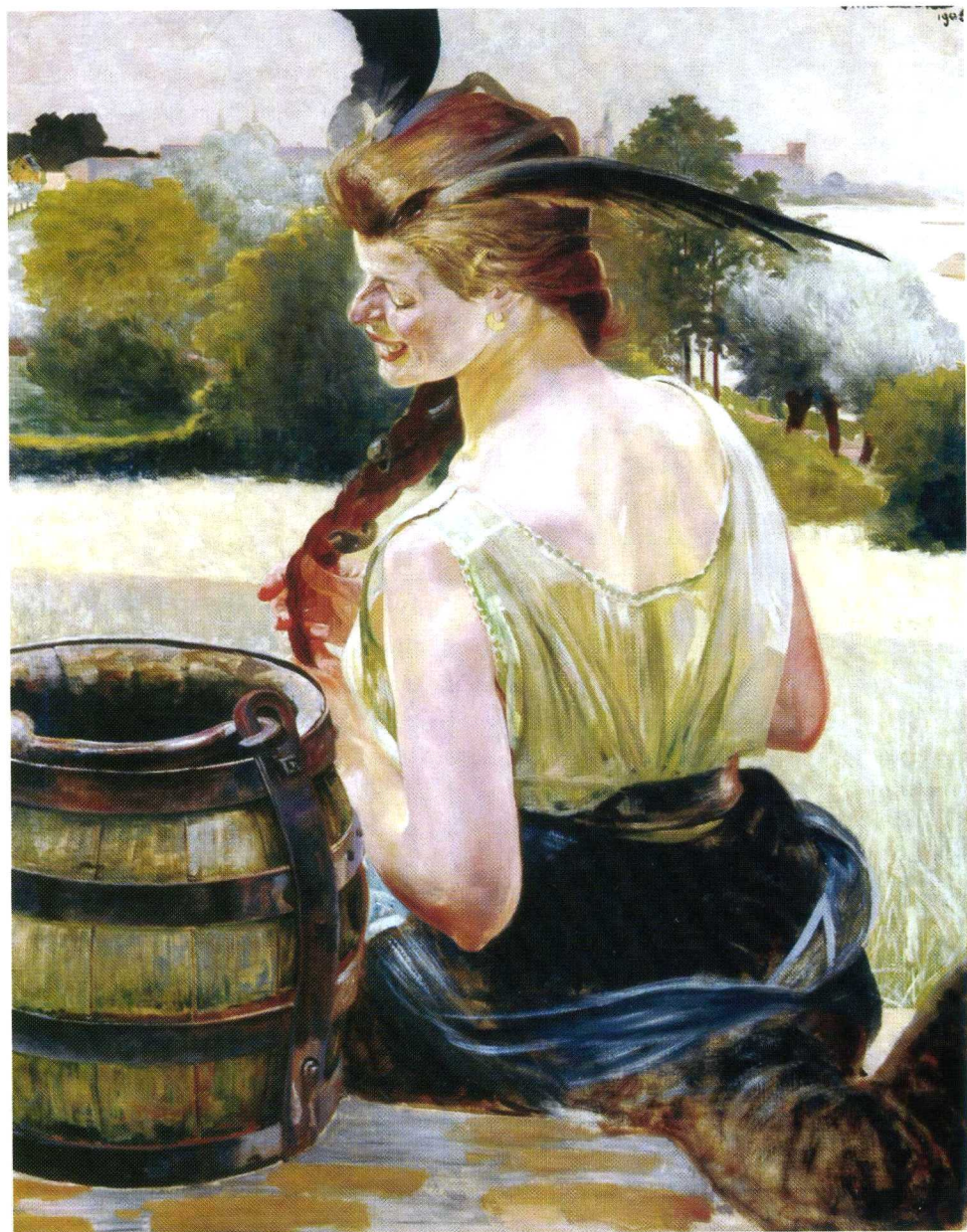
Jacek Malczewski, *Przed domem – żona i córka artysty*, ok. 1896,  
Muzeum Narodowe w Warszawie



Jacek Malczewski, *Po burzy* (tryptyk – część lewa), 1919, własność prywatna

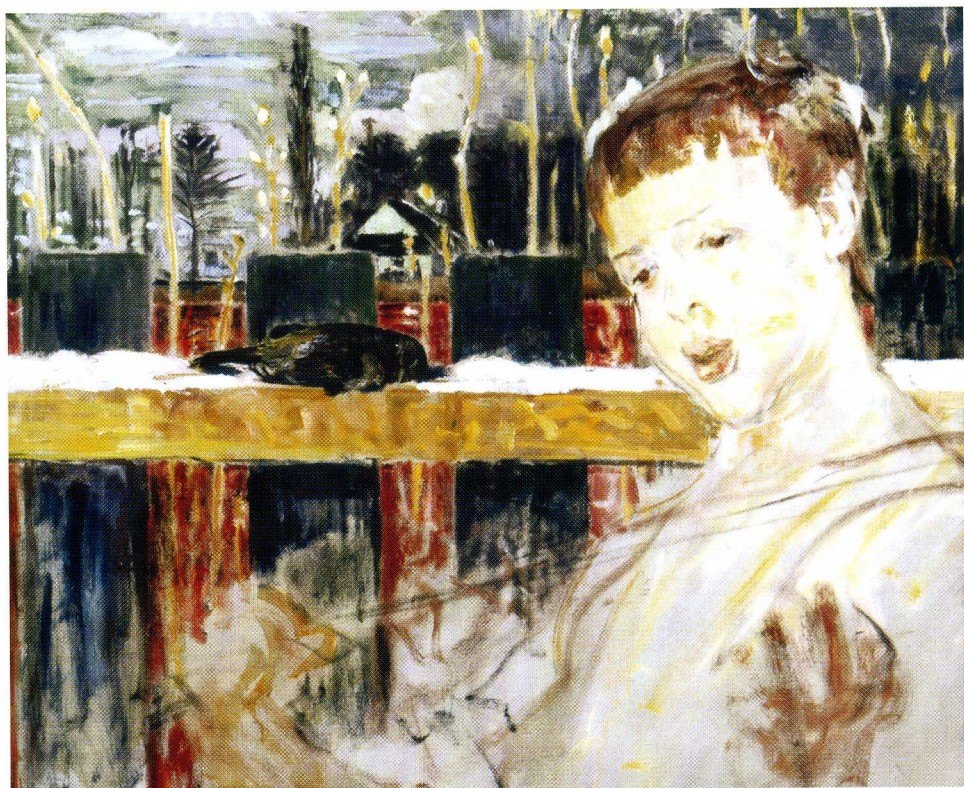


Jacek Malczewski, *Po burzy* (tryptyk – część prawa), 1919, własność prywatna



Jacek Malczewski, *Zatruta studnia z chimerą*, 1905, Muzeum im. J. Malczewskiego w Radomiu





Jacek Malczewski, *Pieśń żałobna*, ok. 1900, Muzeum im. J. Malczewskiego w Radomiu



Jacek Malczewski, *Autoportret na tle wnętrza*, 1926, Muzeum im. J. Malczewskiego w Radomiu

# Wielgie

Wielgie – wieś k. Zwolenia, 5 km na zachód od Ciepiewowa, 670 mieszkańców. Już w XV wieku znalazła się w „Rocznikach...” Jana Długosza. Miejscowe dobra należały do rodu Oleśnickich. Na początku XIX wieku właścicielem na tutejszych dobrach był Florian Karczewski. Karczewscy byli skoligaceni z rodziną Malczewskich. Jacka Malczewskiego, wybitnego polskiego malarza i jego dwóch braci przygotowywał do nauki w gimnazjum pisarz i pedagog Adolf Dygasiński. Siostra Jacka Malczewskiego Helena wyszła za mąż za literata Wacława Karczewskiego (powieść „W Wielgiem”).



Dom Ludowy

# Ciepiewów

Ciepiewów z lotu ptaka



Ciepiewów – gmina wiejska w dolinie Iżanki (powiat lipski), powierzchnia 135,3 km<sup>2</sup>, 29 wsi, 6500 mieszkańców. Uprawa tytoniu, a także warzyw (pomidorów, fasoli, ogórków) oraz krzewów jagodowych i truskawek.

Wójt Gminy: Artur Szewczyk,  
Urząd Gminy w Ciepiewowie,  
ul. Czachowskiego 1,  
27-310 Ciepiewów,  
tel./fax: (048) 37-88-080,  
e-mail: [gmina@ciepielow.pl](mailto:gmina@ciepielow.pl),  
[www.ciepielow.pl](http://www.ciepielow.pl)

## 4. W zatrutych studniach Jacka Malczewskiego

Jacek Malczewski jest najwybitniejszym przedstawicielem nurtu symbolicznego w polskim modernizmie. Jego symboliczne malarstwo czerpie z wielu źródeł, sięgając do kultury antyku, Starego i Nowego Testamentu, literatury romantycznej, tradycji narodowej, klechdy domowej. Wszystkie te elementy przetworzone przez niezwykłą osobowość malarza dają twórczość wielką i bardzo oryginalną. Jest ona dyskursem wokół tematów posłannictwa artysty, kondycji sztuki, wokół zagadnień egzystencjalnych i eschatologicznych, a także wokół bardzo ważnego wątku – niepodległości ojczyzny. Wystawa przygotowana przez muzeum radomskie została podzielona merytorycznie na trzy sekwencje: „Autobiografię”, „Wśród przyjaciół” i „Świat wyobraźni”. Aneksem dla trzech zasadniczych części jest prezentacja znajdujących się w zbiorach muzeum archiwaliów. Są to zdjęcia Jacka Malczewskiego i jego rodziny, listy do przyjaciół, dokumenty, dyplomy.

Jacek Malczewski urodził się 14 lipca 1854 r. w Radomiu. Jego rodzina od pokoleń związana była z ziemią radomską. Ojciec artysty, Julian Malczewski – podobnie jak dziadek – pracował w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, pełnił w nim funkcję sekretarza. Julian Malczewski był człowiekiem o bardzo szerokich horyzontach intelektualnych, znawcą literatury romantycznej – Goethego, Schillera, Norwida, Mickiewicza, ale szczególnie cenił twórczość Juliusza Słowackiego. Z podziwem dla wielkiej tradycji romantyzmu, pełnej ideologii narodowej, łączył pozytywistyczną wiarę w postępek. Julian Malczewski interesował się sztuką, wyjeżdżał do Włoch, zwiedzał Francję i Wenecję. Był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Dostrzegł uzdolnienia plastyczne swojego syna i rozumiał je.

Atmosferę spokojnego, pełnego muzyki radomskiego domu, odtworzył później artysta w pierwszym swoim olejnym obrazie „Portret siostry Heleny grającej na fortepianie”. Z rodzinnego domu Jacek Malczewski wyjechał w 1867 r. do dworu w Wielgiem, gdzie wspólnie z Wacławem i Bronisławem Karczewskimi przygotowywał się do nauki w gimnazjum w Krakowie. Nauczycielem ich był wybitny wychowawca, przyrodnik, ale też humanista o rozległych zainteresowaniach – Adolf Dygasiński, który uczył, wychowywał, rozbudzał zainteresowania przyrodą i historią, chodził ze swoimi uczniami do Krępy Iłżeckiej na miejsce, gdzie zginął przywódca jednego z oddziałów w powstaniu styczniowym – Dionizy Czachowski.

Wiele pięknych portretów poświęcił artysta swoim najbliższym: matce, żonie, dzieciom, siostram. „Portret matki” namalowany w 1880 r. wyróżnia się subtelnym psychologizmem, specyficzną, wyrafinowaną gamą delikatnie zróżnicowanych brązowych tonów. W „Portrecie żony z dziećmi”, który wydaje się być pochwałą życia rodzinnego, zawarta jest tajemnicza nastrojowość malująca się na natchnionych twarzach dzieci. Syna Rafała i córkę Julię artysta malował

wielokrotnie. Przepojone liryzmem portrety Julii świadczą o wyjątkowej bliskości między ojcem a córką. W 1922 r. w Lusławicach powstał „Portret Rafała”, kompozycja podkreślająca naturalność ujęcia, utrzymana jest w stonowanej pastelowej gamie barwnej, którą ożywiają różowe kwiaty glicynii. Swoje siostry Bronisławę i Helenę przedstawiał często, dając im za tło wnętrze pokoju w domu rodzinnym w Radomiu bądź salonu we dworze lusławickim. Malował je także na tle cmentarza w Wielgiem bądź w parku otaczającym dwór w Lusławicach.

Artysta przez całe życie portretował wybitnych uczonych, artystów, pisarzy. Chętnie ubierał prezentowane przez siebie postacie w kostiumy historyczne lub fantastyczne stroje. Przedstawiał portretowanych zazwyczaj na tle pejzażowym, uzupełnianym sztafażem nierzadko inspirowanym tematyką zaczerpniętą z mitologii greckiej.

Ze szczególną pasją Jacek Malczewski malował autoportrety. W swoich wizerunkach przez całe lata konfrontował siebie samego z całym światem. Wiernie odtwarzał rysy zewnętrzne, nie próbując prawie nigdy zdradzać swoich przeżyć. Twarz pozostawała na ogół zamknięta, niedostępna. Świat wewnętrzny z całym bogactwem ukazywany był poprzez rozbudowane tła obrazów. W „Autoportrecie z paletą” z 1892 r. uderzający jest skupiony, napięty wyraz twarzy malarza. Pociągła, ascetyczna twarz znamionuje siłę charakteru. Patrzy z uwagą, ma określone poczucie własnej wartości i świadomość znaczenia roli artysty.

W twórczości Jacka Malczewskiego wszechobecny jest temat śmierci. W 1898 r. w Wielgiem umarła matka Malczewskiego. Pierwsze kompozycje z cyklu „Thanatos” powstały po jej śmierci. W obrazie „Thanatos II” z 1899 r. przed dwór w Wielgiem w księżycową noc spłynął anioł śmierci Thanatos, bliźniaczy brat boga snu Hypnosa. W latach późniejszych malowane przez Jacka Malczewskiego personifikacje śmierci były pięknymi, młodymi kobietami trzymającymi w rękach symboliczne kosy. W podobnym nastroju są dwie kompozycje z 1917 r., w których uosobieniem śmierci są piękne kobiety w ciemnofioletowych sukniach zdobionych anemonami – symbolami *vanitas*. Na jedną z nich w otwartym oknie czeka starzec, który wykonuje zapraszający gest ręką. Tak pokazana śmierć nie budzi niepokoju, niesie ukojenie. W obrazie „Powrót w rodzinne strony” przybycia Thanatosa oczekiwał artysta przed dworem w Wielgiem, dokąd na marach przyniosły go wierne fauny, a towarzysząca im Ellenai zdaje się mówić *Jam Cię ukochała jak matka i jak siostra Twoja, ale śmierć wszystko kończy*. Tryptyk „Mój pogrzeb” jest dziełem, które zamyka jego powroty do Wielgiego.

Na wielowątkowe malarstwo Jacka Malczewskiego składa się wielka tradycja kultury antycznej, głęboka religijność o zabarwieniu mistycznym, którą wyniósł z domu rodzinnego, ale także pamięć powstania styczniowego. Było ono ostatnim wielkim zrywem niepodległościowym, pozostało w zbiorowej pamięci narodowej, stało się tragedią rodzinną, ale i patriotycznym sacrum. Ciągłe przypomnianie o sytuacji politycznej ojczystego kraju było ważnym celem sztuki Malczewskiego. Poprzez „Zesłania”, „Etapy”, „Zatrute studnie”, „Polonie” artysta nie pozwalał zapomnieć o ranach, które były źródłem cierpienia narodu. Sta-

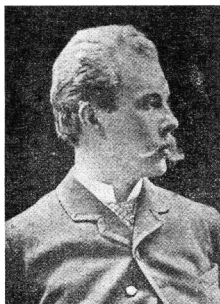
ła obecność ojczyzny idealnej, mitycznej, do której przyzwyczała Polaków kultura, w tym także malarstwo Jacka Malczewskiego, spowodowała, że naród zachował zdolność do życia w wolnym odrodzonym państwie.

Odrodzona Polska wysoko uhonorowała artystę. W 1925 r. uczczono uroczystie pięćdziesięciolecie jego pracy twórczej. W Krakowie, Poznaniu, Warszawie i Lwowie urządzono wielkie wystawy jubileuszowe. W lipcu 1927 r. Jacek Malczewski otrzymał Krzyż Komandorski z Gwiazdą „Polonia Restituta”.

Jacek Malczewski zmarł 8 października 1929 r. w Krakowie. Śmierć była mu wybawieniem od cierpień. Podobnie jak stary Tobiasz z przypowieści biblijnej, artysta został dotknięty ślepotą. Licznie zgromadzone społeczeństwo Krakowa pożegnało go 12 października na Skałce.

*(oprac. Zofia K. Posiadata)*

## 5. O Wacławie Karczewskim – pisarzu zapomnianym a wielkim



W literaturze polskiej pośród postaci niesłusznie zapomnianych, a wielkich należy niewątpliwie Wacław Karczewski, o którego życiu wiemy niewiele, a bardziej odczytujemy je z kart jego najważniejszego, a w znacznej mierze autobiograficznego dzieła.

Urodził się w roku 1855 w Woli Siennieńskiej pod Radomiem, bliski krewny znakomitego malarza, Jacka Malczewskiego, wraz z którym wychowywał się we wsi Wielgie pod kierunkiem znanego pisarza, Adolfa Dygasińskiego, pracownik w redakcji „Kuriera Warszawskiego” (1888–1893), następnie bibliotekarz w zamku Rapperswil w Szwajcarii, gdzie przyjaźnił się z Żeromskim. Zmarł w roku 1911.

Dobiegając trzydziestki wystąpił jako pisarz i nawet zdobył początkowo pewne uznanie. Chwalono jego dramat „Lena” (1886), wyróżniony na konkursie im. Bogusławskiego i przychylnie wyrażano się o tomiku opowiadań pt. „Drobiazgów garść” (1887), obojętnie natomiast przyjęto o dziesięć lat późniejszą powieść „W Wielgiem” (drukowana w r. 1897 w „Bibliotece Warszawskiej”, w r. 1898 wydana książkowo przez Grendyszyńskiego w Petersburgu), ostatnia wreszcie jego powieść „Mieczek Wieliski” (drukowana w lwowskim „Słowie Polskim”, 1910) w ogóle nie doczekała się wydania jako osobna książka i poszła całkowicie w zapomnienie.

Charakter twórczości Karczewskiego pozostawał w bardzo ścisłym związku z warunkami, w których przyszły powieściopisarz zdobywał swe wykształcenie i przysposobienie literackie.

W zamożnym dworze wiejskim, w ciągłej styczności z życiem chaty chłopskiej, w otoczeniu przyrody, przemawiającej swym pięknem do wyobraźni zdolnego chłopca, rozwijał się on pod wpływem niepospolitego nauczyciela, jakim był Adolf Dygasiński i drugiego, który z biegiem lat miał stać się jednym z mistrzów malarstwa polskiego – Jacka Malczewskiego.

Kontakt zarówno z Dygasińskim, jak i z Malczewskim wywarł fundamentalny wpływ i nauczył Karczewskiego wiele. Przede wszystkim wytworzył w nim postawę uważnego obserwatora życia człowieka i przyrody, niemal z naukową ścisłością chwytającego okiem i utrwalającego w pamięci znamienne właściwości otaczającego świata. Do czynników tych, pod wpływem życia, które mieszkańca dworu wiejskiego wyrzuciły na bruk warszawski, później zaś na emigrację, dołączył inny – tęsknota za utraconym „krajem lat dziecinnych”.

Dziełem najważniejszym w twórczości Karczewskiego jest powieść „W Wielgiem”. Wydarzenia rozgrywające się „W Wielgiem” przebiegają wprawdzie znowuż między dworem i wsią, dwór jednak, stanowiąc w nich punkt wyjścia, usuwa się w obrazie obyczajowym na plan dalszy, na pierwszym zaś wyraziście rysuje się życie w chacie zamożnego gospodarza i w zasobnym środowisku chłopskim. Nie jest to szczegół obojętny, obecność bowiem dworu nie zmniejsza w stopniu choćby najdrobniejszym wyrazistości obrazu życia chłopskiego, nie przyczynia się do uszczuplenia chłopskości powieści.

Samo przedstawienie życia, ludzi, ich obyczaju i języka, tła wreszcie przyrody wiejskiej wskazuje na samodzielność twórczą Karczewskiego, na umiejętność chodzenia w literaturze własnymi drogami.

Dzieje małżeństwa Jakuba Musiały z urodziwą Magdzą Nowotnikówną, obraz starcia się dwu namiętności miłosnych zwróconych w różnych kierunkach zmienia się w historię upadku poważnego i zamożnego, ale duchowo niesamodzielne chłopa.

Karczewski, wychowanek Dygasińskiego, nie sprzeniewierzył się nakazom mistrza, który od pisarza wymagał prawdziwego odtwarzania życia zbiorowego i jednostkowego. I z tą samą konsekwencją „fotografa życia”, znaną w literaturze pod nazwą naturalizmu, stworzył pełną niesamowitego uroku postać głównej bohaterki, wiecznie głodnej wrażeń miłosnych i wiecznie żądnej uznania i podziwu.

Autor wierzy i wiarę swą przenosi na czytelnika, że życie chłopskie jest piękne i wartościowe, twardo z ziemią zrosnięte i zdolne do dobytka z własnej głębi sił, które stanowią o jego trwałości. Ukazani na jego kartach chłopi mają w sobie coś, co przypomina głowy Piastów średniowiecznych na pieczęciach wyryte; obyczaje i zwyczaje chłopskie, w całej pełni ukazane na zebraniach gromadnych, takich jak wesele i palenie sobótki, uderzają swą prostotą a zarazem swą niezwykłością. Ludzie środowiska chłopskiego, nie wymagając żadnych papierowych upiększeń, pełni naturalnych ludzkich wad i zalet, są ludźmi w całej pełni. Myślą i mówią po swojemu, przeżywają swe wzloty i upadki, jak przeżywa je każdy człowiek, którym kieruje i wola własna, i krzyżująca się z nią wola gromady, wśród której żyć mu wypadło.

Wiele w tym powyższym opisie podobieństw do Reymontowskich „Chłopów”, ale warto zestawić dwie daty. Powieść „W Wielgiem” została wydrukowana w całości w roku 1898 (wcześniej drukowana w „Bibliotece Warszawskiej”), „Chłopi” Reymonta w latach 1904–1909. To zestawienie z pewnością przynosi splendor twórcy z Wielkiego, niedocenionemu i zapomnianemu. Reymont za swoje dzieło otrzymał w roku 1924 literackiego Nobla.

W mroźny, wyskrzony wieczór styczniowy w przywalonej śniegiem Musiałowej chacie buchał na kominie jasny, z zeschłych rozniecony gałęzi ogień, przy którym na okapie stojąca blaszana lampka naftowa przykopconym jeno a niewidocznym prawie ćmiła się światłem.

Spora, czysto umieciona izba, przybrana w części obrazami Świętych, w części obszernymi zawieszona półkami, na których rzędem w pokaźnej ilości ustawione błyszcząły gliniane, fajansowe i szklane naczynia, widome, wraz z suto zaślany pościelą łóżkiem, znamiona zasobności właściciela, wesołym rozwidniona ogniem, ciepłe, zaciszne dawała schronienie mieszkańcom, do porządku snadź i ładu przywykłym.

Gospodarza samego nie było w domu. Wczesnym rankiem powiózł na jarmark do Lipska zboże na sprzedaż, a zabrał i parobka z sobą, aby mu przy dopilnowaniu sprzężaju i przy wadze ziarna był pomocnym. Z wieczorą dopiero spodziewała się Franciszkowa syna z powrotem, a do wieczery, przy wcześnie zapadającej nocy styczniowej, kawałek jeszcze miała czasu. Obrządziwszy chudobę, siedziała oto kądziel mając pod sobą na przypiecku, i przędła. Opodał, nad rzuconą u nóg jej garścią tyczkowego grochu pochyłona, Kasia łuskała strąki, pstrokate ziarna fasoli z wielkim zajęciem we wzorzyste układając na podłodze desenie. U proga, wygodnie na brzuchu rozciągnięty, ze łbem złożonym między przednie łapy, leżał kudłaty Kruczek, to wpatrując się w ogień bezmyślnie, to strzygąc uszyna i pomrukując, gdy pod nogami mijającego chatę przechodnia ścisty mrozem śnieg zaskrzypiał na drodze.

Na drewnianym stołku, przed kominem także i z kądziela, a naprzeciw Franciszkowej zajął miejsce gość, częsty gość w chacie: bliska, bo z trzeciej chałupy, sąsiadka, gospodyni Kajtaniakowa Wojtkowa. Zażywna, o twarzy rumianej, noszącej ślady częstego spotykania się z półkwatkiem, niemłoda już kobieta, „kuma” wsi całej, a na wieś całą znana bajczarka, za co ją zresztą po izbach mile widziano, na pogawędkę wstąpiła dziś do Musiałowej.

– Coby wam się – tak na powitanie rzekła do niej – nie cniło, moiściewy, wieczoreczkiem przez synka, skoro się na dzionek cały Jakub do Lipska wybrali.

I rzeczywiście, powodem odwiedzin Wojtkowej była właśnie nieobecność gospodarza w domu, bo nie kto inny, tylko Jakub miał być przedmiotem rozmowy.

Od pewnego czasu różne o Musiale po wsi chodziły gadki. Mówiono, jako po niezbyt dawnej stracie żony o powtórnym przemyśliwał związku, bo w lata już posunięta Franciszkowa sama chudobie nastarczyć nie mogła, a i dla dziecka młodsza przydałaby się opiekunka. Tylko że nie zgadzano się co do wyboru niewiasty. Mówili jedni, że jeno patrzeć Jakubowych swatów u statecznej wiekiem, „do połowy roli przynależącej”, także owdowiałej niedawno, bezdzietnej Kacprowej Sulimowej, co z uwagi na wiek i położenie Musiały, dobrą sławę i gospodarność Kacprowej, zdaniem powszechnym „odpowiadało jedno drugiemu”.



Ale mówili inni, że niemłody Jakub na zabój rozmyślał się w Magdzi Nowotnikównie, córce gajowego, a pokojówce przy dworze, dziewczusce co prawda jak Jania i na schwał urodziwej, ale „przez nijakiego wiana” i latawcu, o którym różnie ludzie gadali. Dziewczyna dwie niedziele temu zjawiała się na niesporach w bursztynach jak „żołędzie” wielkich, co się wnet po wsi rozniosło, z dodatkiem, że je z Radomia, gdzie z innymi gospodarzami z dostawą żyta dworskiego jeździł, przywiózł Musiała. Ale nie było w tym „pewności nijakiej”, bo Magdzi podobno i „panowie” zwozili gościńce, ona zaś do każdego zęby suszyła, ale sercem to chyba do jednego lgnęła fernalczyka przy cugowych, Jaśka Górajka.

Słowem, mówiono tak i owak. Kajtaniakowa zaś, zwyczajnie wszystko wiedząca, tym samym ku ciężkiemu utrapieniu domysłami jeno zadowolniać się musiała. Nie dalej jak dziś oto z rana, gdy ją przy studni kuma z sąsiedniej chłupy zagadnęła o zamiary Musiały i głośne we wsi bursztyny.

– Co też wam się, kumeczko, roi? – odparła, niby pewna swego. – A kaj to Magdzi do gospodarza na roli i ojca dzieciom! Kacprowa, na ten przykład, to nie mówię – czuła jednak, że nadrabiała winą, że sama tyle, co i „kumeczka”, wiedziała.

A choć ta ostatnia święcie jej, zdało się, uwierzyła, długi czas bowiem z opartą na dłoni brodą kiwała głową powtarzając:

– Moiściewy!... moiściewy!... a czego to ludzie nie wymyślą!... – to przecież korciła ją okrutnie niepewność własna, i postanowiła, bądź co bądź, dobać się prawdy, a najpierw wziąć zręcznie na spytki Franciszkową.

Z Musialiną jednak nie łatwa była sprawa. Staruszka, z natury zamknięta w sobie, niechętnie pozwalała ciągnąć się za język, a o ile lubiła słuchać plotek Wojtkowej, o tyle, znając ją dobrze, strzegła się dostarczać materiału od siebie.

– Słówko wyleci wróblem, a wraca wołem, i ani się człek opatrzy, kiej zgrzeszy gębą – mawiała zawsze, tak w czynach jak w mowie przezorna.

Toteż Kajtaniakowa „od lasa” jęła ją obchodzić, krok za krokiem zbliżając się do celu. Buzię bo miała wprawna, i sprytu i fantazji dosyć, cały tedy worek wiadomości i wiadomostek wysypała, zanim, rozochociwszy już i rozgadawszy nieco staruszkę, w słabą jej uderzając strunę, zwróciła się nagle w stronę Kasi i czułym obejmując okiem bawiące się fasolą dziecko, na pozór rzewnie roztkliwiona, rzekła z westchnieniem:

– Siroteczka! jak się to dziecina zabawia sama grzecznie; z nią to chyba, Kumeczko, nijakiej nie mata zgłoby?

Franciszkowa oderwała ręce od przedziwa i z miłością wielką spoglądając na wnuczkę odparła:

– Poczciwe dziecko, nie ma co mówić... ani to sprzeczne, ani to grymaśne – a nie domyślając się podstępu – ino, moiściewy, jak jest, tak jest – dodała, z nurtującej ją z dawna zwierzając się myśli – człek jest wiekowy, i dziecina przez nijakiej może ostać opieki.

– Nie wydziwialibyśta, kumeczko, po próżnicy – zachnęła się Wojtkowa, wielce z obrotu rozmowy rada. – Komu to, komu o śmierci wspominać! Dał Pan Jezus zdrowie tyle czasu, to da jeszcze i nie roczek, i nie dwa... A zresztą, święć

się Jego przenajświętsza wola! – tu Kajtaniakowa ciężko westchnęła. – Skoroby to zaś co i do czego przyszło, dyć się dziewczusze ojciec na pociechę ostanie, a nie ojczym tam byle jaki.

– Jakub dobry był syn i dobry ojciec z niego pewnikiem; – poważnie wtrąciła staruszka – ino ojciec, chocia najlepszy, zawdy to nie mać i nie matczy-na opieka.

Tu Wojtkowa postanowiła przypuścić szturm ostateczny i zwracając się do Kasi zapytała:

– Kasiu, a chciałabyś to mieć matulę?

Dziecko, zagadnięte zniemacka, zawahało się z odpowiedzią, poczem odparło obojętnie, niby wyuczoną powtarzając zwrotkę:

– Matula mi pomarli!... matula u Pana Jezusa!...

– Trusięcyczko ty moje!... – zawołała Kajtaniakowa, do głębi wrzekomo rozczulona, i porwawszy się ze stołka, z którego wraz za nią i kądzielnica stoczyła się na ziemię, pochwyciła Kasię za głowę i głośnymi jęła obsypywać ją pocałunkami.

Nagle spoważniała.

– Pomarli!... Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie! – westchnęła, podnosząc przedziwo i sadowiąc się na nim wygodnie. – Pomarli, to się wie, co pomarli!... A światło wiekuiste niechaj jej świeci!... U Pana Jezusa?... A kajże by niebożatko miało być indziej?... Tyło widzisz, Kasiu, ja się nikiej pytam, czy byś ty na ten przykład chciała mieć inszą matulę?

Tego pytania Kasi jeszcze nikt nie stawiał, zakłopotana się nim nie żartem. Niepewna, jaką dać odpowiedź, spuściła na razie oczy w fasolę, a podnosząc je następnie trwożliwie na babkę mruknęła:

– Babula wiedzą! – i czym prędzej jęła grzebać palcem w grochu.

– Abo i sprawiedliwie, dziecko ma recht, moja kumo! – zawyrokowała sąsiadka.

– Bo nikiej co? – spoglądając na nią przenikliwie, zapytała starucha.

Kajtaniakowa zaś czując, iż chwila stanowcza nadeszła, poprawiła się na stołku, pośliniła dwa palce, szarpnęła nimi grubą nić przędzy.

– A to byśta ich poženili i szabas! – oświadczyła, podkrecając wrzecionem aż furknęło.

– Nikiej kogo z kim? – udając, że się nie domyśla, odezwała się Franciszkowa, nie spuszczać przy tym oka z sąsiadki.

Zbiło ją to nieco z tropu, ale nie na długo.

– Kogo z kim... kogo z kim... – burknęła niecierpliwie. – Dyć Jakuba z Kacprową!

Staruszka brwi zmarszczyła i milcząc podniosła się chrustu dorzucić do ognia.

Kajtaniakowa, raz przełamawszy lody, prawila dalej:

– Abo i źle mówię, moja kumo? Kobita stateczna, do połowy roli przynależąca, jako i wasz gdowiec, gdowa i przezdzietna, a to wedle Kasi, nie przymierzając, grunt. Gospodyni jak się patrzy, i domu dopilnuje, i chłopą dopilnuje, i dziecka... Nie trza wam zresztą dużo gadać, kobita jak szkło!

Sąsiadka uderzyła w sedno, każde jej słowo trafiało do przekonania Franciszkowej i własne jej tłumaczyło pragnienia. Nie od dziś przemyśliwała nad połączeniem Jakuba z Kacprową. Kobieta poczciwa, Kasi by jej nie skrzywdziła pewnikiem, a zaradna, obrotna, to i dla syna jak stworzona, bo Jakub chłop dobry z kośćciami, ale miękki i „nijak mu się było przez opieki babskiej obchodzić”. Wiedziała o tym dobrze ona, co tyle lat na pasku go prawie wodziła, co i jego, i dobytek własną głową nieraz od złego ustrzegła. Tylko że nie lubiła przed czasem wywnętrzać się ze swoich zamiarów i myśli, synowi jeszcze nie napomknęła o nich słówkiem, a tu Kajtaniakowa tak na nią znienacka z tym wpadła, a tak gorąco do rzeczy się brała. Podejrzanym jej się to wydało. A może to i Sulimowa wysłała ją na spytki, na zamożnego gospodarza łasa. Nie podobało się to staruszce i zwolna odwróciwszy się od komina, utkwiała w sąsiadce bystro swe siwe oczy i ostro niemal zapytała:

– Ja to, moiściewy, w bawełnę nie nauczna, gadajta szczyrze, nastali was tu?

– A bodajem, moja kumeczko, światłości niebieskich nie oglądała!... – submitowała się Wojtkowa. – Dyciem ino od serca wtrąciła swoje, skoro się o tym zgadało. A niechbym tak jutrzejszego dnia nie doczekała!...

Snadź zaklęcia te, z zapalczywym wygłaszane przejęciem, zadowolniły Franciszkową, bo udobruchana, spokojnie już biorąc kądziel do ręki, przerwała je.

– Jeszcze się nad nieboszczką darń nie zazieleniła! – rzekła poważnie.

– A światłość wiekuista niechaj jej świeci, chudziątkowi! – westchnęła znowu Wojtkowa. – Dyc nie zazieleniła się, i prawda, ino to nie trza wam powtarzać: w chłopskim stanie chłop przez baby, chałupa zaś przez gospodyni, wiadoma rzecz, i bez rok nie strzymają nijak, a i po wsi gadają...

– Co gadają? – wtrąciła żywo staruszka.

– A co by mieni, ino że Jakub za niewiastą się oglądają, a tyło nie wiadomo, o którą uderzą: o Kacprową, czyli też o Magdzię...

– Jaka to znowuj Magdzia? – marszcząc się spytała Franciszkowa.

– Nowotnikówna, gajowianka, pokojówka ze dworu. Dyc wiadomo, co się wasz wedle niej kręca...

– W imię Ojca i Syna!... czyście, kobito, zbyli rozumu, czy lichu was opętało jakie!... – zawołała staruszka, do żywego poruszona. – Magda, gajowianka, ten latawiec, ten wycirus!...

Nareszcie Kajtaniakowa dobiła swego. Wyprowadziła starą z równowagi umysłu, kierującej nią zawsze w czynach i słowie. Jeżeli kiedy, to teraz mogła się czegoś dowiedzieć, byle kuć żelazo, póki gorące. Furknęła tedy wrzcionem zamasyście i rzekła:

– Wycirus, nie wycirus, ale się do niej wszystkie śmieją chłopaki, i nie ma co mówić, dziewczyna kieby łania.

– Takiej ci łani – z oburzeniem wielkim wtrąciła Franciszkowa – i na jarmarku za pieniądze dostanie. Nie potom ci tyle lat dobytku strzegła i zagrody, żeby mi się taka tam po niej swędać miała. Kacprowa, to nie mówię, niechby się z nią i żenił, ale z tamtą... niedoczekanie...

A Wojtkowa dolewała oliwy do ognia.

– Święte wasze słowa, kumeczko! – mówiła – ino to z chłopem zawdy trudna sprawa, zwyczajnie trusia, a kiej się rozmiłuje, to ci nikięj ten kozioł bryczny bóść gotów. Jakub...

– Ino mi syna nie wspominajta! – zawołała staruszcza – bo to plotka i tyła.

– Ja ta, moiściewy, dokumentnie to i nic nie wiedząca – tłumaczyła się Wojtkowa; – ale co Magdzia nikięj żoładzie wielkie miała na nieszporze bursztyny, to miała, a co po wsi gadają, jako je dziewusze Jakub, kiej to z odstawa zboża dworskiego jeździli, aże z Radomia przywieźli, to gadają.

Ale, ku wielkiemu zdziwieniu Kajtaniakowej, staruszka na wzmiankę o bursztynach, miasto burzyć się dalej i wywnętrzać, jakby je kto mowę odjął, zamilkła nagle. Zasepiła się jeno bardziej, niezrozumiałym już prawie tylko pomrukiwaniem i kiwaniem głowy udział biorąc w rozmowie, która się wreszcie w monolog gadatliwej sąsiadki zamieniła.

Próbowała jeszcze Wojtkowa to tędy, to owędy wyciągnąć coś ze starej, by się o istotnych zamiarach jej i Jakuba czegoś pewnego dowiedzieć, ale ponad stwierdzenie z góry przewidywanej przychylności dla Kacprowej, a nieprzyjaznych uczuć dla Magdzi ze strony Franciszkowej niczego się nie dobała. Nawet pogłoski o bursztynach i stosunku Jakuba do gajowianki nie sprawdziła. Tym ostatnim zaprzeczyła wprawdzie Musiałowa energicznie, ale na wzmiankę o bursztynach przycichła, na dwoje tedy babka wróżyła: albo wiedziała coś, ale zataić pragnęła, albo pogłoska istotnie tylko plotką była. Pewności nie zyskała żadnej. W ostatniej chwili postanowiła zacerpnąć języka u źródła, to jest u Magdzi, na której chepliwość liczyła, i pod wymówką zbliżającej się wieczery, ze zwykłym na spracowanych daremnie ustach: „Niech będzie pochwalony!...” wysunęła się z izby, w ponurym zostawiając staruszkę zamyśleniu, podczas gdy Kasia, wyciągnięta na strączynach, w towarzystwie Kruczka spała w najlepsze.

O ile jednak Kajtaniakowa nie dowiedziała się niczego, o tyle sama, ani się tego domyślając, doniosłych Franciszkowej udzieliła objaśnień, tak doniosłych, że starowina po wyjściu sąsiadki bez ruchu, niby skamieniała, przesiadła drugą godzinę na przypiecku, ciężko, a snadź i boleśnie zadumana. Przed Wojtkową nie zdradziła się ani słówkiem, miała dość siły, praktyką zresztą życia wyrobionej, aby szarpiący ją niepokój zataić w sobie, ukryć go przed ciekawym uchem a gadatliwym językiem sąsiadki, zbyt mało skądinąd przenikliwej, izby z samego milczenia jej i rozlanego na twarzy frasunku wnioski jakie wyprowadzić miała. Teraz przecie, bez świadków, niczego się już obawiać nie potrzebowała, wypadało jej też wrzeczono z palców, a ręce z wyrazem rozpachy prawie splotła na kolanach przed sobą. I duamała, dumiała bez ruchu, zgarbiona, jakby jej nagle wiązkę lat rzucono na barki wiekowe.

Ale boć to może i nie plotka była tylko, one, niby żoładzie, wielkie bursztyny Magdzine. Staruszcze stanęło w oczach niedawne zajęcie jej z synem, na które w swoim czasie nie zwróciła uwagi, które jej się wszakże po rozmowie z Kajta-

niakową w innym zgoła przedstawiało światło. Gdy istotnie ładny sznur bursztynowy dostrzegła wypadkiem w kobiałce Musiały po powrocie jego z Radomia, Jakub, a przypomniała sobie w tej chwili wszystko dokładnie, zmieszał się zrazu bardzo, a nawet z gniewem, którego się względem niej rzadko dopuszczał, kobiałkę wyrwał z jej ręki, zapytany zaś o dziwny sprawunek, odparł, iż bursztyny kupić dla kowalczyny Nastki, na obstalunek jej matki, a dając to objaśnienie był tak spokojny, że je bez podejrzeń przyjęła, znając zamożność kowala w parze idącą z kosztownością gościńca.

Czemu jednak na niesporze wystąpiła w bursztynach Magdzia właśnie, nie Nastka? Toć by się ze swoimi i kowalczanka nie kryła, a o takim sprawunku rychło by się po wsi rozniosło.

Staruszkę ścisnęło coś w piersiach, niespokojnym okiem powiodła po izbie, a spostrzegłszy u nóg swoich uśpioną wnuczkę, jakby uderzona nagle poczuciem grożącego niebezpieczeństwa, szepnęła:

– A brońże Ty nas, Jezusieńku!...

Byłóż bo jej przed czym wzywać bożej opieki. Ta dziewucha, której ona, zasobna na roli gospodyni, stateczna życie całe niewiasta, szanowana po wsi i doma, Franciszkowa, i znać pierwej nie chciała, ten „wycirus” miałaby z nią pod jednym zamieszkać dachem, ba, panią może zostać zagrody, nad nią stara, nad ukochanym dzieckiem jej, Kasią, przewodzić! A Jakub słaby, a Jakub jak wosk miękki, a do kochania skóry, zawojowany, aniby się oprzec umiał, choćby o rodzoną szło matkę, o dziecko rodzone, choćby o dobytek szło i zagrodę. I przewinęły się kolejno przed oczyma staruszki: ziemi świętej włóka z okładem, i co rok jesienią pełna po szczyty stodoła, i para koni, i wołów, i ciołki dwa jak ulane, krów i jałowizny sztuk ośmioro, i owiec mendel, i trzoda, i gadziny garść spora wszelkiej. A tam, w kącie klepiska jej tylko i Jakubowi znanym, przez nią, męża jej, starego jeszcze Franciszka, i gospodarną później nieboszczkę Jakubową, sztuka za sztuką, grosz za groszem nieledwie, garnek uzbierany rubli srebrnych, między którymi nierządno i dukat się trafił jeden i drugi. Wszystko to dla niej, obieżyświata, wietrznicy, wycirusa!...

– Panienko przენajświętsza!... – jęknęła starowina, a łzy jak groch pociekły po zmarszczonej, wykrzywionej bólem twarzy.

Byłóż jej, było przed czym wzywać bożej opieki! Co począć? Jakub dobrym był synem, uległym, stwierdziła to sama przed chwilą, ale jej też w uszach brzmiała odpowiedź Kajtaniakowej:

– Ino to z chłopem zawdy trudna sprawa, zwyczajnie trusia, a kiej się rozmiłuje, to ci nikiej ten kozieł bryczny bósć gotów.

A jeżeli syn się zatnie – a bywało tak – bywało, jeżeli ani prośby nie usłucha, ani się groźby nie ulęknie? co wtedy?

A z wnuczką?... co się z jej Kasią stanie?...

– Pod Twoją obronę uciekamy się... – jęła, głowę już tracąc, powtarzać starucha, skulona we dwoje, niemal troską złamana, kurczowo zaciskając suche, kościste dłonie przed sobą.

Wypalone na kominie drzazgi pokrywały się już warstwą popiołu, mdłe światło lampki ledwo w półmroku utrzymywało izbę, a cichy, równy oddech śpiącego dziecka rozlegał się po niej echem, gdy nagle skrzyp sań po drodze i radosne skomlenie u drzwi Kruczka wyrwało Franciszkową z odętwienia.

– Jakub przyjechał! – szepnęła, zrywając się do komina i rozdmuchując wygasły na nim ogień.

Tego samego dnia z rana, słońce zaledwie skrawkiem tarczy wychylało się zwolna zza lasu, na pogodne, mroźne wytaczając się niebo, a z kominów chat wielickich śniegiem przywalonych prostopadle w górę, kłębami pary niby pióropuszcami zdobne, strzelały dymy, gdy sprzed Musiałowej chałupy ruszył na saniach złożony wasąg, pełen worków ze zbożem, na których, lejce trzymając w dłoniach, pokrytych grubymi, o jednym palcu rękawicami wełnianymi, w czarnej, wysokiej jak kołpak, baraniej czapce, w sutym skórzanym kozuchu, o spadającym do bioder niemal, w trójkąt wyciętym, baranim, rudym kołnierzu, szerokim przepasany pasem, siedział Musiała.

– Wista!... wista małe!... – powtarzał, popędzając konie lejcami, podczas gdy z progu żegnając syna:

– A nie zabacz soli, Jakubie, i donic! – wołała Franciszkowa, trzymając ręce przed mrozem zasunięte pod zapaśnikiem.

Zwolna, ostrożnie, noga za nogą, wyminął Musiała wąskie wrota zagrody, które za nim z batem w rękę, w drogę wybrany także, zamknął parobek. Zamknawszy je, żywo podskoczył ku zatrzymanym za nimi saniom, biczyskiem krzyż przed końmi na śniegu skreślił, a odebrawszy lejce z rąk gospodarza i sadowiąc się na przodzie wasągu końce ich podsunął pod nogi, szybkim ruchem wdział rękawice, poprawił czapki i świsnął batem wołając:

– Wio małe!...

Skrzypnięcie zamykanych przez Franciszkową drzwi chaty złało się we wtór ze zgrzytem ściętego mrozem śniegu pod kopytami koni, i pomknęły sanie z miejsca w stronę przeciwną kościołowi, po ujeżdżonej, równej jak stół drodze.

Wypasione jak gałki, czupurne Musiałowe gniade mierzyny parskały jeno, kłębami rzucając z nozdrzy parę, a toczyły się, żywo zbierając nogami, jak piłki. Od czasu do czasu, dla fantazji, parobek świsnął nad nimi batem lub:

– Zdrowe małe! – wołał, od uroku je broniąc, po każdym głośniejszym parsknięciu.

I tak, przy odgłosie miarowego pod kopytami ćwierkania śniegu i naszczekiwania psów gadatliwszych sunęły przez wieś sanie, aż i ostatnią minawszy zagrodę, u dróg rozstajnych wysforowały się na szczerze, białe, gdzieniegdzie gruszcami upstrzone, jak tafla lodu gładkie pole. Zmierzały teraz, jak strzelił, ku lasowi hen u nieboskłonu zwartym pasem czerniejącemu, którym następnie, z małymi jeno przerwami, do samego już miano jechać Lipska, dokąd na jarmark z żytem na sprzedaż dążył Musiała.

– Wiśniocha to ci znowuj całe koryto wychlapała dziś wody! – odezwał się nagle parobek, wyciągając na pogawędkę rozmownego zwyczajnie w drodze

gospodarza. – Piła i piła, aż mi obie ręce od wiadra ścierpły! – mówił wpół odwrócony, dłuższej rozmowy pewny.

Ale gospodarz poprawił jeno kożucha na piersiach i mruknął coś o wybojach.

– Handryczny musi dzisiaj, czy co? – zauważył w duchu parobek i świsnął batem na pociechę, wołając:

– Wio małe!...

Jechano dalej w milczeniu. Nie do rozmowy było dziś jakoś Musiale; siedział na workach, z lekka poprószonych słomą, kilimkiem w białe i szafirowe pasy pokrytą, zamyślony, ale nie frasobliwy. Pocierał rękawicami czerwone od mrozu uszy i coraz, mrużąc przed jaskrawością śniegu oczy, zwracał je na prawo, kędy sadzona topolami włoskimi droga biegła od dworu, w kępie drzew ukrytego, ku lipskiemu traktowi, i to uśmiecha się, to marszczył, to poruszał wargami, jakby z samym sobą rozmawiał.

Od dawna bo już do dworu tego, co teraz za drzew słupami dymu istnienie swoje znaczył, rwały się, ilekroć dojrzeć go mogły, Jakubowe oczy i rozjaśniała się twarz pocziwa, ramą długich ciemnoblonde włosów, na plecy niemal opadających, ponad czołem zaś aż do osady jego równo ściętych w grzywę, co gospodarza owego na chłopskiej tylko zagrodzie dziwnie podobnym czyniło do rznionych na starodawnych pieczęciach wizerunków książąt Piastowskich. Dwa roku dobiegało już właśnie, jak jeszcze za życia nieboszczki swojej, a pamiętał chwilę niby wczorajszą, całą gromadą w obszernej jadalnej sali dworskiej kilkudziesięciu gospodarzy wielickich dobiło z dziedzicem targu o serwituty, a dziedzic na „oblewunek” z dawna a żmudnie prowadzonych układów podać kazał gąsiorek wódki i przepił do sąsiadów. Przyniosła ją i kolejno częstowanym rozlewała córka świeżo „nastalego” do służby gajowego Nowotnika, dwudziestoletnia może nie więcej dziewczyna, Magdzia, przy dworze pokojówka, wraz z ojcem wdowcem przyjęta, po wydaleniu się ich z sąsiedniej Bąkowy, gdzie Nowotnik za karbowego służył, a dziewczyna lat parę przy pokojach także spędziła. Magdzia „jako to z łyków”, nosiła się z waszecia; bez chusty na głowie, z gładko przyczesanymi na niej włosami i obfitym warkoczem. Czerwony miała na sobie wełniak w czarne pasy, biały fartuszek i biały, suto na piersiach różnokolorowymi zawieszony paciorkami kaftanik. W sznurowanych, na wysokich obcasach trzewikach uwijała się między gospodarzami, zwinna „kieby ten wąż”, to pełne podając im blaszane miarki z wódką, to wypróżnione napełniając z gąsiorka, a taka ci przy tym rezolutna, że na dziedzica samego strzelała oczyma, uśmiechnięta, swobodna, jakby od urodzenia do pokojów „nauczna panienska”.

I odśmiejali jej się gospodarze, ten i ów dalej od dziedzica stojący, a młodszy półgłosem słówkiem zaczepił, dziewczyna zaś odcinała się na poczekaniu od ucha i szczyrzyła zęby, niby ten kociak, co wróbla zobaczył. Całą już niemal obczęstowała gromadę, gdy z kolei zatrzymała się z pełną miarką przed Musiałą tuż u drzwi wchodowych o kredens wspartym. O „śwarnej” ze dworu pokojówce słyszał już Jakub to i owo, nie najlepiej o niej gadano, bo i z Bąkowy różne dochodziły języki, tylko urody nikt jej nie przeczył, dziewczęta nawet co

najsłodsze pierwszeństwo jej przyznawały nad sobą, a co chłopaki toć pomiarkowania nie znali w chwalebnie i chwalili aż grzmiało. Musiała do tej pory nie znać jej jeszcze, w układach zaś o serwituty nieufnością przez podejrzliwą matkę zarazony należał do opozycji, którą ujawniał zajęciem miejsca wraz z kilkoma innymi oponentami na tyłach samych gromady, a zafrasowany postanowieniem większości, w sprawach gromadzkich rozstrzygającej zwykle nieodwołalnie, nie zwrócił wprawdzie na razie uwagi na wejście i poczęstunek dziewczyny. Dopiero gdy stanęła przed nim z wyciągniętą ku niemu blaszanką, czerstwa „jak rze-pa”, rozbawiona zaczepkami, tym urodziwsza, że krasę jej oto oczy wszystkich niemal gospodarzy wielickich, niby lustra, odbiły w sobie kolejną, rozruchioną zadowoleniem własnym i uśmiechniętą, czarne jak węgle utkwiała w nim oczy, Musiała nagle ją spostrzegł, a spostrzegłszy, jakby kto garścią za gardło go ścisnął, stał chwilę wpatrzony w Magdzię, ani widząc podawanej sobie blaszanki.

Aż się niby to zniecierpliwiła:

– Pijcie! – rzekła – bo upuszczę!

On zaś, podnosząc miarkę do ust:

– Na zdrowie Magdzi! – mruknął, nie wiedząc prawie co mówi, dziwnie otumaniony przypadającą mu do smaku dziewczuchą.

– Ja tam i tak zdrowa! – odcięła się, a tłumiony śmiech sąsiadów zmieszał do reszty Jakuba.

Ale się nie dał.

– Ślepemu gadać – odparł, ocierając usta rękawem, którym przelotny pokrył na twarzy rumieniec.

Tylko że to dziewczucha coś bo i zmiarkowała, ostatnich już bowiem kilku częstując gospodarzy, raz a i dwa może zwróciła do Jakuba i zalotnym błysnęła mu okiem.

Wszystko to jadącemu oto na jarmark Musiale na widok onej kępy drzew dworskich odżyło w duszy niby na jawie, a przebyte ongi wrażenia to uśmiechem, to zmarszczką na wyrazistej odbijały się twarzy.

Spory ubito już szmat drogi, ciemna smuga zamykającego horyzont lasu zbliżała się ustawicznie. Parobek, nie odebrawszy na zaczepkę odpowiedzi, gdy wzmianka nawet o ulubionej Wiśniosze rozgadać nie zdołała, dał za wygraną i nie przerywał więcej milczenia. Jakub zaś dalej tonął we wspomnieniach.

I przypominał sobie, jak to wracając ze dworu po Magdzinym poczęstunku gromada wstąpiła po drodze do karczmy, aby raz jeszcze zawarty układ oblać, a także i ów niepokój, jaki zwyczajnie ogarnia człeka po ostatecznym powzięciu doniosłych dla niego postanowień. Często z rąk do rąk podawane sobie półkwatki, poparte nie od dziś znaną gromadzie wymową, u starego Jukła arendarza z niepokojem załatwiły się na poczekaniu, a gwar i śmiechy do ogólnego dostroiły kamertonu najprzeciwiejszych nawet układowi oponentów. On jeden tylko, Musiała, w zebraniach gromadzkich i rozmowny zwyczajnie, i wesoły, „nijak do swego nie mógł przyjść humoru”. Siedział za stołem chmurny, aż i uwagę zwrócił na siebie.



– A cóżeście to, kumie, zaniemieli? – podchmielony już dobrze, z półkwarterkiem w rękę i nie bardzo na nogach pewny, zaczął go Szaspak z rogu, co to na skraju wsi mieszkał, a do wypitki zawdy był pierwszy, i w przekonaniu, że Jakuba myśl o serwitutach gnębiła.

– Czego się markocita! – jął prawić – dyć sam Jukiel powiadają, jakośwa targu dobili galantego... – Tu jednak ktoś do Szaspaka przepił, a Jakub korzystając z odwróconej uwagi kuma, wymknął się z karczmy i założywszy ręce w tylne kieszenie sukmany szedł zwolna ku wsi, zafrasowany ciężko i nieswój.

– Opętanie czy kiej licha! – mruknął, spluwając „na psa urok”.

A bo i urok chyba!... Wciąż przed oczyma migotał mu czerwony w czarne pasy wełniak pokojówki, a w uszach, „kieby zadanie”, najwyraźniej dzwoniło:

– Pijecie?... bo upuszczę!... – to znowu: – Ja tam i tak zdrowa.

Kiej licha!... ani bo się opędzic!... I strach go zbierał zabobonny. On, gospodarz „żeniany i dzietny”, nie młokos przecie żaden, i życia „nauczny”, i ludzi, ani pojąc mógł, co się z nim działo. Toćże niejedną, bywało, „swarną” napotykał dziewczuchę, a choć i nie podarował żadnej, to ino tak ode zwyczaju, pośmieć się lubił i zagadać, i poswywolić.

– A zawdy, co i z oczu, to i z myśli.

Do Marysi swojej, choć niemłodej już, a pracą steranej niewiasty, z którą tyle się lat w zgodzie i pokoju przeżyło, z nawyknienia samego szczerze był przywiązany i ani mu teraz w głowie nie powstało latać za spódnicami białogłowskimi. Ku Marysi też siłą woli myśl oporną napędzał i obrazem niewiasty starał się zetrzeć sprzed oczu migotliwy wełniak czerwony. A tu wyraźnie, jakby go coś ku dworowi ciągnęło, i przystawał, i oglądał się na kępę drzew dworskich, to znowu szedł dalej, jak kołowaty.

– Ja tam i tak zdrowa – i widział, jakby je miał przed sobą, uśmiechem zza krwistych warg wychylone bieluśkie zęby dziewczuchy i połyskliwe, zalotnie wpatrzone w niego oczy Magdzine.

– A nie dajże ty mnie, Maryś, niewiasto! – zachnął się, jakby pomocy szukał i obrony przed „onym opętaniami grzysznym”, co go jak zmora dusiło.

Wszystko jednak daremnie.

– Pijecie?... bo upuszczę!... – zabrzmiało znowu w uszach, aż zniecierpliwiony:

– Tfu!... – splunął, a splunął w głos i z takim rozmachem, że parobek, będąc w przekonaniu, iż objaw zniecierpliwienia gospodarskiego silniejsze właśnie wywołało od innych pójście sań w zatokę, skwapliwie jął się tłumaczyć.

– Dyć raiłem podkuć sanice – z wielkim prawił pośpiechem – bo te psiajuchy z dostawą szwejęw drogę kieby lód wyszorowały, a choćby żabki podbić na razie. Ale bogać tam, Franciszkowa nie dali, mówili co próżny ekspens, a tera ani utrzymać sani w torze. Wio, małe!...

Musiła jednak, rad, że go tak zrozumiano, żadnym splunięciem nie poparł argumentem, aż zdziwiony milczeniem chłopak:

– Oj, źle!... handryczny musi... – zakonkludował – nie co innego!...

Zbliżano się do lasu, odległego niecałą wiorstę. Sadzoną topolami aleję dworską pozostawiono w tyle, obiedwie zaś drogi, ze wsi i dworu, wspólnym już biegły gościńcem. Jakub, wolny dziś wdowiec, ani próbował opędzać się wspomnieniom, tak energicznie zwalczanym ongi, toteż płynęły dalej swobodnie.

Błyskawicą przebiegły mu w umyśle kolejne epizody dziejów onego czasu „grzysznego” obecnie niestosownego może już tylko kochania.

Wróciwszy z karczmy do chaty, na widok krzątającej się po obejściu Marysi, na widok dziecka jedynego i matki, która go wnet wypytywać poczęła o szczegóły umowy i przebieg targu, przyganiając po swojemu, że zwykłym w chłopce starej daty kunktatorstwem, zbyt niemu wrzekomo pośpiechowi gromady, bo jak twierdziła, na zwłoce nikt nigdy jeszcze nie stracił, a co nagle, to po diable, i dziedzica niechybnie do korzystniejszej dla wsi nakłonić można było ugody. Musiała zbył na czas jakiś nurtującego w nim „opętania” i ułożywszy się do snu ze spokojnym zasypiał sumieniem.

Tylko że zaraz nazajutrz z rana, a przeznaczenie to czy dopust boży, gdy obręcz zluzowaną na kole zaniósł do kuźni, zastał w niej pokojówkę po duszę do żelazka. Ten sam miała na sobie wełniak czerwony, a na głowie czerwoną także, niedbale zarzuconą chustkę. W chustce tej kraśniejszą mu się jeszcze wydała. I znowu zalotnie błysnęła mu oczyma, i znowu bielusiętkie wyszczerzyła zęby, kiwnięciem głowy i uśmiechem odpowiadając mu na powitanie, jakby po starej z nim znajomości. I zaczęła go z miejsca:

– A to mówiłam, gospodarzu, coście chyba wyprzysięgnięci, żeście tak wczoraj nie chcieli pić i nie chcieli.

A jego znowu coś ścisnęło za gardło, poczerwieniał i zdawało mu się, że chyba nie wytrzyma, a chwyci dziewczuchę, jak stała, i zdusi szelmę albo co z przyłubienia wielkiego.

Gadali ze sobą spory kęs czasu, a gdy odchodząc od proga jeszcze odwróciła się za nim, to już nie śmiała się tylko spojrzała jakoś dziwnie, aż go od tego zimny dreszcz przebiegł, a potem znowu ogniem buchnęło, bo wyraźnie mówiły jej oczy:

– Wiem... wiem... ano, spróbujta!...

– Praktykantka musi albo i nie! – rzekł sobie w duchu i ogarnęła go nieprzemieżona chęć spróbowania.

Zawojowała go dziewczyna do reszty, wpiła mu się w duszę jak oścień i poddał się jej jak omamieniu. Rumienił się na wspomnienie, że on, gospodarz zasobny, któremu ważniejszych jeno i dochodniejszych, jak ciesiołka lub odstawy dalsze, podejmować się wypadało zarobków u dworu, za życia niewiasty jeszcze najmował się, niby ten parobczak lub wyrobnik marny, do grodzenia sztachet dworskich i płotów, byle mieć sposobność zdybania Magdzi. A wypatrzyła go zawsze i zawsze do zaczepki okazję jakąś znalazła.

I zawsze to w oczach na odejściu:

– Wiem... wiem... ano, spróbujta.

Później, to się między brackich zapisał, by co niedziela klękiwać w czasie sumy ze świecą u ołtarza, bliżej kobiet. A zajmował zawsze miejsce od chrzciel-

nicy na prawo, gdzie się zbierały dziewczuchy same; po lewej bowiem, od ambony, było miejsce zameźnych niewiast, chłopci zaś w tyle stawali; od chóru po prawej gospodarze, a parobczaki po lewej. Taki już był porządek. Pod chrzcielnicą też samą klękiwała i Magdzia. Gdy go pierwszy raz spostrzegła zbliżającego się po „Sanctus” w gronie brackich ku ołtarzowi ze świecą, zarumieniła się i uśmiechnęła. Przywykła jednak wkrótce widywać go co niedziela za sobą i zawsze, gdy szedł, odwracała ku niemu głowę nieznacznie na powitanie. A kiedy tak od „Sanctus” aż do „Baranka” co suma wpatrywał się w dziewczuchę jak w braz, o świecie zapominał i wszystkim, i ani przez myśl mu nie przeszło spojrzeć w lewo ku ambonie, gdzie w gronie starszych gospodyń modliła się niewiasta jego lub matka.

Toteż później, skaranie boże czy znowu przeznaczenie tylko, zaniemogła Maryś ciężko i „nijakiej nie było rady”, ni leki pomagały, ni zamawiania, i frasowała się Franciszkowa ciężko, do synowej przywiązana niby „rodzona”, a nawet do Częstochowy ofiarowała się pieszo, powiadając, jako dopust to był boży za jakoweś w domu przestępstwo. Jakub uląkł się powiadania tego okrutnie i na odpust wybrał się na Przemienienie Pańskie do sąsiedniej w Kazanowie parafii, i „wysłuchał” się z grzesznego kochania przykładnie, i w skrusze wielkiej szczerą przyobiecał poprawę; ale bo mu też żal było dusznie niknącej w oczach niewiasty a ratunku i pomocy dopraszającej się. Ksiądz surową wyznaczył pokutę: suszyć kazał miesiąc cały co środy i piątki, aż się matka na to suszenie krzywo patrzali, jeno że jej rzekł, jako to na uproszenie zdrowia Marysi ślubował.

I dopóki Maryś żyła, on ci ni razu w stronę dworu nawet nie spojrzął, choć go, Bóg świadkiem, siłą podrywało w te strony, ale bał się czegoś okrutnie i żony dogorywającej sromał jak dziecko. Przemógł kochanie, tylko że Maryś w połowie żniw pomarli, on zaś do dawnej wrócił nawiści.

Teraz wolny i o żeniacze przemyślał z umiłowaną dziewczuchą. Gryzło go wprawdzie czasem sumienie, że tak prędko zapomniał niewiasty, co tyle lat o dobro jego dbała, sprawiedliwą była mu żoną; cóż jednak mógł dziś poradzić? A zresztą może to i nie pomsta była, jak powiadali Franciszkowa, a przeznaczenie?

Czegóż by teraz wyrzekać się miał nawiści, za którą niby kania za dżdżem dyszał? Nikt bo mu tego dzisiaj wzbraniać nie miał prawa. I coraz częściej zachodził to ku dworowi, to w okolicach leśniczówki kręcił się, gdzie niedzielami, zwłaszcza po południu, zabiegała do ojca Magdzia. Dziewucha, jak miarkował, bodaj czy nie była mu rada. Powiadali ludzie, że latawiec, mizdrzyć się do każdego gotowa. Ot, złe języki i tyle. Cóż bo i za dziwota? każda by się, gdyby jak ona miała czym, na jej miejscu mizdrzyła. Młoda, to i swywolna, ale niechby ją pod strzechę dostał swoją, a matce oddał w opiekę, niewiasta by z niej była jak i z innej, jeno od najmilejszych milejsza.

W tajemnicy jeszcze jął tedy obsypywać Magdzię gościńcami, z każdego jarmarku coś jej przywożąc, za każdą pamiętając o niej bytnością w mieście. Dziewczyna zrazu wzdragała się niby, mówiła, że pośmiać się lubi, ale nic wię-

cej; aż gdy zaręczył, że po przyjaźni jeno za poczęstunek we dworze wywdzięczyć się pragnie. I ciągnęło się tak z pół roku, a dopiero dwie niedziele temu, gdy z Radomia kosztowny sznur bursztynów przywiózł dziewczynie, gruchnęło po wsi całej. Że już przebąkiwano o nim i o pokojówce, i do jego doszło uszu – napomknął mu o tym żartami niby Jukiel, kryć się zatem dłużej nie było powodu. Wszakci zresztą nie bałamucić pragnął dziewczuchę, lecz do ołtarza wieść, po bożemu; tak czy siak tedy, postanović coś wypadło. Tylko że mu jakoś dziwnie śmiałości w ostatniej chwili zabrakło. A nuż Magdzia wyśmieję? A nuż wzgardzi? I nie tylko o pośmiewisko chodziło mu ludzkie, lęk go zdejmował, a na czoło pot zimny występował na myśl o stracie nadziei. Toćże wtedy zdusiłoby go kochanie!...

A matka?... Ze strony Franciszkowej zaciekłego spodziewał się oporu. Do-myślał się aż nadto zamysłów jej na Kacprowę, a wiedział, że od powziętych nie odstępowała łatwo. Cóż dopiero, gdy w miejsce statecznej a posażnej niewiasty synową by jej nazwać przyszło, kogo? bez grosza wiana, na ludzkich językach obniesioną pokojówkę ze dwora!

Z chwilą więc, gdy wasąg wsuwał się pomiędzy pierwsze drzewa lasu, namarszczona twarz Musiały, niby lustro, odbijała stan duszy jego niepewnością targanej. Trwało to jednak niedługo, snadź nadzieja posiadania na schwał urodziwej niewiasty przemogła, zmarszczki bowiem ustąpiły niebawem uśmiechem rozjaśnionemu wyrazowi oblicza, i raz jeszcze, zanim mu go miał gąszcz zasłonić, rzucił okiem ku dworowi. Spojrzał za siebie i jakby go coś podniosło, zerwał się nagle, a chwytając za ramię parobka, który mimowolnie ściągnął ku sobie lejce, i wskazując mu widną jeszcze, topolami sadzona drogę:

– Wicek! – zawołał. – A kto to tam ode dwora ku lasowi idzie?

Donośne „prrrr” osadziło w miejscu już i tak szarpnięciem lejc wstrzymane konie. Wicek odwrócił się we wskazanym mu przez gospodarza kierunku, dłoń do oczu przyłożył, a popatrzwszy chwilę rzekł:

– Dyć chyba pokojówka musi dworska, Magdzia! – poczem spojrzął na Jakuba, zdziwiony trochę ciekawością jego i pytaniem.

Ale dziwił się oto więcej, gdy bowiem po udzielonym objaśnieniu, jak sądził, zgłoś gospodarzowi obojętnym, podnosił bat nad końmi, by ruszyć dalej, zabrzmiało mu w uszach:

– Stój, hyclu! – jakiego dawno już od Jakuba nie słyszał; skoro się zaś obejrzał wylekniony i zupełnie zbity z tropu, Musiała stał już na drodze przy saniach i ściągał z nich kilimek pokrywający siedzenie. Ujął następnie jeden ze złożonych na tyle wasągu worków, a przywoławszy do pomocy wciąż dziwiącego się mocno Wicka, przesunął worek na przód, ku siedzeniu, w wygodne zamieniając go oparcie.

Tu chłopak uspokoił się nieco: widocznie zdrzemnąć się zamierzał gospodarz, bo i to trafiało się w drodze, i wygodnego zapragnął oparcia. Podniósł tedy porzucony kilimek, aby go na nowo urządzonym rozpostrzeć siedzeniu, gdy znowu:

– Czekaj, bestyjo! – huknął po lesie i wstrzymało parobka, niby grom w miejscu.

Chłopakowi kilimek wypadł z ręki i już tylko w niemym osłupieniu patrzył dalej, jak Musiała, dobywszy spod worków sporą wiązkę siana, przeznaczonego na popas dla koni w Lipsku, zdarł z niej powrósł, a siano, najlepsze z broga, górne siano, na siedzeniu rozesał wszyściutko, poczem:

– A kaj masz koniczynę? – zapytał.

Złożył ją Wicek przy sobie, aby niewielki zresztą ładunek cennej paszy wciąż mieć w drodze na oku, na rozkaz jednak:

– Dawaj tu żywo!

Podał ją gospodarzowi, a ten rozrzucił koniczynę w nogach i poproszył jeszcze słomą z powrósł, i teraz dopiero worki, stanowiące siedzenie i oparcie, starannie pokrył kilimkiem.

Jak świat światem, a lat już kilka woził po nim Wicek gospodarza, nic mu się podobnego nie zdarzyło. W dalsze i bliższe drogi na słomie jeździł, i gorzej, i całymi tak sypiał nocami; żeby zaś sianem, a w dodatku i koniczyną słać siedzenie, to się chłopakowi wprost w głowie pomieścić nie mogło. Choć tedy znał mores przed gospodarzem i z niewczesnymi uwagami nierad wyrwał się przed nim, nie zdołał w osłupieniu wielkim zatrzymać w sobie gwałtem cisnącego mu się na usta pytania i:

– A lo koni?... – mruknął nieśmiało, drapiąc się w głowę.

– Głupiś! – brzmiała odpowiedź. – Nie pyskuj, rób, co każą!... nie twoja w tym głowa! – kończył Jakub łagodniej, zwrócony w stronę gościńca dworskiego.

Magdzia tymczasem minęła już szpaler topoli i szła wspólnym, nagim traktem lipskim. Postać jej rysowała się dokładnie: ciemna, kształtna sylwetka dziewczyny na połyskliwym tle śniegu odrzynała się jak rzeźbiona. Szła szybko, lekko, w długiej po kostki, z waszecia skrojonej do stanu, czarnej, watowanej salopie, na głowę miała chustkę czerwoną, końcami na plecy opadającą, dokoła szyi szczelnie związaną.

Musiała, jakby przypomniał sobie coś nagle, łakomie utkwione w Magdzi oczy zwrócił na Wicka:

– A ino mi się tłucz po zatokach! – rzekł do parobka, siedzącego na wasagu, poczem parę kroków posunął się w stronę dochodzącej pierwszych drzew dziewczyny.

– Dobra nasza!... – mruknął do siebie chłopak, któremu teraz dopiero poczęło się rozjaśniać w głowie. – Tak ci moja! – prawił w duchu. – To siano i koniczyna dla pokojówki!... a jechać to ci mam przykazane, kieby ze szkłem... patrzajta, sprawiedliwie, czego ci to ludziska nie wygadają...

Boć i Wickowi obita się o uszy pogłoska o Jakubowej dla Magdzi nawiści, ale jednym ją uchem wpuszczał, a wypuszczał drugim, tak mu na zwyczajną tylko wyglądała plotkę. Musiała, ten zasobny, wiekiem i powagą stateczny gospodarz, na którego od dziecka przywykł był chłopak z poszanowaniem spoglądać – i Magdzia? Nijakiego w tym przecie nie było pomiarkowania! A jednak, póty ludzie gadali, aż wygadali, bo któż by siano, a do tego koniczynę, marnował po próżnicy. Podrapał się tedy Wicek w głowę po raz wtóry z pewną zawziętką i zakonkludował w myśli:

– Będziewa mieni gospodynię, będziewa galantą... dziewczucha jak rzepa... ino co na to Franciszkowa rzekną... a to ci termedyje, człek by się prędzej śmierci spodziewał! – tu jednak dobiegł go wesoły chichot Magdzin, przerwał więc dalsze uwagi i obejrzał się ostrożnie.

Dziewczyna już na skraju pola, dostrzegłszy zdążającego ku niej lasem człowieka, wylękniona zwolniła kroku. Poznała jednak niebawem Jakuba i z dala witać go jęła:

Wickowi obił się o uszy wykrzyknik:

– Jak Bożię kocham, to wy, Jakubie?... a ja już jak przed zbrojcem uciekać chciałam.

– Powiadają góra z górą... a dokąd to Bóg prowadzi? – wyraźna brzmiała odpowiedź Musiały.

Zatrzymali się o kilkanaście kroków od wasągu. Teraz Wicek, mimo szczerzej chęci podsłuchania i podpatrzenia wszystkiego, widział wprawdzie i dobrze, lecz to i owo jeno mógł chwycić z ożywionej między Jakubem a Magdzą rozmowy. Ta ostatnia zwłaszcza, rozchichotana, mówiła z początku głośniej:

– Do Lipska?!... jak Bożię kocham!... i ja także... a to zdarzenie!... – wołała.

A potem:

– Na szczęt wydarłam się z trzewików...

A potem:

– Jak Bożię kocham, pożyczyla mi swoich kowalczanka...

A potem:

– Nie wierzycie?... patrzajcie!... gdzie to noga, a gdzie trzewik! – i stwierdzając słowa przykładem, uchyliła spódnicy i podniosła nogę, obutą w sznurowany trzewik i granatową, ciepłą, wełnianą pończochę, której spory kawałek uderzył oko Wicka.

– Adyc kieby toczona!... – szepnął półgłosem i westchnął.

Między Jakubem a dziewczyną rozmowa przeciągała się dalej cichsza, ale snadź sprzeczali się o coś, bo Magdzia to potrzasała głową na znak odmowy, to znaczące, przeciągłe wybiegało jej z ust:

– Eeee!...

Parę razy spojrziała w stronę wasągu, jakby wskazując wzrokiem Wicka. Potem odskoczyła w bok ku lasowi. I przekomarzali się znowu, aż ją na wpół niby to przekonaną chwycił Musiały za rękę i ku saniom prowadził, ona zaś raz już tylko, opierając mu się jeszcze, tuż przy wasągu powtórzyła przyciszonym głosem:

– Eeee!... sprawiedliwie, Jakubie!... – poczem nagle, jakby jakiemuś postanowieniu posłuszna, szybko do sani wskoczyła, a zajmwszy miejsce na usłanym przed chwilą wygodnie siedzeniu, lękliwie rzuciła okiem dokoła i chustkę z głowy na twarz zsunęła.

Tu spostrzeżenia Wicka doniosły przerwał rozkaz:

– Jedź!... – i wiele obiecująca uwaga: – A ino mi po zatokach hulaj, smyku!...

Chłopak świsnął batem i ruszyli.



Jan Stępień – Autoportret artysty



Jan Stępień, *Bzy*, 1943, Muzeum we Włocławku



Jan Stepien, *Dwór na wsi*, 1965, Muzeum we Włocławku



Jan Stepien, *Chalupy przy wiejskiej drodze*, 1962





Jan Stępień, *Pejzaż z wróblami*, 1967, Muzeum we Włocławku



Jan Stępień, *Dzień targowy*, 1965, Muzeum we Włocławku

# Policzna



Budynek Urzędu Gminy w Policznej

Policzna – gmina wiejska,  
powierzchnia 112,50 km<sup>2</sup>, 33 wsie,  
6129 mieszkańców.

Część gminy znajduje się  
w otulinie Kozienickiego Parku  
Krajobrazowego. Największą  
powierzchnię zajmuje uprawa  
zbóż i ziemniaków.  
Rozwinięty chów trzody chlewnej.  
Główna atrakcja turystyczna –  
dwór w Czarnolesie.

Wójt Gminy: Stanisław Pająk  
Urząd Gminy w Policznej,  
ul. Bolesława Prusa 11,  
26-720 Policzna,  
tel.: (048) 677 00 39.  
e-mail: [policzna@policzna.ugm.pl](mailto:policzna@policzna.ugm.pl),  
[www.policzna.ugm.pl](http://www.policzna.ugm.pl)

# Czarnolas

Muzeum Jana Kochanowskiego



Czarnolas – wieś oddalona 14 km na północny wschód od Zwolenia,  
370 mieszkańców. W połowie XVI w. Jan Kochanowski stał się  
właścicielem połowy Czarnolasu. Tutaj też mieści się muzeum  
poświęcone poecie. W Czarnolesie, Sycynie i Zwoleniu każdego roku  
w czerwcu organizowane są Dni Jana Kochanowskiego.

## 6. Wokół malarstwa Jana Stępnia

Jan Stępień urodził się 28 stycznia 1895 r. w Policznie, na ziemi zwolen-skiej, w rodzinie Józefa i Anieli z domu Suchockiej.

Uzdolnienia plastyczne chłopca zwróciły uwagę Stanisława Targowskiego, administratora majątku hr. Przeździeckich w Policznie i jego żony Wandy z Czarneckich, która w latach 1892–1908 zorganizowała tu dla dzieci wiejskich tajne nauczanie pod osłoną nauki tkactwa w Warsztatach Tkackich, na prowa-dzenie których uzyskała pozwolenie władz carskich. Od 1892 r. na terenie gmi-ny Policzna nie działała żadna szkoła. Dopiero w 1908 r., z inicjatywy Pani Wandy Targowskiej, została założona prywatna szkoła początkowa, która dzia-łała od 1914 r.

Dzięki opiece państwa Targowskich Jan Stępień zdobył wykształcenie pod-stawowe i na koszt swych opiekunów został wysłany w 1913 r. do c.k. Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem (późniejsza szkoła Kenara), którą w tym czasie kierował Stanisław Barabasza, a jednym z nauczycieli był Władysław Sko-czylas.

Wybuch I wojny światowej uniemożliwił mu dalszą naukę. Wobec groźby wcielenia do armii rosyjskiej 19-letni Jan Stępień wstąpił, jako ochotnik, do Legionu Puławskiego. Brał udział w walkach na ziemi kieleckiej. W bitwie pod Pakosławiem w maju 1915 r. został ciężko ranny. W szpitalu w Moskwie prze-szedł długi okres rekonwalescencji. Wykorzystał ten czas na naukę malarstwa w Szkole Rysunku Reberga.

W 1918 r. wrócił do kraju jako żołnierz korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego. Po rozwiązaniu korpusu Jan Stępień rozpoczął studia w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, prowadzonej przez Miłosza Kotarbińskiego i Stanisława Lent-za. Już wtedy pierwsze swe prace prezentował na wystawach Towarzystwa Za-chęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Naukę przerwała wojna.

W 1920 r. Jan Stępień jako kawalerzysta 3 Pułku Ułanów, w stopniu kaprała walczył na północ od Warszawy.

Po zakończeniu działań wojennych, dzięki pomocy finansowej państwa Targowskich, począwszy od roku akademickiego 1920/21 Jan Stępień studiował w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Malarstwa uczyli go profesorowie: Jacek Malczewski, Wojciech Weiss i Ignacy Pieńkowski, a rzeźby Xawery Du-nikowski. Był studentem wyróżniającym się. Studia ukończył w 1925 r. W tym też roku ożenił się z Janiną Zarzycką, nauczycielką uczącą w Policznie. Razem z żoną mieszkał w Policznie do 1928 r. Utrzymywał się z malarstwa sztalugo-wego. Malował portrety i sceny rodzajowe, a szczególnie konie. Obrazy jego podobały się, kupowali je chętnie okoliczni ziemianie. Zamówienia na obrazy otrzymywał nawet z odległych od Policzny stron. Zaproszony przez właściciela majątku Brzezcie, barona Kronenberga, wyjechał na Kujawy.

W 1928 r. Jan Stepień zamieszkał z rodziną we Włocławku. Tu urodziły się jego dzieci: syn Jerzy i córka Krystyna.

We Włocławku artysta otrzymał wiele zamówień. Pracował przy usuwaniu zniszczeń polichromii w katedrze, powstałych po ostrzale miasta w 1920 r. Samodzielnie wykonał polichromie kościołów w Kruszynie, Zakrzowie i w kościele klasztorным oo. Reformatów we Włocławku, dla którego wykonał obraz „Ukrzyżowanie” do głównego ołtarza. Projektował ołtarze i wykonywał do nich rzeźby m.in. w Lubieniu. Nauczał rysunku w Seminarium Duchownym. Prowadził budowę domków jednorodzinnych, a przede wszystkim uprawiał malarstwo sztalugowe. Tematyką jego prac w tym okresie były sceny rodzajowe, batalistyczne, rzadziej pejzaże czy martwa natura. Wtedy powstał m.in. olejny obraz przedstawiający konny zaprzęg artylerii pułkowej, stanowiący cenny dokument nieistniejącej już formacji wojskowej oraz portret kpt. Kosińskiego. Malowane wówczas duże tableau, zawierające sceny z działań wojennych miejscowego 14 Pułku Piechoty, zostało zniszczone w czasie wojny. Artysta malował portrety przedstawicieli palestry i ziemiaństwa. Zachował się z tego okresu portret biskupa Rodańskiego. Jan Stepień eksponował swoje prace na lokalnych wystawach, wysyłał na wystawy Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

W czasie II wojny światowej, nie mogąc utrzymać się z malarstwa, pracował jako rzeźbiarz w zakładzie kamieniarsko-rzeźbiarskim, a następnie w brygadzie budowlanej.

Zakończenie wojny w 1945 r. otworzyło kolejny etap w twórczości malarza. Przenosił na płótno sceny z lat okupacji, zanotowane w szkicownikach. Powstały obrazy: „Z bohaterskich walk w 1939 r.”, „Przemarsz przez Przedecz”, „Likwidacja Grzywna”, „Egzekucja”, „Prowadzenie Żydów do getta”, „Partyzanci w lesie”, „Hubalczyki i gajowy”, „Ranny partyzant Hubala”, „Czołówka AK”, „Odpooczywający podjazd w lesie”, „Powrót z podjazdu”, „Partyzanci”, „Pomoc partyzancka”, „Spotkanie” (2 obrazy), „Pomoc bratnia na polu bitewnym”, „Bitwa w lasach janowskich”, „Wyzwolenie Włocławka”, „Zdobycie Bydgoszczy” i inne.

W 1945 r. był współorganizatorem pierwszej po wyzwoleniu wystawy malarstwa we włocławskim Domu Kultury. Był jednym z pierwszych członków „Grupy Kujawskiej” ZPAP. Po roku 1950 brał udział prawie we wszystkich wystawach organizowanych przez Muzeum Kujawskie, które także zorganizowało cztery indywidualne wystawy jego prac. W 1964 i w 1970 roku prace Jana Stepienia wystawiane były w Bydgoszczy. Prezentował także swe prace na wystawach ogólnopolskich, m.in. w Warszawie i w 1951 r. na ziemi rodzinnej w Radomiu oraz zagranicznych (Kopenhaga 1960 r.).

Jan Stepień należał do malarzy rejestrujących aktualne i historyczne zdarzenia zawsze w konwencji realistycznej. Jego sceny rodzajowe, portrety czy pejzaże osadzone są w konkretnej rzeczywistości bez jakiegokolwiek idealizacji. Szczególnie bliski był mu krajobraz wsi. Obrazy o tej tematyce przypominały artyście lata dzieciństwa i młodości spędzone w Policznie. Nadal wykonywał polichromie w kościołach w Godzieszowicach, Psarach k. Kalisza, przy

ul. Leśnej we Włocławku. Z dużym zamiłowaniem rysował i malował pejzaże z relikami dawnej architektury („Dorożkarze Włocławscy”, „Domek robotniczy”, „Kościółek zabytkowy”, „Malbork”, „Malbork nad Nogatem”, „Malbork – brama św. Mikołaja”, „Rynek jesienią we Włocławku”, „Jelenia Góra w 1946 r.”, „Zima w Karpaczu”, „W Karpaczu – wiosna”, „Zabytkowa oficyna jesienią k. Wiślicy”, „Młyn zabytkowy”, „Stogi nad strumykiem”, „Stogi w Dziadowie”, „Zagroda w Dziadowie”, „Wiatrak o zachodzie” i wiele innych), a także martwe natury – owoce, bukiety kwiatów, trofea myśliwskie, obrazy animalistyczne. Wszystkie one zachwycają nie tylko efektami artystycznymi – kolorem, światłościem, ale przede wszystkim solidnymi studiami natury.

Najbardziej znane obrazy Jana Stępnia to sceny rodzajowe i batalistyczne. Wojenną tematykę rozpatrywał również w aspekcie historycznym. W związku z 100 rocznicą Powstania Styczniowego wykonał cykl prac poświęconych walkom narodowowyzwoleńczym 1863 r.

W 1958 r. otrzymał wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie poświęconym Wojsku Polskiemu. W 1976 r. został odznaczony srebrnym medalem za zasługi dla obronności kraju.

Z przykrością należy stwierdzić, że prace Jana Stępnia w jego rodzinnych stronach są nieznane. Powinniśmy szczyć się artystą znanym w kraju i poza nim.

Zmarł 11 listopada 1976 r. Został pochowany w Warszawie na cmentarzu służewskim.

*(oprac. Eugenia Januszewicz)*

## 7. Ojczysta liryka Bolesława Leśmiana – między Iłżą a wielkim światem

Iłża była niewielkim, ale znaczącym przystankiem na trasie poetyckiej wędrowki Bolesława Leśmiana. To tutaj rozpoczął się jego związek, najpierw z Celiną Sunderlandówną, później z Teodorą Lebenthal. Tu powstały strofy „Malinowego chruśniaku”, poezji której nie byłoby bez miłosnych uniesień, krajobrazów z basztą w tle, łąk i sadów nad Iłżanką.

Poeta miał już poza sobą doświadczenia literackie i życiowe zakręty. Był żonaty z Zofią Chylińską, utalentowaną malarką, z którą miał dwie córki. Latem 1917 roku bez żony i córek, za to w towarzystwie Celine Sunderlandówny przyjechał do Iłży. Miasto było zniszczone po bitwie sprzed dwóch lat, jednak dom Sunderlandów ocalał. W ogrodzie poeta często przesiadywał w altance, spacerował po zamkowym wzgórzu. Ruiny zamku przypominały czasy jego świetności, gdy w XII i XIII wieku należały do biskupów krakowskich. Na wzgórzu zamkowym rosły lipy i kasztanowce. Poeta lubił wędrowki polami pod miastem i malowniczymi wąwozami.

Dom Sunderlandów wybudowany niemal na nowo po pożarze w 1903 roku stał i stoi nadal na zboczu wzgórza zamkowego. Kiedy bywał tu Leśmian, opowieści o jego wizycie u ciotki Gustawy, o romansie, najpierw z Celiną, później z Dorą zachowały się we wspomnieniach mieszkańców Iłży, zbieranych skrzętnie przez Adama Bednarczyka, dziejopisa Iłży.

Poza tym jednym, określonym datą, pobycie wakacyjnym, gdy Bolesław poznał Dorę, nie da się dokładnie umiejscowić w czasie innych jego przyjazdów. Pewnym jest, że bywał u Sunderlandów przed pierwszą wojną światową, w czasie wojny, zaraz po wojnie. Przyjeżdżał też do Iłży na początku lat dwudziestych. Spędził tu niejedno lato.

Nieprzerwanie od 1987 roku odbywają się w Iłży Dni Leśmianowskie. Kult Leśmiana spowodował, że w słoneczne majowe dni młodzi recytują tu wiersze, śpiewają piosenki, z odległych czasów przywołują obraz poety. Duch poety powraca tam, gdzie „obok jabłoni – przypadkowa sosna swe igły w bładym zanurza błękicie”. Jak niewiele jednak zostało w Iłży po Bolesławie Leśmianie – dom Sunderlandów przy ulicy Podzamcze, altana, malinowy chruśniak. W mieszkaniu Adama Bednarczyka wśród najcenniejszych pamiątek na szafie z książkami duży, olejny portret – półakt Dory, namalowany przez Celinę Sunderland w 1917 roku. Dora spędzała wiele godzin pozując przyjaciółce, co nie wzbudzało zachwytu Leśmiana, który uważał ten czas za bezpowrotnie stracony i skradziony im obojgu.

Jarosław Marek Rymkiewicz, tak pisał o związkach poety z Iłżą: „Można nawet przypuszczać, że iłżański ogród, w którym Dora i jej poeta zrywali maliny

z czasem znajdzie się między wileńską całą Konrada z krzemieniecką Górą Bony i stanie się – jednym z kilku Świętych miejsc poezji polskiej”.

W 1933 roku powołano Polską Akademię Literatury. Leśmian został wybrany do Akademii w drugiej kolejności przez jej siedmiu mianowanych członków. Wybór Leśmiana przyspieszył przeprowadzkę jego i jego rodziny do Warszawy.

Bolesław Leśmian zmarł 5 XI 1937 r.

Wacław Grubiński w „Kurierze Warszawskim” donosił „Umarł Bolesław Leśmian. Niespodzianie, przedwcześnie zszedł z tego świata poeta znakomity, artysta wielkiej miary, człowiek zacny. Przed rokiem wydał ostatni tom swoich przedziwnych poezji, obecnie przygotował nową książkę, i oto ku przerażeniu tych, którzy go otaczali, jest porwany z grona żywych i przeniesiony w nieśmiertelność. Między nami pozostaje w swoim dziele jako nie gasnąca gwiazda liryki polskiej”.

Leśmian został pochowany na warszawskich Powązkach.

Twórczość Bolesława Leśmiana to szczytowe osiągnięcie europejskiego symbolizmu. Poeta debiutował w okresie Młodej Polski. Najwybitniejsze zbiory jego poezji to „Łąka” i „Napój cienisty”. Leśmian uważany jest za najbardziej „filozoficznego” poetę polskiego w XX wieku. Styl Leśmiana charakteryzuje się ornamentacyjnym bogactwem słów, urzeka jednocześnie prostotą, mądrością światopoglądowych sformułowań, ale nie są to sentencje czy aforyzmy. Ich znaczenie jest znacznie głębsze. Leśmian stworzył własny, fantastyczny świat, szukając wzorów w pradawnej wyobraźni ludowej, mitach i baśniach.

*(opr. Jerzy Madejski)*

# Wybrane liryki

## \*\*\* W malinowym chruśniaku

W malinowym chruśniaku, przed ciekawych wzrokiem  
Zapodziani po głowy, przez długie godziny  
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.  
Palce miałaś na oślep skrwawione ich sokiem.

Bąk złośnik huczał basem, jakby straszył kwiaty,  
Rdzawe guzy na słońcu wygrzewał liść chory,  
Złachmaniałych pajęczyn skrzyły się wisiorzy,  
I siedł tyłem na grzbiecie jakis żuk kosmaty.

Duszno było od malin, któreś, szepcząc, rwała,  
A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich woni,  
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni  
Owoce, przepojone wonią twego ciała.

I stały się maliny narzędziem pieśnyczoty  
Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całym niebie  
Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie,  
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dziwoty.

I nie wiem, jak się stało, w którym okamgnieniu,  
Żeś dotknęła mi wargą spoconego czoła,  
Porwałem twoje dłonie – oddałaś w skupieniu  
A chruśniak malinowy trwał wciąż dookoła.

## Ballada o dumnym rycerzu

Śpi owo rycerz, śpi bezrozumnie  
I raz na zawsze – w dębowej trumnie.

Leży wygodnie, bo się ułożył.  
Tak aby nigdy snu nie zatrwodził...

Jego kochanka z różańcem w ręku  
Zawodzi pełna skargi i jęku:

»Przyszłam ci wyznać moje niemoce,  
Że nie wiem, jak tam spędzasz swe noce?...



Bo odkąd w ciemnym nocujesz grobie –  
Ani ty przy mnie – ni ja przy tobie!

Kochałam oczy i usta twoje,  
Wczoraj kochałam, dzisiaj się boję!

Boję się szatą w mrok zaszeleścić,  
Boję się w myśli ciebie popieścić!...

Trzy dni się w myśli twój czar promienił,  
Dziś nie wiem, ile grób cię odmienił...

Ani mi z tobą łoża podzielić,  
Ani urodą swoją weselić –

Darmo przymuszam uparte ciało,  
By się twym oczom podobać chciało!

Przy tobie martwym – ja nieszczęśliwa  
Wstydę się jeno, żem jeszcze żywa!...«

Rozważył rycerz, że w słowach – zdrada,  
I po dawnemu leżąc, powiada:

»Choć mi robaki oczy wyżarły –  
Nie wstyd mi tego, żem już podziemny!...

Taką mam sytość i przepych w próżni,  
Że mnie od króla Bóg nie odróżni!

Taka noc błysła nad życia zbiegiem,  
Że mu świat cały – jednym noclegiem!

Ani mi słońca, ani mi nieba,  
Ani miłości twojej potrzeba!

Ani mi zemsty w onej ustroni,  
Gdzie krew nie szemrze i miecz nie dzwoni!

Nie znasz ty dumy, nie znasz pogardy  
Tych, którzy w ziemi posnęli twardej...

W piersi ich – wielka ciszy potęga  
I żaden zawód ich nie dosięga!

I nawet z resztek zsiniałej wargi  
Nie wydobędziesz jęku ni skargi!

Oto w pobliżu mam ja sąsiada,  
Co już od serca w proch się rozpada.

Ten ci jest śmiercią ode mnie starszy –  
I śpi, na zmijach głowę oparłszy.

Lecz co przecierpiał i co zobaczył –  
Nawet półszepcem wyrzec nie raczył!

Nie ulżył jękiem niemej żałobie,  
Nie wyznał nigdy, co przeżył w grobie!...

A wszak ci w trupach taka moc bywa,  
Że trup i w grobie wiele przeżywa!

Lecz Bogu chyba w dzień zmartwychwstania  
W twarz rzuci wzdargę swego wyznania!«

I zamilkł rycerz – dumnie i godnie –  
I po dawnemu leżał wygodnie.

Jego kochanka z różańcem w ręku  
Odeszła, pełna wstydu i lęku...

### **Biedny Ktoś, smutny Nikt**

Ktoś ma dziś serce chore  
W tę zimną, mroźną porę  
Dyga spłoszona świeca  
Wicher dmucha do pieca  
Dmucha do pieca

Jęczy, płacze w kominie  
Ten, co ma Nikt na imię  
Ktoś jest zły, gdy Ktoś ma dosyć  
A Nikt płacze po nocy

Płacze po nocy  
Źle komuś, źle nikomu  
W przestrzeni i w domu  
Nikt gra na smętnym flecie  
I myśli o taszkiecie  
O taszkiecie

Ten, co chce zostać nikim  
Słucha jego muzyki  
Słucha, potrząsa głową  
Odkłada broń gotową  
Broń gotową

### **Dla legendy**

Często wróżbiarz, co własnej nie wywróżył doli,  
Nagłym skokiem na trwogę i bladością czoła  
Skupia widzów, krwi żądnych, i szerzy dokoła  
Postrach, nie pozbawiony grozy i swawoli!

Cały w znakach piorunnych i piętnach zagłady  
Przed oczyma ciekawych obnaża sam siebie –  
I nagi aż do nieba, bezwstydy i blady  
Czuje się bohaterem, jak trup na pogrzebie!

Aktor, godny za widza mieć boga w niebiosach,  
Choć sam wpada w wytrawne swoich guseł szpony –  
Marząc skrycie o rajskich zaciszach i rosach,  
Z uśmiechem wyczekuje ostatniej zasłony!...

Bo wie, że gdy na śmierci niebotycznych szczudłach  
Przeskoczy ziemskich źródeł zwierciadła i kwiaty,  
Pozostawi legendę, odbitą w tych źródłach,  
O straszliwym rycerzu, co niegdyś, przed laty...

Tak! – dla niej, dla niepewnej, dla swojej dalekiej,  
Że go może przygarnie – wiernego przybłądę –  
Nie szczędzi niecnych trudów i dziwnej opieki,  
I krew mężnie przelewa – za baśń, za legendę!

Bo ta siostra wieczności, kwiaciarka wspomnienia,  
Gdy go w gmachu zaklętym na śmierć ukołyszę,  
Obdarzając istnieniem z dala od istnienia,  
Da mu w jednym napoju – i tryumf i ciszę.

A zdzierając zeń ziemską powłokę obłudy  
I zdobiąc pierś rycerskim złotem i żelazem,  
Na ów cud go pasuje, ażeby zarazem  
I był sobą i nie był!... O, cudzie nad cudy!

I kiedyś czyjeś usta, zbudzone ku wiośnie,  
Szepną o nim na pamięć choćby jedno słowo  
Lub przyśgiew nieodparty, lub gwiezdną przenośnię  
Która duszę z wszechświatem spokrewnią na nowo!..

## **Dzień skrzydlaty**

Rozwidniły się w słońcu dwie otchłanie – dwa światy –  
Myśmy byli – w obydwu...A dzień nastał skrzydlaty.

Nikt nie umarł w dniu owym – nie zataił się w cieniu...  
I pamiętam, żem myślał o najdalszym strumieniu

Nie mówiłaś nic do mnie, lecz odgadłem twe słowa.  
A on – zjawił się nagle... Zaszumiała dąbrowa.

Taki – drobny i nikły... I miał – ciernie na skroni.  
I ukłękliśmy razem – w pierwszej z brzegu ustroni.

W pierwszej z brzegu ustroni – w pierwszej kwiatów powodzi.  
I zdziwiło nas bardzo, że tak biednie przychodzi.

Ubożeliśmy chętnie – my i nasze zdziwienie...  
A on – patrzył i patrzył... Cudaczniało istnienie...

Zrozumieliśmy wszystko! – I że właśnie tak trzeba!  
I że można – bez szczęścia... I że można – bez nieba...

Tylko drobniec i maleć od nadmiaru kochania.  
A to była – odpowiedź, i nie było – pytania.

I już odtąd na zawsze przemilczeliśmy siebie.  
A świat znów się stał – światem...i czas płynął po niebie.

I chwyciłaś źdźbło czasu, by potrzymać je – w dłoni,  
A on – patrzył i patrzył... I miał – ciernie na skroni.

## Epilog

Bracie, smutny mój bracie! Ty, co słyszysz wiecznie  
Echa własnych odjazdów ku krańcom istnienia,  
Ty, co duszę stworzoną od Bożego tchnienia,  
Chcesz tchnąć dalej – w głąb marzeń, płonących słonecznie,

Gdy skroń twą melancholii pustelnicza cnota  
Przykuje do szyb zimnych samotnej komnaty,  
Pij truciznę mej pieśni, cenniejszą od złota,  
Pieniącą się obłędem wonnym, niby kwiaty!

Dusza twoja w tym życiu, jak księżyc w jeziorze,  
Odbiła się, na mgnienie rozjaśniając fale,  
Jutro księżyc odpłynie w niewiadome dale,  
Jezioro spustoszeje i ciemność je zmoże!...

Odwróć oczy od niego! Spójrz na gwiazdne szlaki,  
Którymi iść masz dłużej, niżeli po świetle!  
Pij truciznę mej pieśni i w tajemne znaki  
Swych przeczuć wglądaj zawsze ufny, jako dziecię!

A oto przykazanie daję ci w żałobie  
Z moich marzeń Synaju, gdzie ukryty płonę:  
Czyń tak zawsze i dumaj, jak gdyby ku tobie  
Oczy wszystkich umarłych były wciąż zwrócone!

## Ideały

Kształt jest najwyższym naszym ideałem,  
W nim chcemy zmieścić wszechświat symetrycznie;  
Duch w naszych myślach także stał się ciałem,  
W cudowną formę zmieniony magicznie...  
Iecz ideały czuć, niżone gwałtem,  
Tylko w marzeniach pierwowzorem wskrzesną!  
Posąg jest wtedy najpiękniejszym kształtem,  
Gdy każda linia jego bezcielesną!  
Oto największa niedorzeczność życia,  
Spełniona bogów dziwnym przekroczeniem:  
Myśl się nie mieści w naszych form powicia,  
A kształty bledną przed cudnym marzeniem!  
Był człowiek jeden, co ludzi rozumiał  
I duszę za nich oddał na męczeństwo:  
Pojął moc serca i oto się zdumiał,  
Gdy zoczył w sercu boga podobieństwo!

O, tak! my bogi lub raczej półbogi,  
Półbogi w życiu, bogi – w ideale,  
Dwie nam są losów wyznaczone drogi:  
Sługi i pana, co włada wspaniale!  
Niech zrozumieją nędznej ziemi syny  
Tej smutnej bajki niepojęty wątek,  
Że nawet niebo ma swe narodziny,  
Że nawet bogi mają swój początek!  
My chcemy ująć myśli w słów kajdany  
I przelać w formę swych marzeń tajniki,  
By zmysłom obraz nieba dać nieznany  
Lub swej potędze postawić pomniki!...  
Ale są myśli, ale są uczucia,  
Dla których nie ma kształtu ni wyrazu,  
Dla których słowo jest kroplą otrucia  
I które nikną w objęciach obrazu!...  
Są takie prawdy najwyższe i święte,  
W krąg otoczone tajemnic krainą,  
Które, jakoby we dźwięki zakłęte,  
Tylko melodią gdzieś – w bezmiary płyną!...  
I nieraz sobie, słysząc grę, wymarzę  
Jakiś świat inny na cichym błękicie  
I w tym spokojnym, cudownym obszarze  
Pełne melodii, pełne dźwięków życie!...  
Gdybym dosięgnął takiego istnienia,  
Co się za grobem może ucieleśni,  
Wtenczas by moje skrzydlate marzenia  
Żądały więcej niż dźwięku i pieśni!...  
O! czemu, czemu ja nie jestem w stanic  
Tylko marzeniem i żyć, i odczuwać!  
Czemu ja muszę spoglądać w otchłanie  
I życie Boga sam w sobie zatruwać!  
Czy mi nie dosyć, że prawda nade mną  
Swoją bezwzględną jaśnieje budową?  
Czemuż ją zowie fałszywą i ciemną,  
Póki jej w ciasne nie zasklepię słowo?  
I całe wieki w łzach i trudzie płyną,  
Żeby ten wyraz odnaleźć ukryty;  
Żadną mi wieczność nie błysnie godziną  
I jestem sługą: bóg we mnie zabity!  
I cóż mi po tym, że mię słońce wlecze  
W swoje złociste i promienne dale!  
Czyż warto wiecznie we krwi broczyć miecze,  
By za potęgę walczyć w ideale?

## Karczma

Między niebem a piekłem, wśród słynnych bezdroży,  
Które lotem starannie pomija duch boży,  
Stoi karczma, gdzie widma umarłych opojów  
Święcą tryumf swych szałów pijackich i znojów.  
Skąpiec, co mrąc, ostatnie połknął ametysty,  
Znajdzie tu za dwa grosze nocleg wiekuisty –  
I zbrodniarz, co w błysk noża zachował swą wiarę,  
Zdoła tutaj niejedną nadybać ofiarę –  
I nierządnicą, sennym wabiącą pachnidłem,  
Brwi nabytym w tej karczmie barwi błękitnidłem,  
By się mizdrzyć do cieniów jakiegoś tłuszciocha,  
Co po śmierci w tych `barwach lubieżnie się kocha.  
I są w karczmie grajkowie, stłoczeni w kapełę,  
Co dbają o płas cieniów i o ich wesele,  
A grają im takiego szczekacza-brzękacza,  
Że karczma z tancerzami w otchłań się zatacza,  
I przyzbą przytupując, wstrząsa tłum ich dziki,  
Aż im w ślepiach migają te krwawe świerszczyki!  
Jedna tylko za piecem ukryta starucha,  
Mać pięciorga wisielców – tej wrzawy nie słucha  
I pośmiertnie skulona, śni sobie po cichu  
Cuda pierwszej miłości, spełnionej na strychu,  
I zawzięcie słodkiemu oddana wspomnieniu,  
Gra polkę-wytrzykątą na rdzawym grzebieniu.

## Kleopatra

W budynkach, na schron dziwom skleconych naprędcę,  
Ludzie z wosku w pośmiertnym zastygli nieładzie.  
Cisza, równa liczebnie tych milczków gromadzie,  
Skupia się w byle słońca zdrobniałego cętcę.

Tkwią te ciała o woni zagrzanej gromnicy  
Na cokołach, opiętych purpurowym sukniem,  
Co jak mundur odświętny sztywnej tajemnicy,  
Zdradza pychę nicości każdym niemal włóknem.

Żądni mąk swych pokazu ci ludzie, jak mary,  
Powtarzają bez końca zwyczajem pokuty  
Zbrodnię, raz popełnioną, lub cud nie do wiary,  
Co ich wyzuł z istnienia, sam z śmierci wyzuty.

Na jaw z grobu dobyci próbują swej siły  
W przybytku, który w słońca kąpie się kurzawie,  
Jak szpital zmartwychwstałych, zwiedzany ciekawie  
Przez tych, co nie zdołali zmóc jeszcze mogiły.

Korzystając z zachwianej przez żywych podłogi,  
Pożyczonym ku życiu mocują się ruchem,  
Strasząc dzieci obładłe i radując bogi,  
Które bawią się wszelkim złudzenia okruczem.

Wśród nich pięknem jaśniej Egiptu królowa,  
Oszklona arką dosyć dla cudów przescworną.  
Piersi zdobne ma raną jak wiśnią potworną,  
W dłoni – kosz pełen kwiatów, w kwiatkach wąż się chowa.

Ilekróć słodkim jadem wąż jej pierś oślini,  
Tylekróć oczy zmarłej znów się w świat odsonia,  
Jak gdyby upojnego konania mistrzyni  
Łeb śmierci oswojonej pieściła swą dłonią.

Śmierć się łąsi do stóp jej, niby wierna służka,  
Baczna na lada szeptu i lada skinienia,  
I jej oczu śmiertelna w nieskończoność zmrużka  
Jest tym tylko, czym dla nas chwila zamyślenia.

Kocham to ciało chore, co tai w zadumie  
Czar tysiąca zmartwychwstań i śmierci tysiąca  
I wie jeszcze coś więcej, niżli wiedzieć umie  
Duch, co tylko raz jeden o śmierć się roztrąca.

Kocham dłoń, do wężowej nawykłą pieśzczoty,  
Paznokcie, zabarwione wypłowiłym różem,  
Piersi, nigdy niesyte swej własnej zniszczoty,  
I dwa zęby u wargi, pokalancj kurzem.

Kocham pozór oddechu, co łamie pierś białą,  
Szat, zużytych na cuda, postrzępione kraje –  
I nie wiem, czybym pieścił skwapliwiej to ciało  
W chwili, kiedy umiera, czy też – zmartwychwstaje.



## Lubię szeptać Ci słowa

Lubię szeptać ci słowa, które nic nie znaczą –  
Prócz tego, że się garną do twego uśmiechu,  
Pewne, że się twym ustom do cna wytłumaczą –  
I nie wstydzą się swego mętu i pośpiechu.  
Bezładne się w tych słowach niecierpliwą wieści –  
A ja czekam, ciekawy ich poza mną trwania,  
Aż je sama powiążesz i ułożysz w zdania,  
I brzmieniem głosu dodasz znaczenia i treści...  
Skoro je swoją wargą wyszepczesz ku wiośnie –  
Stają mi się tak jasne, niby rozkwit wrzосу –  
I rozumiem je nagle, gdy giną radośnie  
W śpiewnych falach twojego, co mnie kocha, głosu.

## Ludzie

Szli tedy ludzie biedni, prości –  
Bez przeznaczenia, bez przyszłości,  
Widziałem ich, słyszałem ich!...  
Szli niepotrzebni, nieprzytomni –  
Kto ich zobaczy – ten zapomni.  
Widziałem ich, słyszałem ich!...  
Szli ubogiego brzegiem cienia -  
I nikt nie stwierdził ich istnienia.  
Widziałem ich, słyszałem ich!...  
Śpiewali skargę byle jaką  
I umierali jako tako...  
Widziałem ich, słyszałem ich!...  
Już ich nie widzę i nie słyszę –  
Lubię trwającą po nich ciszę.  
Widziałem ją, słyszałem ją!...

## Modlitwa

Za młodych lat szeptałem żarliwie i skrycie  
Modlitwę o wydarzeń tragicznych przeżycie –  
O łzę, która się w oczach rosiście przechowa  
Na pokarm dla mgieł nocnych i na treść – dla słowa.

I nastał dzień, co zgrozą poraził mi duszę –  
I musiałem go przeżyć... On wiedział, że muszę...  
A już stało za drzwiami to Złe, co niweczy  
Szumy mego ogrodu nad gęstwą wszechrzeczy.

Zasłuchany boleśnie w lada szmer na dworze –  
Nie wiem, kto w drzwi zapuka? Kto jeszcze przyjść może?  
I ze trwogą wspominam, sny tłumiąc bezsterne.  
Nieogłędnej modlitwy słowa łatwowieerne.

## **Mroźny ranek**

Mroźny ranek... Złota słońca głowa  
Śni o zimy srebrzystym aniele.  
Błękitnieje śniegu toń perłowa,  
Niby duchów pradawnych pościele...  
W wonnym śniegu wiją się zawrotne  
Ślady sanek, zniknionych w mgieł fali –  
Sanki znikły jak wichry przelotne,  
Lecz ślad został – ślad ich snów zawiał!  
Pół snu swego w śniegu zostawiły,  
A pół drugie poniosły gdzieś dalej!...

Ja – samotnik wzruszony i blady,  
Skróń do szyby przyciskam przezroczej –  
I na sanek przeminionych ślady  
Rzucam swoją zadumę i oczy...  
Myślą po nich błędę w mgieł tumany  
I sam siebie pytam zadumany:  
Czyje sanki w tak szalonym biegu,  
Tak wariacko wiał się po śniegu?  
Chciałbym z tobą o tej porze właśnie  
Siąść do wichrem opętanych sani –  
Wić się razem po śniegów otchłani.  
Jak dwie z śniegu wywołane baśnie!  
Chciałbym widzieć, jak wicher szalenięc  
Szcypie ust twych różę odemkniętą,  
Jak mróz różdżką wywabia zakłęta  
Koralowy na lice rumieniec!  
Chciałbym jeszcze, by w drodze zawiałej  
Sanie nasze, ryjąc ślad z opali,  
Pół snu swego w śniegu zostawiły.  
A pół drugie poniosły gdzieś – dalej...

I by jakiś samotnik – duch blady –  
Tknięty nagle wizją naszej jazdy,  
Skoń do szyby przycisnął przezroczej  
I na znikłych sanek naszych ślady  
Rzucił swoją zadumę i oczy,  
I swą myślą, co w dzień goni gwiazdy,  
Po tych śladach zbłądził w mgieł tumany,  
I sam siebie pytał zadumany –  
Czyje sanki w tak szalonym biegu.  
Tak wariacko wiły się po śniegu?

### **Na poddaszu**

Skoń wynurzam z poddasza. Niech gwiazdy mnie strzegą!  
Ty – z dołu – przyjrzyj no się mej górnej żalobie!  
Tkwią w trumnisku utkanym z wyżyn i z niczego –  
A na imię mam – Oddal! Nic nie wiem o tobie...

W dole – światel drobnota. Piętrowanym cieniem  
Dom migoce... Są okna, gdzie zawsze jest ciemno...  
Byt mój stał się radosnym w snach znieruchomieniem  
Skoku, który dać mogę w tę przepaść pode mną!

Mów, gdzie wszechświat nocuje? W nizinnych snów mrowiu  
Czy tu wyżej, gdzie nicość z lekka się odsmuca.  
Gdy po dachów rozległych blaszanym pustkowiu  
Księżyc świeci kot biegnie i komin cień skróca?..

### **Na stepie**

Noc błękitnieje w oddali,  
Na widnokręgów podkowie,  
Jak błysk bladego zwierciadła  
W na poły mrocznej alkowie!...

Step dymi modrym płomieniem,  
Wiatr to się ocknie – to zdrzemnie.  
Cienie biegają po ziemi,  
Niby się gonią wzajemnie!...

Ja idę – i czuję sercem,  
Jak w ziemi rodzą się czary,  
Ja idę – i wierzę senny,  
Że step – bez końca, bez miary!...

I piję tchy nieskończenia,  
I radość w piersi mi płacze,  
I strach mię jeno zdejmuje,  
Że koniec stepu zobaczę!...

### **Nad ranem**

Śpisz jeszcze... Na twych rzęsach – skra drobna poranku.  
Strachy śnią się twej dłoni – bo i drga, i pała.  
Oddychaj tak – bez końca. Czaruj – bez ustanku.  
Kocham oddech twej piersi, ruch śpiącego ciała.

Ileż lat już minęło od pierwszej pieśczozy?  
Ile dni od ostatniej upływa niedoli?  
Co nas wczoraj – smuciło? Co jutro – zaboli?  
I czy zbraknie nam kiedyś do szczęścia ochoty?

Przyjdzie noc o źrenicach zaświatowo łanich  
I spojrz – i zabije... Polegniem – snem czynni...  
Jak to? Więc musisz umrzeć tak samo jak inni?  
Jak ci – choćby z przeciwka?...Pomódlmy się za nich...

### **Nadaremność**

W znoju słońca mozolnie razem z ciszą dzwoni  
Rozgrzanych płotów chrust.  
Pocałunek sam siebie składa mi na skroni.  
Sam – bez pomocy ust...

Z rozwalonej stodoły brzmi niebu przez szpary  
Jaskótek płacz i śmiech –  
Do pokoju, spłowiełe wzdymając kotary,  
Wrywa się wiosny dech!

Boże, coś pod mym oknem na czarną godzinę  
Wonny rozkwiecił bez,  
Przebacz, że wbrew Twej wiedzy i przed czasem ginę  
Z woli mych własnych łez!...

## Namowa

Ty nie słuchaj, dziewczę moje, starej matki trwoźnych rad!  
Jej się złoci – próg rodzinny, nam się złoci – cały świat!

Co ją nęci – nas przeraża! Nienawiścią do niej spłóń –  
Nienawiścią, która do ust odtraconą tuli dłoń...

Mam ją w piersi – śpiewną burzę – ty w zanadrzu – wonny los!...  
Wiedz, że będzie stara matka przeklinała siwy włos!

W szyb opalu tkwi ukosem odbitego nieba skrót –  
Błękitnieje, złociścieje... Razem – w życie! Razem – w cud!

Nierozsądni, nieoględni wywędrujęm w taki jar,  
Gdzie się czai – nieskończoność i gdzie czyha – wieczny czar!

Nie ociągaj się ze szczęściem! Daj mi tylko dłonią znak –  
Dość zamyśleć, dość zapragnąć, by się stało właśnie tak!

Będę ja się w trudach pieaszczot zmagać z tobą w mrok i znój –  
W twym objęciu i zaklęciu spełnię się – sen skryty twój!

I spełniony, i zjawiony rozpanoszę się wśród zórz,  
A tych dłoni, co się spłoty, nie rozplotę nigdy już!

Przenocujęm nicość w słońcu, a za taką w słońcu noc  
Oddaj spokój, co uwięził twego ciała czar i moc!

Słyszysz burzy zew znajomy? Złoty miecz przy boku mam.  
Pójdźżc, dziewczę, w niewiadość, w bezpowrotność – tylko tam!

To nieprawda, żem cię podszedł pograżoną jeszcze w śnie  
I że nie ma żadnych cudów! To – nieprawda! Nie i nie!

Czemuż trwonisz czas na wróżby? Naszym będzie cały świat  
Ty nie blednij – ty nie słuchaj starej matki trwoźnych rad!

## Nie obiecuję ci prawie nic

Nie obiecuję ci wiele...  
Bo tyle co prawie nic...  
Najwyżej wiosenną zieleń...  
I pogodne dni...  
Najwyżej uśmiech na twarzy...  
I dłoń w potrzebie...  
Nie obiecuję ci wiele...  
Bo tylko po prostu siebie...

## Niebo przyćmione

Niebo przyćmione, niebo wieczorne  
Samochcąc płynie przez moje oczy...  
Piersi bezsenne i bezoporne  
Pieszczota zmierzchu nuży i tłoczy.

O, teraz snuć się cieniem po gaju,  
Ducha wśród sosen w szkarłat rozjarzyć,  
U twojej wrót, na twym rozstaju,  
Samemu sobie – snem się wydarzyć!

Na skroń kalinom ujrzanym w dali  
Paść złotym kurzem w purpur pożodze –  
I nie odróżnić ust twych koralu  
Od owych kalin na owej drodze!

I nie odróżnić twoich warkoczy  
Od brzoź weśnionych w głębie jeziorne...  
Samochcąc płynie przez moje oczy  
Niebo przyćmione, niebo wieczorne...

## Poeta

Zaroilo się w sadach od łąz tęczowych i zawieruch –  
Z drogi! – Idzie poeta – niebieski wycieruch!  
Zbój obłoczny, co z światem jest – wspak i na noże!  
Bacność! – Nic się przed takim uchronić nie może!  
Słońce – w cebrze, dal – w szybie, świt – w studni, a zwłaszcza  
Wszelkie dziwy zza jarów – prawem snu przywłaszcza  
Rad Boga między żuki wmodlić – do zielnika,  
Gdzie się z listem miłosnym sam jelonek styka!...  
Świetniejąc łachmanami – tym zwawszy, im golszy –  
Nie bez wróżb się uśmiecha do grabu i olszy –  
I widziano w dzień biały tego obłąkańca,  
Jak wierzbę sponad rzeki porywał do tańca!  
A tak zgubnie porywać, mimo drwin i zniewag –  
Zdoła tylko z otchłania sprzysiężony śpiewak.  
Żona jego, żegnając swój los znakiem krzyża,  
Na palcach – pełna lęku do niego się zbliża.  
Stoi... Nie śmie przeszkadzać... On słowa nawleka  
Na sznur rytmu, a ona płochliwie narzeka:  
„Giniemy... Córki nasze – w nędzy i rozpaczycy...”

A wiadomo, że jutro nie będzie inaczej...  
Wleciesz nas w nieokreślność... Spójrz – my tu pod płotem  
Mrzemy z głodu bez jutra, a ty nie wiesz o tem!” –  
Wie i wiedział zawczasu!... I ze łzami w gardle  
Wiersz układa pokutnie – złociście – umarłe  
Za pan brat ze zmorami... Treść, gdy w rytm się stacza,  
Póty w nim się kołysz, aż się przeistacza.  
Chętnie łowi treść, w której łyzy prawdziwe płoną –  
Ale kocha naprawdę tę – przeinaczoną...  
I z zachłanną radością mąci mu się głowa,  
Gdy ujmie niepochwytność w dwa przyległe słowa!  
A słowa się po niebie włóczą i łajdaczą –  
I udają, że znaczą coś więcej, niż znaczą!...

I po tym samym niebie – za tamtej ułud strony –  
Znawca słowa – Bóg płynie – w poetę wpatrzony.  
Widzi jego niezdolność do zarobkowania  
I to, że się za snami tak pilnie ugania!  
Stwierdza z zgrozą, że w chacie – nędza i zagłada –  
A on w szale występny wiersz śpiewny układa!  
I Bóg, wsparty wędrownie o srebrzystą krawędź  
Obłoku, co się wzburzył skrzydłami, jak łabędź –  
Z łabędzia – do poety, zbłąkanego we śnie –  
Uśmiecha się i pięścią grozi jednocześnie!

## Szewczyk

W mgłach daleczeje sierp księżycy,  
Zatkwiony ostrzem w czub komina,  
Latarnia się na palcach wspina  
W mrok, gdzie już kończy się ulica.  
Oblędny szewczyk – kuternoga  
Szyje, wpatrzony w zmór odmęty,  
Buty na miarę stopy Boga,  
Co mu na imię – Nieobjęty!

Błogosławiony trud,  
Z którego twórczej mocy  
Powstaje taki but  
Wśród takiej srebrnej nocy!

Boże obłoków, Boże rosy,  
Naści z mej dłoni dar obfity,  
Abyś nie chadzał w niebie bosy  
I stóp nie ranił o błękity!  
Niech duchy, pałac gwiazd pochodnie,  
Powiedzą kiedyś w chmur powodzi,  
Że tam, gdzie na świat szewc przychodzi,  
Bóg przyobuty bywa godnie.

Błogosławiony trud,  
Z którego twórczej mocy  
Powstaje taki but  
Wśród takiej srebrnej nocy!

Dałeś mi, Boże, kęs istnienia,  
Co mi na całą starczy drogę –  
Przebacz, że wśród nędzy cienia  
Nic ci, prócz butów, dać nie mogę.  
W szyciu nic nie ma, oprócz szycia,  
Więc szyjmy, póki starczy siły!  
W życiu nic nie ma, oprócz życia,  
Więc żyjmy aż po kres mogiły!

Błogosławiony trud,  
Z którego twórczej mocy  
Powstaje taki but  
Wśród takiej srebrnej nocy!

## Śnigrobek

Kiedy las od ukąszeń zmór drzewnych poźółciał,  
Śnigrobek, błękitnawo zapatrzony w paproć –  
Wędrownie się zazłocił – z dali w dal – po dwakroć,  
Aż się wsnuł do krainy półduchów i półciał.

Tam ukochał przestwornie mgłę – nierozeznawkę,  
Co się na wznak – uśmiecha, a na klęczkach – ginie,  
Albo się uwysmukła – podobna dziewczynie,  
Która los w snach zgubiła, jak pusta zabawkę.



Mgła rzekła: „Ust mych przyszłość – z bzu się nie wyzwoli!  
Prócz deszczu – nie mam w kwiatach innego dorobku...  
kochaj mnie w mej pośmiertnej za grobem niedoli,  
Bom bez niej – nie ta sama... Sprawdź mój czar, Śnigrobku!” –

I rzekł na to Śnigrobek: Niech nicość nam sprzyja!  
Tak mi modro, dziś z tobą!... Łzy – oddaj aniołom.  
Wszelka radość jest w końcu tyleż, co niczyja...  
W urojonych ogrodach znajdź mnie i oszołom!” –

Szołomiła mu usta, obłąkała ręce  
A on tulił cud chwiejny i czar jej nieścisty –  
I patrzył w zakochane mglistości dziewczęce,  
Gdzie obok żądy śmierci – wrą pieszczot domysły.

I ginąc od nadmiaru mgły w czujnym objęciu  
Wpółśród złotych przyćmień i błękitnych zadym –  
Skonał wreszcie – posłuszny temu wniebowzięciu,  
Które przez sen zawdzięczał – fioletem bladym.

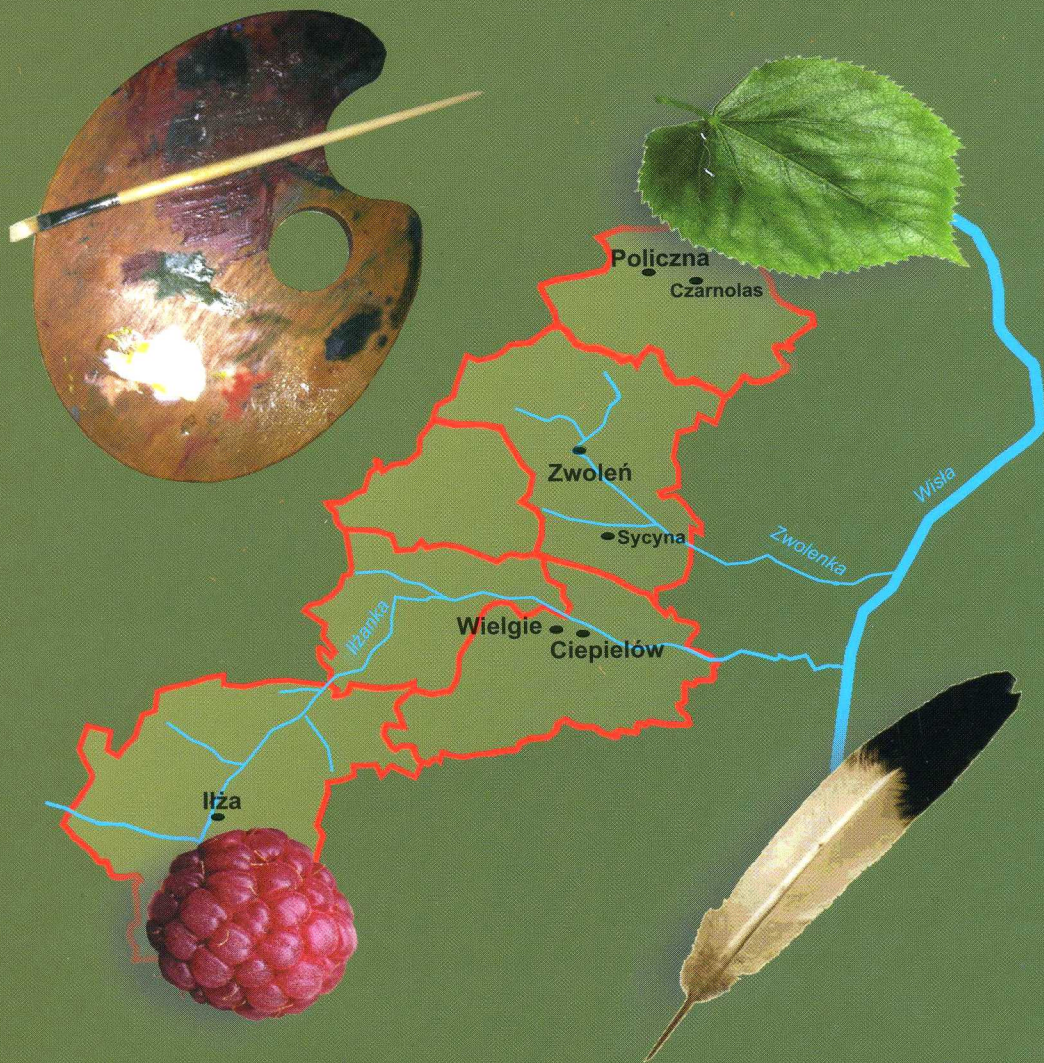
Czas się włóczył po drzewach. Noc przyszła – żałobna.  
Cienie wszystkich umarłych – ubożuchno szare –  
Pochowały Śnigrobka na wieczną niewiarę –  
We wszystkich grobach naraz i w każdym – z osobna.

Mgła mu w trumnę skrzystego nawrzucała nieba,  
A wszechświat, co już stał się czymś w rodzaju mitu –  
Ożywiony pogrzebem – pomyślał co trzeba  
Zmienić cel nieistnienia i miejsce – niebytu.

Więc – choć ktoś go do mgławic i dróg mlecznych przykuł –  
On, wstrząsając łańcuchy przeznaczeń bez treści –  
Śnił, że w drogę wyrusza, jak rdzawy wehikuł,  
Zbłąkany w złotym wnętrzu zamierzchłej powieści.

# Literatura

- ♦ Bednarczyk H. (red.), *Sycyna gniazdo ojczyste Jana Kochanowskiego*. Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2000.
- ♦ Bednarczyk H. (red.), *Sycyna wiek XX*. Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2000.
- ♦ Bednarczyk H., Ginalski Z., *Dziedzictwo i rozwój*. CDR Brwinów, Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna 2006.
- ♦ Bednarczyk H., Olifirowicz M. (red.), *...imienia Jana Kochanowskiego*. Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2005.
- ♦ Dygasiński A., *Co się dzieje w gniazdach*, Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, Radom 2002.
- ♦ Heydel A., *Jacek Malczewski – człowiek i artysta*, Kraków 1933.
- ♦ *Idee humanistyczne Renesansu w integracji europejskiej*, Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, WSP ZNP, Warszawa 2002.
- ♦ *Jacek Malczewski*, wstęp i opracowanie K.Z. Posiadała, Radom 2004.
- ♦ Jan Kochanowski, *Wybór Poezji*, Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2000.
- ♦ Januszewicz E., *Policzna. By czas nie zaćmił i niepamięć*, wyd. Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2004.
- ♦ Karczewski W., *W Wielgiem*, Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, Radom 2002.
- ♦ Krzemiński A., Derlatka T. (red.), *O dzban czarnoleskiego miodu*. Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, Stowarzyszenie Grupa Literacka „Łuczywo”, Stowarzyszenie Miłośników Poezji Jana Kochanowskiego „Renesans” 2002.
- ♦ Madejski J., *Iża zapamiętana*, Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2004.
- ♦ Madejski J., *Powroty do Leśmiana*, Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, Radom–Sycyna 2007
- ♦ Palacz T., *Czarnolas Jana Kochanowskiego*, Lublin 1986.
- ♦ Palacz T., *Człek – Boże igrzysko. Jan Kochanowski w Radomskim*, Stow. Mił. Poezji J. Kochanowskiego, ITeE, Radom 1998.
- ♦ Półturzyccy M. i J., *Ślady i pamiątki Jana Kochanowskiego*, Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2003.
- ♦ Pulnar J., *Proteus Świat Jana z Czarnolasu*, Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu; Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, Radom 2001.



ISBN 978-83-60132-13-5

Sfinansowano ze środków projektu *Dziedzictwo i Rozwój Ziemi Jana Kochanowskiego*,  
Program Pilotażowy Leader+